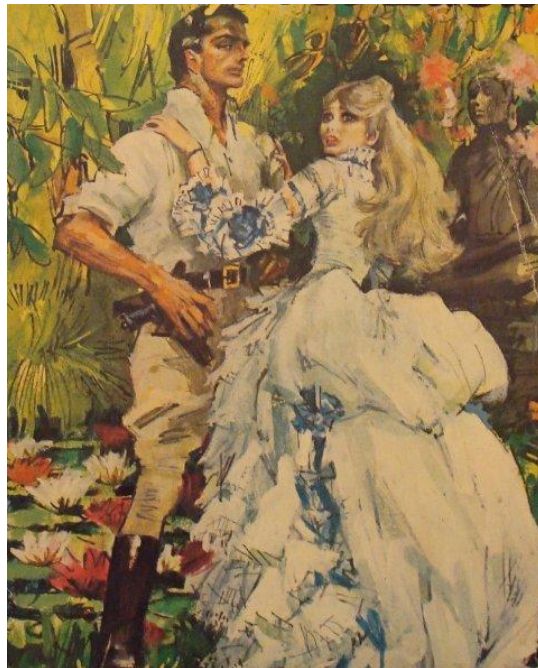


Barbara Cartland

Księżyc zakochanych

Moon over Eden



Od autorki

Odwiedziłam Sri Lanke w roku 1975 i pobyt tam wywarł na mnie ogromne wrażenie. Zachwyciło mnie niewiarygodne wprost piękno tego kraju oraz jego uroczy i życzliwi mieszkańcy. Zainteresowałam się również jego historią.

Tło historyczne ukazane w tej książce jest najzupełniej autentyczne. Rzeczywiście po krachu kawowym Cejlon zasłynął z uprawy herbaty, a sir Arthur Conan Doyle tak to upamiętnił:

„Nierzęsto się zdarza, żeby zawiedzeni całkowitym upadkiem produkcji jakiegoś artykułu ludzie podjęli wytwarzanie zupełnie nowego produktu i w ciągu kilku lat uczynili ten interes równie dobrze prosperującym jak poprzedni. Herbaciane pola Cejlonu są pomnikiem odwagi, podobnie jak lew pod Waterloo”.

James Taylor był nie tylko pierwszym plantatorem, który uprawiał herbatę na wielką skalę; przetwarzał ją również i sprzedawał. Udało mu się wyjść cało z tragedii, która zrujnowała tysiące ludzi, a jego sukces stał się ożywczą podniętą dla cejlońskiej gospodarki. Gdy zmarł, jego robotnicy nazwali go sami durai, co znaczy „pan, który jest bogiem”.

W roku 1873 eksport herbaty z Cejlonu wynosił dwanaście kilogramów, a sto lat później już dwieście dwa miliony pięćset dwadzieścia sześć tysięcy czterysta osiemdziesiąt cztery i pół kilograma.

ROZDZIAŁ 1

Rok 1888

Lord Hawkston odetchnął głęboko ciepłym, wilgotnym powietrzem.

Spojrzał na rozgwieżdżone niebo i uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu w zimnej Anglii tego ciepła, przenikającego teraz całe jego ciało, sprawiającego, że wszystkie mięśnie stawały się elastyczne i rozluźnione.

Szedł wolno po trawie rozkoszując się zapachem pięknych kwiatów magnolii o dużych, złocistych środkach, jaśminów i oleandrów; ich rozłożyste gałęzie dawały za dnia przyjazne schronienie przed piekącym słońcem. Przez całe dwadzieścia sześć dni, które zabrała podróż z Anglii, nie mógł się doczekać, kiedy znów zobaczy Cejlon. Przypominał tym małego chłopca spieszącego do domu na wakacje. Nie było w tym nic dziwnego, jako że lord Hawkston spędził szesnaście lat swego życia na „Rajskiej Wyspie” - według wierzeń wyznawców Mahometa to na niej właśnie Adam i Ewa znaleźli schronienie po wypędzeniu z Raju.

Bramini mówią , jaśniejąca Sri Lanka”, buddyści - „perlista kropelka na czole Indii”, a Grecy - „kraj kwiatów lotosu”. W Anglii traktowano te opinie z przymrużeniem oka, ale tu, na Cejlonie, czarowny klimat i piękno wyspy uświadamiały nieustannie lordowi Hawkstonowi, że nie są one wcale przesadzone.

Hawkston bynajmniej nie był romantykiem. Przeciwnie, znano go jako wymagającego pracodawcę i powściągliwego, a kiedy wymagała tego sytuacja - wręcz bezwzględного człowieka. Musiał taki być, nie miał bowiem łatwego życia. Trzeba przyznać, że wszystko, co osiągnął, zawdzięczał swojej ciężkiej pracy i zdeterminowaniu, by zdobyć to, czego pragnął.

Spacerując po wspaniałym ogrodzie wokół Domu Królowej, jak nazywano rezydencję Gubernatora Generalnego w Kolombo, Hawkston rozmyślał o powrocie na północ, gdzie posiadał plantację herbaty. Wróci tam, by znów zobaczyć przyjaciół i robotników, i wspaniały dom, który sam zbudował w miejscu, gdzie niegdyś stała mała chatka na nowo zakupionej ziemi.

Pogrążony w zadumie zauważył w pewnej chwili, że nie jest sam w ogrodzie. Nie bardzo mu się to podobało. Celowo odczekał, aż gubernator i pozostali goście udadzą się na spoczynek: chciał pospacerować samotnie w księżycową noc, owładnięty nieodpartą potrzebą pozostania ze swoimi emocjami i wspomnieniami wywołanymi powrotem. A teraz okazało się, że w ogrodzie jest ktoś jeszcze.

Nie miał ochoty na rozmowę z kimkolwiek, instynktownie więc schronił się w cień wielkiego bambusa. Pierzaste gałęzie nieźle ukrywały jego obecność i jeśli ten ktoś nie szukał towarzystwa lorda Hawkstona, to raczej nie powinien go zauważyć.

Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, światło księżyca oblało jego twarz i lord Hawkston rozpoznał młodego żołnierza, który płynął na Cejlon tym samym statkiem co on. Kapitan Patrick O'Neill, wraz z kilkoma innymi oficerami, wracał z urlopu, by znów pełnić normalną służbę w armii. Lord Hawkston toczył z nimi rozmowy przy posiłkach, bo podobnie jak oni, siedział przy stole kapitańskim, ale poza tym nie szukał ich towarzystwa. Wydawało mu się, że uważali go za zbyt starego, by mógł brać udział w ich pełnych wesołości rozmowach i ciągłym przekomarzaniu się. Patrick O'Neill sprawiał co prawda wrażenie bardziej odpowiedzialnego niż jego koledzy, toteż lord Hawkston uznał, że musi być całkiem dobrym oficerem.

Kapitan uszedł jeszcze kilka kroków, a ukryty w cieniu Hawkston pomyślał, że może dowodzi wartownikami strzegącymi gubernatora i zamierza sprawdzić, czy pełnią nocną służbę jak należy. Gdy dotarł już do wielkiego bambusa, ni stąd, ni zowąd, ku zdziwieniu lorda, zawrócił i skierował się wprost ku Domowi Królowej.

Jak większość budynków kolonialnych, także i ten odznaczał się starannie wykończonym frontonem, na tyle natomiast zbudowano rozległe werandy ciągnące się na obydwu piętrach wzdłuż całej budowli. Na nich właśnie sypiali domownicy w upalne letnie noce. Zimą pozostawiano je otwarte, by zapewnić dopływ świeżego powietrza.

Z prawdziwą ulgą lord Hawkston uświadomił sobie, że nie zostanie zdemaskowany. Widział, jak kapitan O'Neill poszedł na tył domu i spoglądając na górną werandę, zagwizdał cichutko. Ku swojemu zdumieniu Hawkston zobaczył, że z sypialni wysunęła się jakaś postać w bieli i stanęła na werandzie, pod którą czekał kapitan. To była kobieta! Gęste, rozpuszczone włosy opadły jej na twarz, kiedy przechyliła się przez balustradę.

Nawet gdyby coś powiedziała, to lord Hawkston i tak by nie usłyszał, za to - zaskoczony - ujrzał, jak kapitan wspina się na górę. Nie było w tym zresztą nic trudnego, bo kolumny podpierające werandę miały ażurowe wzory wykonane z litego żelaza, co ułatwiłoby wspinaczkę nawet największej niezdarze. W kilka sekund kapitan był na górze. Zaraz potem wziął kobietę w ramiona i namiętnie przytulił.

Przez chwilę stali tak w świetle księżyca, tuląc się do siebie i całując. Jasne włosy dziewczyny rozsypały się na szerokich barkach kapitana. Potem zniknęli w pogrążonej w ciemności sypialni.

Lord Hawkston wziął głęboki oddech.

Doskonale wiedział, komu kapitan złożył tę potajemną wizytę. Z początku nawet nie czuł złości, tylko po prostu zdziwił się zuchwałością tego czynu; kobietą, którą kapitan O'Neill tak namiętnie całował i z którą poszedł do sypialni, była Emilia Ludgrove. Lord Hawkston przywiózł ją z Anglii, by mogła poślubić jego siostrzeńca, Geralda Warrena.

Osiemnaście lat temu lord Hawkston, wtedy jeszcze po prostu Chilton Hawk, postanowił wyjechać na Cejlon. Miał wówczas dwadzieścia jeden lat i był młodszym synem młodszego syna. Oznaczało to, że jego szanse na odziedziczenie rodzinnego tytułu i majątku równają się zeru. Jego ojciec zaś nie miał wiele pieniędzy i nie mógł zapewnić synowi wygodnego życia w Anglii.

Wraz z osiągnięciem pełnoletności Chilton odziedziczył dwa tysiące funtów, a zafascynowany artykułem na temat świetnie prosperujących plantacji kawy na Cejlonie, który w tym czasie przeczytał, postanowił pojechać na wyspę, by dorobić się majątku.

W tamtych czasach ludziom w Anglii wydawało się, że Cejlon leży bardzo daleko, niemal na drugim końcu świata.

W 1860 roku uprawa kawy przynosiła ogromne dochody, a to dzięki przedsiębiorczym Brytyjczykom, którzy przybyli na wyspę i zainwestowali w plantacje duże pieniądze. Chilton Hawk studiował w Oksfordzie z pewnym Szkotem, który wyjechał na Cejlon i w pełnych entuzjazmu listach pisał o szerokich możliwościach, jakie istnieją na wyspie dla młodych, pełnych energii i ambicji ludzi. Zasięgnawszy informacji Chilton dowiedział się, że w 1870 roku - kiedy to osiągnął pełnoletność - Cejlon wyeksportował ponad milion cetnarów kawy.

Ojciec Chiltona zdziwił się nieco, gdy ten obwieścił, że chce zostać plantatorem kawy, choć spodziewał się skądinąd,

że syn wykorzysta odziedziczone po babce pieniądze na podróże.

- Nie decyduj się od razu, chłopcze - powiedział. - Rozejrzyj się dobrze po świecie. Może znajdziesz większe możliwości w Singapurze albo w Indiach.

Ale gdy tylko Chilton zobaczył Cejlon, zrozumiał, że to właśnie tu chce mieszkać i pracować. A praca czekała go naprawdę ciężka. Nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie kupił dwustu pięćdziesięciu hektarów ziemi, po pół funta za hektar, i nie musiał ich wykarczować, jako że rosła tam dżungla. Zatrudnił osiemdziesięciu ludzi. Przez cały czas dręczyła go obawa, że zabraknie mu pieniędzy. Początek dnia obwieszczały uderzenia siekier, łomot padających drzew, hałas tnących pił i walących młotów. Potem drewno trzeba było wywieźć i spalić. Samo ścięcie drzew nie załatwiało jeszcze sprawy, należało także wykarczować ich korzenie. Dopiero wtedy teren gotowy był pod uprawę.

Chilton miał szczęście, bo zaraz po przyjeździe jego kolega z Oksfordu przedstawił go doświadczonemu, trzydziestopięcioletniemu szkockiemu plantatorowi o nazwisku James Taylor. Był on jednym z tych, którzy mieli przejść do historii, a już wtedy liczono się z nim, cieszył się też szacunkiem innych.

Jako osiemnastoletni chłopak, pełen energii i zdolności, James Taylor podpisał trzyletni kontrakt z londyńską agencją Loolecondera, której siedziba mieściła się jakieś sto kilometrów na południowy wschód od Kandy.

Była to bardzo korzystna lokalizacja, ponieważ w 1867 roku ukończono budowę linii kolejowej do Kolombo, co znacznie przyspieszało transport kawy. Przedtem plantatorzy musieli korzystać z zaprzęgniętych w woły wozów, które całymi tygodniami toczyły się wolniutko wojskową drogą do portu.

Taylor od razu polubił młodego przybysza z Anglii i poradził mu, by kupił ziemię w pobliżu majątku o nazwie Loolecondera, położonego w samym środku terenów górzystych. Chiltona oczarowało piękno tego miejsca, toteż szybko zaaklimatyzował się w nowym otoczeniu.

James Taylor poradził Chiltonowi, w jaki sposób zdobyć tamilskich robotników i gdzie najlepiej zbudować pierwszy dom. Nie szczędził mu też zachęty i pomocy przez pierwsze lata, kiedy karczując i uprawiając pola, Chilton pracował równie ciężko, a może nawet ciężiej niż ludzie, których zatrudniał. Patrząc na te lata z perspektywy czasu, lord Hawkson uważał, że były one najszcześniejsze w całym jego życiu. Wciąż osiągał coś nowego. Sam był sobie panem i gdyby nawet stracił wszystko, co posiadał, to mógłby winić wyłącznie siebie. I rzeczywiście straciłby naprawdę wszystko, gdyby nie miał przyjaciela - Jamesa Taylora.

Trwający przez dziesięć lat boom kawowy utwierdził Chiltona w przekonaniu, że jest o krok od bogactwa. Cena gruntu wzrosła do czternastu funtów za hektar, a plantacje rozciągały się wzdłuż nowych dróg, które kiedyś były tylko ścieżkami przemierzanymi przez pielgrzymów podążających do Góry Adama.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie okazało się, że dni niczym niezmaconego spokoju są policzone.

Bardzo groźna choroba, atakująca kawowce, grzyb nazywany *Hemileia vastatrix* albo „rdza kawowa”, zagroził dalszemu istnieniu upraw.

Jeszcze teraz lord Hawkston mógł przywołać na pamięć przerażenie, jakie ogarnęło go na widok jego własnych chorych drzewek. Roznoszone przez wiatr maleńkie zarodniki grzyba osiadały i rozwijały się na listkach. Dla wszystkich plantatorów kawy była to straszliwa katastrofa. Jedyne, co mogli zrobić, to wykarczować zarażone drzewka, pozostałe

posypać mieszanką wapna i siarki i modlić się, by nie osiadła na nich nowa partia przyniesionych przez wiatr zarodników.

Ale ta modlitwa nie została wysłuchana.

„Kawowa rdza” zniweczyła nadzieje większości europejskich plantatorów i wszystkich Cejlończyków. Nie zdołali niczego uratować, jeśli nie brać pod uwagę tego, że pule niektórych kawowców wysłano do Anglii i wykorzystano na nogi stolików do kawy.

Chilton przekonał się wtedy, że James Taylor jest prawdziwym przyjacielem.

Jeszcze w 1866 roku Taylor otrzymał od dyrektora Królewskich Ogrodów Botanicznych kilka sadzonek herbaty i rozmnożył je. W rezultacie osiem hektarów w Looleconda zostało obsadzonych herbatą. Kiedy tylko Chilton, dzięki pomocy Jamesa Taylora, przygotował swoją ziemię pod uprawę, również za jego radą obsadził herbatą osiem hektarów. Właśnie te hektary uratowały majątek przed totalną ruiną.

Na pozostałym gruncie Chilton musiał zaczynać od początku. Zakasał rękawy i począł sadzić herbatę.

Tymczasem jego przyjaciel, James, pracował już nad czymś nowym. Była to przetwórnia herbaty z pełnym wyposażeniem, łącznie z maszyną walcującą - pierwszą w historii Cejlonu,

Wkrótce po okresie zachwiania równowagi rynkowej, spowodowanym załamaniem się handlu kawą, znów zaświtała nadzieja, bo rozeszła się wieść, że w majątku Taylora i w sąsiadującej z nim plantacji Hawka dobrze udaje się herbata. Zawiedzeni plantatorzy kawy zjeżdżali tłumnie, by nauczyć się uprawiać nową roślinę. Na całym Cejlonie pomiędzy martwymi pniami kawowców pojawiły się herbaciane krzewy. Pracując bez chwili wytchnienia, Chilton zaczął odtwarzać utraconą fortunę.

Ale nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie przewidywał, że odziedziczy rodowy majątek w Anglii.

Kiedy opuszczał rodzinny kraj, był siódmy w kolejce do tytułu po wuju, jednak wypadki, śmierć w bitwach albo ze starości stopniowo wyeliminowały tych, którzy byli przed nim. Tak czy owak, w 1886 roku ku swemu ogromnemu zdumieniu, Chilton dowiedział się, że jego wuj zmarł, a on sam jest nowym lordem Hawkstonem.

Nie pozostało mu nic innego, jak wracać do domu, choć czuł się tak, jakby miał stracić rękę albo nogę, jako że naprawdę ciężko przychodziło mu zostawić plantację, która obecnie rozrosła się do pięciuset hektarów, i przyjaciół, takich jak James Taylor.

Poza tym... Wystarczał już teraz sam sobie, co zresztą było nieuchronne. Czasami przez trzy, cztery tygodnie nie widział żywej duszy - poza swoimi robotnikami. Przesiadywał samotnie w ogromnym domu, który zbudował na szczycie wzgórza, dzięki czemu nawet w czasie upałów dawało się tam odczuć lekki wietrzyk. Zimą bywało chłodno, więc zgodnie z angielskim zwyczajem w domu znajdowały się duże kominki, w których można było palić ogień.

Chilton Hawk przyzwyczał się do samotności. Lubił czytać, ale bardzo często zdarzało się, że po zjedzeniu świetnie przyrządzonej i równie dobrze podanej kolacji szedł od razu spać, by wstać równo ze świtem i zabrać się do pracy, która go pochłaniała. Zapomniał już, jak eleganckie i wygodne życie wiedzie angielski szlachcic - bez trosk i pośpiechu, i bez żadnych ambicji, poza tą by jak najprzyjemniej spędzić wolny czas.

Na szczęście miał co robić w swym rodowym majątku. Wuj długo chorował przed śmiercią i nie był w stanie wszystkiego dopilnować, toteż Chilton musiał się zająć takimi sprawami, jak wprowadzenie nowych metod uprawy, zakup

maszyn rolniczych, remont zabudowań, a przede wszystkim - odnowić znajomość z krewnymi.

Na Cejlonie organizował pracę i kierował ludźmi, w Anglii natomiast jako lord Hawkston pełnił rolę głowy liczego rodu. Z przykrością przyznawał przed sobą, że większość jego kuzynów to ludzie chciwi i skąpi.

Najważniejszym zadaniem po powrocie do Anglii było dla niego znalezienie kogoś, kto mógłby go zastąpić na cejlońskiej plantacji. Postanowił, że włączy posiadłość do majątku rodowego i przekaże ją następnemu lordowi Hawkstonowi wraz z całą spuścizną.

Wydawało mu się, że najlepiej zastąpi go Gerald Warren, inteligentny, dwudziestoczteroletni syn jego starszej siostry. Wysłał go więc tam czym prędzej, gdyż bardzo się niepokoił o los plantacji pozostawionej pod opieką miejscowego zarządcy. Gdyby sprawa nie była taka pilna, nigdy nie postąpiłby tak pochopnie.

Uważał, że jako dwudziestoczteroletni mężczyzna Gerald poradzi sobie z prowadzeniem plantacji, na której wszystko przecież było uporządkowane i która przynosiła zyski. Ostatecznie nie czekała go już ciężka fizyczna praca, jaką on sam musiał wykonywać szesnaście lat temu, a poza tym zaakceptował propozycję wuja z ogromnym entuzjazmem.

Dopiero później lord Hawkston dowiedział się, że jego siostrzeńcowi nie układało się w domu i poróżnił się z większością krewnych. Na krótko zaś przed wyjazdem oświadczył, że jest zaręczony z córką szlachcica z sąsiedztwa, panną Emilią Ludgrove. Rodzice dziewczyny odradzali jednak zawieranie małżeństwa tuż przed podróżą Geralda. Przez pewien czas nie chcieli zresztą słyszeć nawet o zaręczynach, a to z tego prostego powodu, że Gerald nie miał wielkich widoków na przyszłość, nie myślał też o powiększeniu w jakikolwiek sposób skromnej sumy, którą przeznaczyła dla

niego jego owdowiała matka. Opieka, jaką roztoczył nad nim wuj, zasadniczo zmieniła sytuację i chociaż nie ogłoszono formalnych zaręczyn, to postanowiono, że Gerald i Emilia pobiorą się za rok.

- Sam zawiozę ją na Cejlon - obiecał lord Hawkston.

- Czy musimy czekać cały rok? - upewniał się Gerald.

- Obawiam się, że tak - odparł wuj. - Mam tutaj tyle spraw do załatwienia, że wydaje mi się mało prawdopodobne, bym mógł wyjechać wcześniej.

W rezultacie upłynęło półtora roku, zanim lord Hawkston opuścił Anglię, ale Emilii najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało i cierpliwie czekała, aż przyjdzie czas wyjazdu.

Rodzice Emilii pozostali nieugięci w swym przekonaniu, że nie należy spieszyć się ze ślubem i nawet wtedy, gdy lord Hawkston był już gotów, potrzebowali jeszcze dwóch miesięcy na przygotowanie wyprawy dla córki.

Wreszcie jednak nadszedł dzień wyjazdu i lord Hawkston wysłał do Geralda depeszę z prośbą, by czekał na nich w Kolombo.

W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy Gerald pisywał bardzo rzadko. Początkowo przysyłał listy regularnie, co dwa tygodnie, opowiadając dokładnie, co dzieje się na plantacji. Dopiero teraz lordowi przyszło do głowy, że może siostrzeniec pisał raczej to, co on chciałby przeczytać, niż o tym, co rzeczywiście miało miejsce, jako że po okresie regularnej korespondencji listy zaczęły przychodzić raz w miesiącu, a ostatnio dostawał już tylko bardzo skąpe wiadomości co dwa, trzy miesiące.

„Chłopak nie ma czasu - mówił sobie. - Do Emilii pisuje pewnie regularnie”.

Rzadko widywał przyszłą żonę Geralda. Jej ojciec był okropnym nudziarzem, z którym nie miał o czym rozmawiać, poza tym było tyle spraw do załatwienia, że nie zostawało

zbyt wiele czasu na spotkania towarzyskie. A zresztą nawet te, w których uczestniczył, nie sprawiały mu przyjemności. Tak bardzo przyzwyczał się do samotności, że plotki i pogawędki o niczym nudziły go. Zdawał sobie doskonale sprawę z opinii krewnych, że nie tylko trudno się z nim dogadać, ale nawet można się go trochę obawiać. Wcale mu to jednak nie przeszkadzało. W gruncie rzeczy odpowiadała mu taka sytuacja. Wszedłszy kiedyś do pokoju usłyszał przypadkiem kwestię jednej z kuzynek:

- Naprawdę trudno go zrozumieć. Nigdy nie wiadomo, o czym myśli i mówiąc szczerze, nic mnie to nie obchodzi.

Usłyszał śmiech, a cała sytuacja po prostu go ubawiła.

Na statku lord Hawkston dołożył starań, żeby nie dać się wciągnąć w żadne rozmowy. Doskonale wiedział, że serdeczne przyjaźnie zawierane na morzu kończą się przeważnie wraz z zejściem na ląd. Zauważył, że Emilia, której przyzwoitką była żona pułkownika wracająca z mężem do Kolombo, cieszy się dużym zainteresowaniem młodych oficerów. Bardzo chętnie uczestniczyła w zabawach tanecznych, balach maskowych i koncertach organizowanych wieczorami. Nie odniósł wrażenia, że kapitan O'Neill jakoś szczególnie zaleca się do Emilii.

Teraz, stojąc w ogrodzie przy Domu Królowej, obwiniął samego siebie za brak spostrzegawczości, za to, że nie zauważył na statku, kiedy dziewczyna straciła nie tylko serce, ale i głowę.

Lord Hawkston wyszedł z cienia. Takiego obrotu sprawy nie przewidział, zastanowił się więc, co, do diabła, powinien teraz zrobić. Jednego był pewien - nie pozwoli Emilii poślubić swego siostrzeńca. Pomyślał, że może dobrze się stało, że Gerald nie mógł wyjechać po nich do Kolombo. Zachorował i nie czuł się na siłach podróżować do stolicy, jak poinformował w liście oczekującym lorda Hawkstona w

Domu Królowej. Wyrażał również nadzieję, że do czasu gdy wuj i Emilia dotrą do Kandy, wydobrzeje na tyle, by móc ich powitać.

W pierwszej chwili list zdenerwował lorda Hawkstona. Zaplanował sobie, że młodzi pobiorą się w Kolombo, zaraz po jego przyjeździe, i udadzą w podróż poślubną, a on sam pojedzie na plantację. Nie mógł się doczekać, by zobaczyć, jakie zaszły tam zmiany, omówić z zarządcą wszystkie nowinki i przywitać się z pracownikami; niektórzy z nich pracowali u niego od pierwszego dnia, kiedy to zaczął wycinać dżunglę. List sprawił, że wszystkie te plany wzięły w łeb, a ślub przypuszczalnie musiałby się odbyć w Kandy.

To było jak cios - nagle dotarło do niego, że nie będzie żadnego ślubu. Musi też powiedzieć Geraldowi, żeby poszukał sobie innej żony.

„A niech tę dziewczynę diabli wezmą! - mruknął w duchu. - Że też, do cholery, nie mogła zachować się jak należy!”

W tej samej chwili uświadomił sobie, że to po części jego wina, bo powinien był wcześniej wyjechać z Anglii. Półtora roku jest strasznie długim okresem w życiu dwojga młodych ludzi. Kiedyś jemu też wydawało się to wiecznością. Choć z drugiej strony, jeśli Emilia jest tak niestała, że uległa pierwszemu przystojnemu mężczyźnie, który się do niej zalecał, może i lepiej, że wyszło to na jaw teraz, a nie dopiero po ślubie.

„Wyprawię ją z powrotem do Anglii najbliższym statkiem” - postanowił lord Hawkston. Noc nie wydawała mu się już tak piękna jak przed chwilą, więc zawrócił w kierunku domu, starając się nie myśleć o tych dwojgu, obejmujących się tam, na górze.

Następnego dnia wstał wcześnie. Właśnie zjadł śniadanie i wstawał od stołu, kiedy służący w lśniącej czerwono - białej liberii zaanonsował gościa. Zdziwiony, że ktoś przyszedł o tak

wczesnej porze, zszedł do salonu, gdzie zastał Jamesa Taylora. Widok przyjaciela sprawił mu ogromną radość. Taylor miał już pięćdziesiąt lat i był postawnym mężczyzną z długą brodą. Ważył sto dwadzieścia kilogramów, a jeden jego palec był tak gruby, jak trzy u przeciętnego człowieka. Miał głęboko osadzone oczy i długi nos, ale uśmiech nadawał jego twarzy jakiś dziwny urok.

- Słyszałem, że przyjechałeś wczoraj, Chiltonie - powiedział, wyciągając rękę.

- James! Mój Boże! Nie spodziewałem się spotkać cię tak szybko! Jak się masz? Mam wrażenie, że nie widzieliśmy się całe wieki.

- Brakowało mi ciebie, Chiltonie - stwierdził Taylor. - Już zacząłem się martwić, że zrobiłeś się zbyt ważny, żeby tu wrócić.

- Żebyś wiedział, jak bardzo tęskniłem za powrotem! - odparł lord Hawkston. - Ale w Anglii pracowałem równie ciężko jak tu, tyle że w inny sposób. I wcale nie było mi łatwo.

James Taylor uśmiechnął się.

- Nic, co robiliśmy do tej pory, Chiltonie, nie było łatwe, ale pewnie dałeś sobie radę.

- Chyba tak - odparł Hawkstonowi nagle przypomniała mu się Emilia i posmutniał. - Co słyhać u Geralda?

- Właśnie o nim chciałem z tobą porozmawiać - odrzekł James. Było w jego głosie coś, co zaniepokoiło lorda Hawkstona.

- Czy chłopak zaaklimatyzował się tu i przykładał do pracy? - spytał. - Chcę znać prawdę.

- Całą prawdę? - upewnił się James.

- Dobrze wiesz, że nie zadowolę się niczym innym.

- W porządku. Znamy się nie od dziś, a ponieważ zawsze byliśmy ze sobą szczerzy, powiem ci wprost: będziesz musiał coś zrobić z tym chłopcem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Taylor wahał się przez chwilę, po czym wyjaśnił:

- Myślę, że w odróżnieniu od nas, on nie znosi samotności. Obaj dobrze wiemy, że ciężko jest spędzać długie wieczory samemu, nie mając się do kogo odezwać. Niełatwo żyć ze świadomością, że trzeba przejechać spory kawał drogi, by zobaczyć jakąś przyjazną twarz.

James Taylor mówił spokojnie, z nutą współczucia w głosie, ale ton lorda Hawkstona był ostry, kiedy zapytał:

- Co on wyczynia? Pije? Taylor skinął głową.

- Co jeszcze?

- Narobił sporego bałaganu.

- Co przez to rozumiesz?

Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał lord Hawkston:

- Powiedz prawdę, James, bez owijania w bawełnę.

- Dobrze - odparł Taylor. - Mówiąc wprost, złamał zasady postępowania z miejscowymi dziewczętami.

Lord Hawkston zeszywniał.

- Jak mógł zrobić coś takiego?

- Obaj wiemy - ciągnął Taylor - że posiadanie kochanki z pobliskiej wioski czy z innej plantacji jest zupełnie normalne i ogólnie przyjęte.

Lord Hawkston przytaknął skinieniem. Plantator nie mógł zgodnie ze zwyczajem, wybierać kochanki spośród kobiet u niego pracujących.

- Twój siostrzeniec - kontynuował Taylor - znalazł sobie dziewczynę w miesiąc po przyjeździe. Teraz odprawił ją bez zapłaty.

Lord Hawkston wstał.

- Aż trudno w to uwierzyć!

- Niestety, to prawda. I jak możesz sobie wyobrazić, wywołało to spore zamieszanie.

Lord Hawkston milczał przez chwilę, po czym poprosił:

- Opowiedz mi o tym dokładnie. Chcę znać szczegóły.

Wiedział doskonale, że zasady współżycia białych mężczyzn - właścicieli lub zarządców plantacji - z miejscowymi kobietami regulowały stare zwyczaje, akceptowane zarówno przez plantatorów, jak i miejscową ludność. Portugalczycy i Holendrzy, którzy przybyli na wyspę przed Anglikami, żyli z cejlońskimi kobietami, a czasem nawet żenili się z nimi.

Anglicy ustanowili nieco inne zasady. Samotny plantator brał sobie kochankę na warunkach podanych przez ojca kobiety. Sprowadzał ją do swego domu wtedy, kiedy jej potrzebował. Na stałe mieszkała w pobliskiej wiosce albo nawet na terenie plantacji, ale nigdy w domu plantatora. Miejscowe dziewczęta były bardzo atrakcyjne, delikatne i kochające i biali mężczyźni często bywali z nimi bardzo szczęśliwi.

Cejlończycy uznawali za wielki honor fakt, że jedna z ich kobiet może zostać kochanką wielkiego dżuraja, a nawet jeśli z czasem mu się znudziła, nie przynosiło jej to żadnej hańby. Wracała do rodziny zaopatrzona w posag, który pozwalał jej dobrze wyjść za mąż, bo uchodziła wśród swoich za bogatą. Sumę pieniędzy, jaką dostawała, określała niepisana umowa, akceptowana przez obydwie strony.

Jeśli z takiego związku rodziły się dzieci, to mieszkaly z matką, a później osiedlały się często w pewnej górskiej wiosce, zwanej przez miejscowych „Nową Anglią”. Dzieci te były niezwykle piękne; miały ciemną skórę, niebieskie oczy, a czasem nawet jasne włosy.

Bywały też przyczyną nieporozumień, bo rodzice dziewczyny wykorzystywali je często, by wyciągnąć większą

ilość pieniędzy od ojca dziecka. Żądali nieodmiennie bardzo wysokiej zapłaty, nieraz wręcz rujnującej. Przebiegły chłop szedł do handlowej dzielnicy miasteczka, znajdował tam wykwalifikowanego radcę prawnego i uzyskiwał od niego nakaz, który skazywał młodego plantatora na płacenie alimentów przez resztę życia na Cejlonie.

W większości jednak przypadków związki białych mężczyzn z miejscowymi kobietami były satysfakcjonujące dla obydwu stron i jeśli przestrzegano obowiązujących zasad, obywało się bez żadnych przykrych następstw.

Że też Gerald mógł być na tyle głupi, wręcz tępy, by złamać te reguły! To się nie mieściło lordowi Hawkstonowi w głowie.

Plantatorów na Cejlonie uważano powszechnie za najbardziej inteligentnych, kulturalnych i godnych zaufania spośród wszystkich kolonistów w brytyjskich posiadłościach. Na plantacjach kawy, herbaty i kauczuku można było znaleźć miniaturę brytyjskiego społeczeństwa - absolwentów prywatnych szkół i uniwersytetów, biznesmenów, prawników, oficerów, przedstawicieli konserwatystów i liberałów, Anglików, Walijczyków, Szkotów i Irlandczyków. Wszyscy intensywnie pracowali, ale i równie intensywnie się bawili. Gdy tylko się zaaklimatyzowali, czerpali z życia ogromną radość. Tylko niewielu z nich zmuszonych było zaczynać od zera, jak James Taylor czy Chilton Hawk, ale i tak osiągnięcie pozycji perya durai, co oznaczało wielkiego pana, równało się pracy od szóstej rano do szóstej, siódmej wieczorem. Perya durai mieszkał w obszernym domu z ogromnym ogrodem na szczycie wzgórza, a swoje pola objeżdżał konno. W wolnych chwilach mógł polować na dzikie słonie, bawoły, niedźwiedzie i lamparty; mógł łowić ryby, pływać, grać w krykieta i polo, odwiedzać stadiony sportowe i zapisać się do Klubu Brytyjskiego, odległego o dzień jazdy od jego plantacji.

James Taylor rozpoczął szczegółową opowieść: Gerald zaczął pić, jak tylko przyjechał. Bardzo szybko znudziły mu się zajęcia na plantacji i wszystko spadło na barki cejlońskiego zarządcy. Początkowo jeździł do Kandy w poszukiwaniu rozrywki, potem przyłączył się do grupy nie cieszących się dobrą sławą plantatorów, którzy nie lubili pracować, za to cały czas zabawiali się w Kolombo. Zajmowało go to przez jakiś czas, ale wkrótce wyczerpały mu się fundusze i nie mógł sobie więcej pozwalać na kosztowne wypadki do miasta. Brak pieniędzy zmusił go do pozostawania w domu; pił bez przerwy, a jedyną jego rozrywką była Szita, cejlońska dziewczyna, którą upodobał sobie niedługo po przyjeździe.

- Co stało się później? - dopytywał się lord Hawkston.

- Z tego co wiem, jakiś miesiąc temu Gerald spił się i zrobił dziewczynie awanturę. Oskarżył ją o kradzież sygnetu, który zawsze nosił na palcu. Słyszałem, że potem znaleziono go pod jakimś meblem... - Przerwał na chwilę, po czym kontynuował pełnym goryczy głosem: - Twój siostrzeniec obstawał przy tym, że to Szita ukradła sygnet, a ona czuła się bardzo nieszczęśliwa i zdenerwowana, jako że tego nie zrobiła.

Lord Hawkston mógł sobie wyobrazić jej oburzenie. Cejlończycy zatrudnieni na plantacji byli bardzo uczciwi, a poza tym baliby się zabrać z domu pana coś, co do nich nie należało. Przez wszystkie te lata, które spędził na wyspie, nigdy nic mu nie zginęło.

- Gerald kazał dziewczynie wynieść się z domu - mówił dalej Taylor - a ponieważ uznał ją za złodziejkę, odmówił wypłacenia należnych jej pieniędzy.

Lord Hawkston zaczął chodzić po pokoju.

- Głupiec! - krzyknął. - Cholerny idiota!

- Zgadzam się z tobą - powiedział Taylor. - Pojechałem do niego, jak tylko usłyszałem o tym incydencie, ale nie

dotarło do niego nic z tego, co mówiłem. Przypadkiem jednak zobaczyłem na biurku twój telegram. Przeczytałem go i postanowiłem przyjechać, żeby cię o wszystkim uprzedzić.

- Cieszę się, Jamesie.

- Ale w tym telegramie - ciągnął Taylor - napisałeś „przyjeżdżam z Emilią w piątek”. Czy to znaczy, że przywiozłeś Geraldowi żonę? Ludzie gadali o tym. Wiesz, że w takiej małej miejscowości nic nie da się ukryć.

- Przywiozłem młodą kobietę, która zaręczyła się z moim siostrzeńcem przed jego wyjazdem z Anglii - odparł oschle lord Hawkston. - Niestety, odkryłem, że ta kobieta interesuje się kimś innym i nie zezwolę na małżeństwo.

James Taylor zagwizdał cichutko.

- Kolejny kłopot - powiedział. - No cóż, muszę przyznać, Chiltonie, że źle się złożyło, bo jedyne, co mogłoby ocalić Geralda, to rozsądna żona, która odciągnęłaby go od picia i uwolniła od samotności. Gerald najwyraźniej nie umie żyć sam.

- Spróbuję znaleźć mu jakąś żonę - oświadczył Hawkston i cicho dodał: - Ale na pewno nie będzie nią Emilia Ludgrove.

James Taylor spojrział na zegarek.

- Muszę już iść - powiedział. - Chciałbym zdążyć na poranny pociąg do Kandy. Zależało mi, żeby cię uprzedzić o tym, co zastaniesz. Mam nadzieję, że jakoś dasz sobie z tym wszystkim radę. Odwiedź mnie potem, Chiltonie. Pokażę ci parę innowacji, jakie wprowadziłem.

- Wiesz doskonale, że nic nie sprawi mi większej przyjemności - odparł lord Hawkston. - Dziękuję ci, Jamesie. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

- Wolałbym przywieźć ci jakieś lepsze wieści - stwierdził Taylor. - Ale powiem ci na pocieszenie: eksport herbaty przekroczy w tym roku pięć milionów cetnarów.

Lord Hawkston uśmiechnął się.

- Właśnie coś takiego chciałem usłyszeć.

- Moja plantacja kwitnie - obwieścił Taylor - a twoja rozkwitnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy tylko sam się nią zajmiesz. Potrzebujemy cię, Chiltonie. Wszyscy. Cejlon też.

- Nie kuś mnie - odparł lord Hawkston. - Wiesz, że wolałbym mieszkać tutaj niż gdziekolwiek indziej.

Nie było wątpliwości, że mówi prawdę.

James Taylor położył rękę na ramieniu przyjaciela.

- Zobaczymy się później, Chiltonie. Wrócimy do tego tematu.

Lord Hawkston odprowadził gościa, po czym, marszcząc brwi, wrócił do pokoju.

Wiedział, że powinien teraz porozmawiać z Emilią. Potem musi zastanowić się, co powie siostrzeńcowi. Przyszłość nie rysowała się zbyt różowo, ale dostrzegłszy zaciśnięte usta lorda, ci, którzy go znali, domyśliliby się, że Chilton Hawk rozpoczął właśnie bitwę, z której, jak zawsze, wyjdzie zwycięsko.

Dwadzieścia minut później Emilia zeszła do salonu, gdzie oczekiwał jej lord Hawkston. Musiał przyznać, że wyglądała prześlicznie.

Zakupiona w Londynie suknia została uszyta według najnowszej mody i doskonale podkreślała figurę Emilii, jej kolor zaś uwydatniał błękit oczu i niemal oślepiający blask złocistych włosów dziewczyny. Chyba po raz pierwszy lord Hawkston dostrzegł, jak bardzo jest piękna i pomyślał, że może rzeczywiście byłoby absurdem odizolować ją na plantacji herbaty od wszystkich wielbicieli.

- Dzień dobry, milordzie! - powiedziała Emilia, patrząc na niego kokieteryjnie, tak jak spoglądała na każdego mężczyznę, bez względu na wiek, gdy znalazła się z nim sam na sam.

- Dzień dobry, Emilio - odpowiedział lord Hawkston. -
Usiądź, proszę. Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Brzmi to nieco złowieszczo - zauważyła Emilia. - Czy
coś się stało?

- Chciałbym cię poinformować, że zamierzam odesłać cię
do Anglii najbliższym statkiem. - Zobaczył, że żrenice
dziewczyny rozszerzyły się ze zdumienia, ale mówił dalej, tak
że nie zdążyła się odezwać. - Przypadkiem byłem w ogrodzie
wczoraj wieczorem i widziałem, że kapitan O'Neill złożył
wizytę nieco odbiegającą od ogólnie przyjętych norm.

Przez chwilę Emilia milczała, po czym powiedziała:

- Kapitan O'Neill poprosił o moją rękę.

- Myślę, że nie mógł tego nie zrobić - odparł sucho.

- A ja właśnie się zastanawiałam - kontynuowała Emilia -
jaką dać mu odpowiedź.

- Wybór jest prosty - odrzekł lord Hawkston. - Albo
przyjmiesz jego oświadczenia, albo odeślę cię do Anglii.

- W takim razie chyba się pan domyśla, milordzie, co mu
odpowiem - odparła z uśmiechem. - Jestem pewna, że
przeprosi pan Geralda w moim imieniu, ale mówiąc prawdę,
wątpię, czy bylibyśmy szczęśliwi po tak długiej rozłące.

Jeszcze mówiąc wstała z sofy, a lord Hawkston pomyślał,
że wybrnęła z sytuacji ze spokojem, jakiego się po niej nie
spodziewał.

- Jeśli to wszystko, co chciał mi pan powiedzieć,
milordzie - ciągnęła - napiszę teraz list do kapitana O'Neilla;
sądząc po jego zapewnieniach, uczyni to go najszczęśliwszym
człowiekiem na świecie.

- Nie mam już nic więcej do powiedzenia - odparł lord
Hawkston. - Mam wrażenie, że nie interesuje cię, co myślę o
twoim zachowaniu.

- Rzeczywiście nie - potwierdziła Emilia, - Albo pan
niczego nie rozumie, milordzie, albo już pan zapomniał, co to

znaczy być młodym. Starość trwa bardzo długo, więc póki jestem młoda, zamierzam cieszyć się każdą chwilą. A wokół mnie przewija się mnóstwo mężczyzn, którzy umierają z niecierpliwości, żeby mi w tym pomóc.

Lord Hawkston uznał, że taka wypowiedź nie wymaga komentarza, skłonił więc tylko nieco ironicznie głowę, a Emilia szybko skierowała się w stronę drzwi. Zanim wyszła, odwróciła się jeszcze i słodkim głosem powiedziała:

- Proszę przekazać Geraldowi, jak niezmiernie mi przykro, że tak bardzo go zraniłam, i że chciałabym, abyśmy pozostali przyjaciółmi.

Zanim lord Hawkston zdążył cokolwiek odpowiedzieć, już jej nie było. W końcu nie mógł powstrzymać śmiechu, choć mocno zdenerwowało go jej zachowanie. Przyznał sam przed sobą, że nie spodziewał się po niej takiego tupetu i że jeśli jakaś dziewczyna mogła utrzymać Geralda w ryzach, to właśnie Emilia.

Z drugiej strony musiał uznać jej racje. Nie potrafiłaby się przystosować do samotniczego życia prowadzonego na górskich plantacjach. A nawet gdyby zamieszkali w Kolombo albo wrócili do Anglii, życie z Geraldem nie usatysfakcjonowałoby jej. Z pewnością nie widziałaby nic niewłaściwego w przyjmowaniu hołdów adorujących ją mężczyzn i ranieniu w ten sposób uczuć męża, z pewnością też byłaby przekonana, że Gerald powinien się z tym pogodzić.

Lord Hawkston westchnął ciężko. Tę sprawę już załatwił. Czas teraz zmierzyć się z Geraldem. Lord Hawkston, podobnie jak jego przyjaciel, uważał, że chłopakowi potrzebna jest rozsądna żona. Kłopot polegał na tym, gdzie taką znaleźć.

Stał, patrząc na ogród pełen jaskrawych barw. Rosły w nim purpurowe orchidee, szkarłatne hibiskusy i białe, przypominające trąbki kwiaty uroczynu, zwanego też

drzewkiem świątyni. Miejsce to od razu kierowało myśl ku miłości i zakochanym, na przekór jednak otoczeniu lord Hawkston uznał, że jest ostatnim człowiekiem zdolnym wybrać żonę dla swego siostrzeńca. W końcu nie umiał jej znaleźć nawet dla siebie. Miał już trzydzieści siedem lat i doszedł do wniosku, że zostanie starym kawalerem, W Anglii zauważył, że krewni życzyliby sobie jego ożenku, zapoznali go też z mnóstwem atrakcyjnych wdów i panien, które z różnych względów nie wyszły za mąż w młodości. Oczekiwali, że zakocha się w którejś z nich, a gdy tak się nie stało, dali wyraz swemu rozczarowaniu. Ciotka nawet wprost poruszyła ten temat.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, Chiltonie - powiedziała - że mógłbyś się teraz ustatkować i spłodzić syna. Zawsze uważałam, że tytuł powinien być dziedziczony w prostej linii.

- Jednak nie da się powiedzieć, że ja otrzymałem go po ojcu - odparł z uśmiechem.

- Wiem o tym i właśnie dlatego uważam, że trzeba, byś miał syna, i to jak najszybciej.

- Najpierw musiałbym znaleźć sobie żonę.

- Przeprowadziłam rozeznanie w tej kwestii i znalazłam kilka bardzo odpowiednich dam.

- Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie - odrzekł lord Hawkston. - Proszę mi wybaczyć szczerą, ciociu Alicjo, ale nie zamierzam żenić się dla tytułu, majątku czy koligacji.

- Ależ, Chiltonie, nie bądź zbyt wymagający - odparła ostro. - Przecież nie mówię, byś się ożenił z rozsądku, ale masz już swoje lata i nie możesz się spodziewać, że widok jakiejś pięknej dziewczyny zupełnie zwali cię z nóg.

- Wiem, masz rację, ciociu - odrzekł z uśmiechem.

- Dlatego wydaje mi się, że jeśli poznam cię z jakąś czarującą kobietą w wieku dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, a nawet może trochę starszą, obytą i doświadczoną, której

towarzystwo będzie dla ciebie naprawdę przyjemne, to na pewno z czasem wzbudzi ona gorące uczucie w twoim sercu.

Problem polegał na tym, że kobiety, które ciotka uznawała za odpowiednie, nie wydawały mu się ani interesujące, ani zdolne wywołać jakieś cieplejsze uczucia.

Pomyślał, że po prostu zbyt wiele oczekuje, bo choć sprawiał wrażenie powściągliwego i srogiego, to w głębi serca tęsknił za miłością, która znaczyłaby dla niego tyle co piękno Cejlonu. Bardzo często, kiedy spoglądał z werandy swego domu na wyspie na wznoszące się ku niebu zielone wzgórza, na kryształową wodę potoku płynącego przez dolinę, miał wrażenie, że uroda tego krajobrazu wywołuje w nim uczucie podobne do pożądania budzącego się na widok pięknej kobiety.

„Przecież to bzdura - zakochać się w kraju” - tłumaczył sobie, a mimo to wiedział, że pokochał Cejlon tak, jak mąż kocha żonę. Urzekające łagodne piękno tej szlachetnej wyspy, a także jej ciepłe, wilgotne powietrze przywodziły na myśl kobietę i wzbudzały bardzo silne emocje.

„Taka właśnie powinna być miłość!” - mówił sobie, próbując śmiać się z własnych wyobrażeń.

ROZDZIAŁ 2

Lord Hawkston postanowił, że w sprawie znalezienia żony dla Geralda zasięgnie rady gubernatora. Zastanawiał się, ile właściwie ma powiedzieć sir Arthurowi, ale już na wstępie rozmowy przekonał się, że Emilia go ubiegła.

Sir Arthur Gordon, wnuk księcia Aberdeen, którego lord Hawkston poznał tuż przed wyjazdem do Anglii, był człowiekiem dumnym i pełnym godności. Budził w swoich podwładnych zarówno strach, jak i szacunek.

Kiedy w roku 1883 objął stanowisko gubernatora na Cejlonie, na wyspie dawał się jeszcze we znaki kryzys ekonomiczny spowodowany wyniszczeniem plantacji kawy, ale już powoli plantatorzy zaczęli przestawiać się na uprawę herbaty i chininowców. Sir Arthur osobiście zainteresował się tymi zmianami, a szczególnie produkcją herbaty. Wysłał inspektorów, by zaznajomili się z osiągnięciami Jamesa Taylora i lorda Hawkstona. Przedstawione mu raporty wywarły na nim duże wrażenie, tak że sam odwiedził później kilka plantacji.

Zarówno James Taylor, jak i lord Hawkston lubili gubernatora i bez trudu przekonali go, że dzięki uprawie herbaty Cejlon znów zacznie kwitnąć. Tym, co lord Hawkston szczególnie cenił u sir Arthura, było traktowanie wszystkich ras na równi, co uwidaczniało się na każdym kroku. Pamiętał, jak tuż przed jego wyjazdem do Anglii Klub Europejski w Kolombo próbował wykluczyć ze swego grona pewnego Cejlończyka. Gubernator zagroził wówczas, że wycofa swe poparcie dla klubu. Lord Hawkston podziwiał sir Arthura również za to, że bronił on interesów miejscowych nadzorców i praw własności duchownych w świątyniach buddyjskich. Sir Arthur Gordon był najbardziej światłym i postępowym gubernatorem na przestrzeni wielu lat.

To on właśnie polecił wyremontować zbiorniki i kanały irygacyjne i zakończył budowę falochronów, pod które kamień węgielny położył w porcie w Kolombo książę Walii w 1875 roku. On też rozbudował sieć kolejową i zaczął budować nowe drogi, których łączna długość miała osiągnąć czterysta dwadzieścia kilometrów.

Lord Hawkston pomyślał, że w Anglii trudno byłoby ludziom uświadomić sobie, jak wielką władzę sprawuje gubernator Cejlonu, który nie tylko panuje, ale i rządzi, a otaczają go przepych i parada właściwe dworowi królewskiemu. Gubernator posiadał własne rezydencje w Kolombo, Nuwarze, Slii, Kandy i Dżafnie. Cejlońska straż przyboczna wyglądała bardziej imponująco niż angielscy halabardnicy, a oddział sikhiskiej kawalerii eskortował sir Arthura Gordona w czasie wizyt. Podróżował specjalnym pociągiem, strzegł go zaś pułk wojska. Przez jego ręce przechodziły wszystkie noty wysyłane do królowej. Do niego zawsze należało ostatnie słowo i tylko on sam wiedział, jakie to słowo będzie.

Warto pamiętać, że sir Arthur był arystokratą świadomym swego autorytetu, dlatego też lord Hawkston nie był pewien, jaką cześć prawdy o Emilii ma mu wyjawić. Ostatecznie zdecydował, że nie wspomni o tajemniczym spotkaniu z kapitanem O'Neillem. Nie żeby zależało mu na ochronie reputacji dziewczyny, ale polubił Patricka O'Neilla i nie chciał mu stwarzać dodatkowych problemów; będzie miał ich wystarczająco dużo z żoną taką jak Emilia. Wchodząc do gabinetu gubernatora, lord Hawkston zauważył, że sekretarz został już odesłany i są sami.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć - zaczął z uśmiechem sir Arthur. - Panna Ludgrove zdążyła mnie poinformować, że zamierza poślubić kapitana O'Neilla. - Ponieważ lord Hawkston nie odpowiedział, sir Arthur kontynuował: -

Rozumiem, że musi to być dla ciebie bardzo przykre, skoro przywiozłeś ją tu specjalnie po to, by mogła wyjść za twego siostrzeńca. A po tym, co słyszałem, sądzę, że powinien założyć rodzinę i ustabilizować się nareszcie.

Fakt, że gubernator wie, jak Gerald się prowadzi, nie zaskoczył Hawkstona. Sir Arthur był znacznie bardziej dociekliwy, niż to się większości ludzi wydawało. Można by sądzić, że wspaniałość i przepych życia związane z pełnieniem tak wysokiej funkcji odgradzają go od codziennego zwykłego życia, a jednak wiedział niemal o wszystkim, co działo się nie tylko w Kolombo, ale i w innych częściach kraju.

- Wasza ekscelencjo, obawiam się, że mój siostrzeniec zupełnie się ośmieszył - przyznał lord Hawkston.

- Zdarza się to bardzo wielu młodzieńcom, kiedy przyjeżdżają tutaj po raz pierwszy - odparł sir Arthur. - A obaj dobrze wiemy, że jeśli ktoś chce się wyszumieć i ma pieniądze, to znajdzie mnóstwo kompanów, którzy chętnie mu w tym pomogą.

- To prawda - przyznał niechętnie Hawkston. Świetnie pamiętał, jak po przyjeździe do Kolombo rzucił się w wir zabaw i hulank, ale że był rozsądny, nie zamierzał przepuszczać zbyt wiele na wyzywająco ubrane kobiety i wątpliwej wartości rozrywki, których mnóstwo czekało w mieście na takich żółtodziobów jak on. Mimo to kontynuował potem bardzo miłą znajomość z pewną śliczną Portugalką i odwiedzał ją w Kandy, gdy tylko mógł oderwać się od obowiązków na plantacji. Związek ten trwał kilka lat, jednak Hawkston utrzymywał go w tajemnicy. Toteż fakt, że nawet gubernator wiedział o hulankach Geralda, uraził jego dumę.

- Powiniennem był jakoś lepiej się nim zaopiekować - stwierdził gubernator. - Gerald gościł tutaj kilkakrotnie, ale jak wiesz, w moim domu nie panuje zbyt luźna atmosfera, a obowiązujące formy są dla młodych nudne i męczące.

Sekretarz mówił mi, że wysłaliśmy Geraldowi zaproszenie na przyjęcie z okazji Bożego Narodzenia, ale nie odpowiedział na nie.

Lord Hawkston zacisnął usta. Serdecznie nie znosił braku dobrego wychowania. Nie miał zbyt wiele czasu, by poznać Geralda w Anglii, ale wydawało mu się, że chłopak potrafi przynajmniej zachować się odpowiednio.

- Tak czy owak - ciągnął sir Arthur - pozostaje pytanie, co zamierzasz z nim zrobić.

- Ekscelencjo, chcę znaleźć mu żonę - odparł sucho. - Wprawdzie przywiozłem dziewczyn"?", którą sam sobie wybrał, ale plany się pokrzyżowały i muszę wyszukać jakąś inną kandydatkę.

Sir Arthur roześmiał się.

- To właśnie cały ty. Cieszysz się opinią człowieka, którego nie można pokonać i muszę przyznać, że Gerald jest szczęściarzem mając takiego wuja.

- Ale potrzebuję pańskiej pomocy, wasza ekscelencjo.

Gubernator znowu się roześmiał.

- Trudno mi uwierzyć, że mógłbym być ci w czymkolwiek pomocny. Nie ma tu wprawdzie zbyt wielu czarujących młodych panien, ale myślę, że znalezienie odpowiedniej dziewczyny nie będzie specjalnie trudne; w Kolombo mieszka sporo angielskich rodzin. - Usiadł przy biurku i podparł czoło ręką. - Pozwól, że chwilę pomyślę. Nie znam dokładnie rodzin oficerów, ale chyba któremuś uchowała się jeszcze jakaś córka.

- Wołałbym kogoś, kto mieszka w Kolombo od dłuższego czasu - odrzekł lord. - Sam tak bardzo pokochałem ten kraj, że zapomniałem o istnieniu tych, którzy nie przywykli do tutejszego, nieco odmiennego trybu życia i mogą nie być nim w pełni usatysfakcjonowani.

- Spodziewam się, że masz na myśli ciągle osamotnienie na plantacji - powiedział poważnie sir Arthur. - Będziesz musiał znaleźć naprawdę wyjątkową dziewczynę, taką, którą zadowoli tego rodzaju życie. Wybacz to, co powiem, ale od chwili, kiedy ujrzałem pannę Ludgrove, wiedziałem, że ona nie jest tego typu osobą.

- Ja też to zrozumiałem, ale w końcu to Gerald ją sobie wybrał.

- I myślisz, że teraz bez wahania zaakceptuje twój wybór?

- Zrobi, co mu każę, chyba że woli wrócić do Anglii - oświadczył Hawkston. - Ale i tak będzie musiał zapracować na bilet, bo nie zamierzam za niego płacić.

Wyrzekł to surowym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. Ci, którzy z nim pracowali, znali ten sposób mówienia doskonale.

Gubernator popatrzył na niego uważnie:

- Decydowanie za kogoś w sprawach miłości i małżeństwa jest bardzo niebezpieczne. Uważaj, możesz się na tym sparzyć.

- Dziękuję za ostrzeżenie, wasza ekscelencjo, ale tym bardziej potrzebuję pańskiej pomocy.

- Przeglądałem przed chwilą listę gości zaproszonych na dzisiejszą kolację - powiedział gubernator. - Niestety nie ma wśród nich nikogo odpowiedniego. Najlepsze, co mogę ci poradzić, to żebyś poszedł na jutrzejszą mszę i przyjrzał się wiernym. - Zauważywszy wyraz twarzy lorda Hawkstona, dodał z uśmiechem: - Dobrze wiesz, że goszcząc w moim domu, masz obowiązek towarzyszyć mi na porannej mszy.

- Jestem gotów go wypełnić - odrzekł Hawkston.

- To nie będzie aż tak straszne, jak się obawiasz - ciągnął sir Arthur. - Przykazałem pastorowi, żeby ograniczał swoje kazania do piętnastu minut.

Następnego ranka lord Hawkston rzeczywiście rozglądał się po kościele świętego Piotra w pobliżu Domu Królowej.

Zauważył, że w ławkach zasiadały bardzo eleganckie damy. Ich widok zaskoczyłby wszystkich, którzy by sądzili, że Cejlon to zwykła prowincja nie nadążająca za modą. Panie miały na sobie nie tylko modne, ale wręcz wytworne suknie z tafty, jedwabiu, atłasu i krepy ozdobione koronkami, wstążkami i butonami. Na elegancko uczesanych głowach nosiły dobrane do sukni kapelusze, przybrane kwiatami i piórami.

Hawkston słyszał wprawdzie, że niedziela jest w Kolombo dniem rewii mody, ale dotychczas nigdy nie uczestniczył tutaj w nabożeństwie, toteż zdziwił się widząc tak wielu Europejczyków. Zauważył, że było wśród nich sporo atrakcyjnych kobiet. Podejrzewał jednak, że te najbardziej eleganckie i z pewnością najbardziej obyte są żonami oficerów i wysokich urzędników państwowych.

W tylnej części kościoła siedzieli Cejlończycy. Wyglądali niezwykle barwnie w kolorowych sari z jedwabiu i bawełny batikowanych specjalną techniką woskową, w której przodowali miejscowi tkacze. Soczyste, egzotyczne barwy i różnorodne tkaniny, poczynając od zwykłych, cienkich jak pajęczynka do tych aż lśniących od ozdób, sprawiały, że cejlońscy wierni przypominali bukiet kwiatów na tle kamiennych ścian kościoła.

Gubernator, przywitany w drzwiach świątyni przez ubranego w komżę pastora, zajął swe miejsce w prezbiterium. Na ławkach leżały tu wygodne poduszki, a śpiewniki zdobił herb brytyjski.

Na wprost stali gubernatora znajdowały się krzeselka dla chórzystów, a tuż za nimi organy. Gdy nabożeństwo się zaczęło, zasiadła za nimi młoda kobieta ubrana w białą bawełnianą sukienkę i brzydki czarny kapelusz z czarnymi wstążkami zawiązanymi pod brodą. W porównaniu z obecnymi w kościele kobietami wyglądała bardzo skromnie.

Po chwili Hawkston zauważył, że takie same sukienki ma jeszcze pięć dziewcząt siedzących w chórze.

Wszystkie nosiły identyczne sukienki, przewiązane wąskimi czarnymi szarfami, czarne kapelusze i czarne rękawiczki. Z początku pomyślał, że to taki strój chórzystek, ale zaraz usłyszał szept sir Arthura:

- To córki pastora. Ma ich sześć.

- Sześć? - niemal krzyknął Hawkston.

- Jego żona umarła dwa lata temu - szeptał zza modlitewnika gubernator. - Od tego czasu całkowicie poświęca się wypominaniu ludziom grzechów i straszeniu ich ogniem piekielnym.

Lord Hawkston z zainteresowaniem spojrział na pastora. Zobaczył chudego, posepnie wyglądającego mężczyznę, który w młodości mógł być nawet przystojny. Teraz - przeraźliwie wychudzony i trupio blady - sprawiał wrażenie człowieka, który wyrzekł się wszystkich przyjemności życia.

Był w jego twarzy jakiś rys fanatyzmu i Hawkston domyślał się, że zamęcza swoje córki nadmierną surowością i ascetycznym wychowaniem.

Spojrział ponownie na dziewczęta. Najstarsza, siedząca na wprost niego, wydawała się dość ładna, ale nie mógł w pełni tego ocenić, bo kapelusz zasłaniał jej twarz. Pozostałe, właściwie jeszcze dzieci, miały bladą cerę, małe zadarte noski i duże oczy, w których malowała się ciekawość, kiedy nieprzerwanie rozglądały się po kościele.

Grająca na organach dziewczyna musiała mieć oczy również z tyłu głowy, bo kiedy jej najmłodsza siostra wierciła się niespokojnie, odwróciła się szybko i przywołała ją do porządku, podając jednocześnie cejlońskiemu chórzycie otwarty modlitewnik - najwyraźniej chłopak nie potrafił samodzielnie znaleźć właściwej strony. Kiedy nie musiała grać na organach, pilnowała chórzystów.

„Wygląda na to, że ta młoda kobieta jest bardzo zaradna” - pomyślał lord Hawkston widząc, jak dziewczyna ponownie podaje otwarty modlitewnik chłopcu, który nie ma pojęcia, jakich udzielać odpowiedzi na wezwania księdza.

Gdy wstała, dostrzegł, że ma smukłe, ładne kształty, których, o dziwo, nie zdołała skryć sukienka z grubej bawełny.

Lord Hawkston zdążył dobrze poznać życie na Cejlonie, nie uszło więc jego uwagi, że sukienki córek pastora uszyte są z najtańszego materiału, z którego szyli zwykle swe ubrania najbiedniejsi Cejlończycy. Gubernator powiedział, że matka dziewcząt zmarła dwa lata temu. Oznaczało to, że albo pastor hołdował zwyczajowi długiej, męczącej żałoby, tak modnej obecnie w Anglii, albo kazał córkom nosić czarne kapelusze, dopóki zupełnie się nie zniszczą i konieczne będzie kupno nowych.

Chór wstał właśnie, aby odśpiewać hymny, i Hawkston zauważył, że choć organy są bardzo stare, dziewczyna gra na nich świetnie. Najwyraźniej miała talent muzyczny.

Przez całą mszę rozmyślał o rodzinie pastora i zastanawiał się, jakie też prowadzą życie. Słuchając kazania duchownego, zorientował się, w jakiej atmosferze dorastają jego córki. Niewątpliwie gubernator miał rację twierdząc, że człowiek ten jest opętany myślą o grzechu i nieodwracalnej karze ognia piekielnego, która będzie nałożona na wszystkich grzeszników. Przemawiał z niesłychaną gorliwością i jasne było, że wierzy w to, co mówi. Na pewno był księdzem z powołania, ale ciężko musiało się żyć, mając go za ojca.

W pewnej chwili pastor się zawahał, zagubiony - chyba przewrócił dwie kartki naraz. Najstarsza córka natychmiast spojrzała na leżące na pulpicie kazanie i wtedy Hawkston zobaczył jej twarz.

Była w kształcie migdała. Ozdabiał ją mały, prosty nos i szare, jak mu się z daleka wydawało, oczy. Łagodne łuki brwi na owalnym czole przypominały rozpostarte skrzydła ptaka, a platynowe włosy, niemal całkiem schowane pod kapeluszem, zostały związane w ciasny węzeł z tyłu głowy; dziewczynie nie było z tym do twarzy.

W końcu pastor odnalazł właściwą kartkę, co uspokoiło młodą kobietę. Przyjrzała się uważnie chórzystom i pochyliła, by upomnieć jakiegoś chłopczyka bawiącego się procą. Dzieciak wyciągnął ją z kieszeni pod komzą; zaskoczony, że córka pastora to zauważyła, upuścił i procę, i kamień, którym zamierzał strzelić. Zabawka upadła na ziemię z głuchym odgłosem. Dziewczyna najwyraźniej chciała mu powiedzieć, żeby ją tam zostawił i zaczekał do końca mszy, ale nie zdążyła. W obawie, że straci swój bezcenny skarb, chłopiec rzucił się na ziemię i czołgając między nogami kolegów, próbował podnieść procę. W końcu mu się to udało, więc szybciotko wrócił na miejsce, spoglądając z przestachem na córkę pastora. Popatrzyła na niego karcąco, ale już po chwili, pochylając głowę i bijąc się w piersi, pochwyciła spojrzenie siostry i uśmiechnęła się do niej rozbawiona.

Uśmiech stał z jej twarzy uroczystą powagą i w tej samej chwili lord Hawkston podjął decyzję. Uznał, że to jest właśnie odpowiednia żona dla Geralda. Umiała przecież poradzić sobie i z fanatycznym ojcem, i z grupą psotnych chórzystów, i z licznym rodzeństwem. Niewątpliwie potrafi też odpowiednio pokierować jego siostrzeńcem. Tak, zdecydowanie warto było głębiej się nad tym zastanowić. Nie mógł się zresztą oprzeć wrażeniu, że znacznie lepiej nadawała się na żonę zdolną nawrócić Geralda niż wszystkie te damy szeleszczące jedwabiem i atłasem i - z pewnością - nie przejmujące się zupełnie kazaniem pastora.

- Proszę opowiedzieć mi o pastorze, Wasza Ekscelencjo - poprosił Hawkston gubernatora, kiedy wracali do Domu Królowej powozem zaprzężonym w przepiękne konie.

- Trudno go zrozumieć - odparł sir Arthur. - Wciąż skarży mi się, że w porcie i mniej eleganckich dzielnicach kwitnie grzech i występki, a ja muszę mu wyjaśniać, że nie do mnie należy kontrolowanie, w jaki sposób ludzie wydają swoje pieniądze, i dopóki nie łamią prawa, nie mogę się do tego wtrącać.

- A jakie są jego córki? - dopytywał się Hawkston.

- Ledwie je znam. Od czasu do czasu są zapraszane na rozmaite przyjęcia, ale ich ojciec tak ściśle przestrzega żałoby po żonie, że najprawdopodobniej nie pozwala dziewczynom na nic; mogą się tylko modlić. Tak więc jedynie najstarszą widuje się czasem na zebraniach dotyczących szkółki niedzielnej albo kwestach na rzecz ubogich.

- Wygląda zatem, że mają bardzo ponure życie - stwierdził lord.

- Myślę, że dla większości młodych kobiet byłoby zupełnie nie do zniesienia - podsumował gubernator.

- Czytałem gdzieś, że chrześcijaństwo i szkolnictwo rozpowszechnione są na Cejlonie znacznie bardziej niż w jakimkolwiek wschodnim kraju - zauważył Hawkston.

- Chyba jest tak naprawdę - odpowiedział sir Arthur. - Ostatni spis wykazał, że mamy dwieście dwadzieścia tysięcy katolików, pięćdziesiąt tysięcy protestantów i około dwóch milionów buddystów. - Zrobił krótką przerwę, po czym dodał z iskierką w oku; - Poza tym mamy jeszcze tysiąc pięciuset trzydziestu dwóch czcicieli szatana, stu dwudziestu jeden zaklinaczy węży, sześciuset czterdziestu trudniących się biciem w tam - tamy oraz pięć tysięcy oszustów i notorycznych żebraków.

Lord Hawkston roześmiał się głośno.

- Niezła mieszanka!

Na tym skończyli rozmowę, bo dojechali właśnie do domu.

Po lunchu Hawkston odszukał sekretarza gubernatora. Był to starszy pan, które całe swoje życie spędził w Kolombo i pracował już dla niejednego gubernatora; każdy niezmiernie cenił sobie jego wiedzę o tym kraju i ludziach.

- Chciałbym usłyszeć wszystko, co pan wie o pastorze z kościoła świętego Piotra - poprosił lord.

- Pastor nazywa się Radford - zaczął sekretarz. - Mieszka w Kolombo od dwudziestu dwóch lat i tutaj się ożenił. Żywi święte przekonanie, że mieszkańcy Domu Królowej są gruboskórna, pozbawiona wszelkich uczuć banda, której obojętne jest jego gorące pragnienie wyplenienia zła z Kolombo.

- No cóż, powinien porównać Kolombo z innymi miastami portowymi - stwierdził sucho Hawkston. - Musiałby ze zdziwieniem spostrzec, że nasze jest, mimo wszystko, świetlanym przykładem cnoty.

- Może nie posunąłbym się aż do takiego stwierdzenia, milordzie, ale rzeczywiście nie ma tu zbyt wiele występku i można przyjąć, że ludzie są porządni.

- Zawsze tak uważałem - przyznał Hawkston. - Ale proszę mi powiedzieć, co pan wie o pani Radford.

- Była czarującą kobietą - odpowiedział sekretarz. - I jeśli ktokolwiek potrafił sprawić, żeby pastor zachowywał się jak normalny człowiek, to tylko ona. Pochodziła z hrabiowskiej rodziny w Anglii, a jej ojciec był związany z Ogrodem Botanicznym w Kew. Przywiózł ją do Kolombo, gdy tu przybył, żeby doradzić ówczesnemu gubernatorowi, jakie drzewa i kwiaty najlepiej będą rosły na tutejszej glebie. Wtedy właśnie poznała pastora, wówczas jeszcze wikarego, i zakochała się w nim. - Sekretarz zrobił krótką przerwę, po

czym dodał: - Kiedy pierwszy raz spotkałem Radforda, był przystojnym młodym mężczyzną, ale już wtedy emanowała z niego jakaś gorliwość, wręcz fanatyzm, i domyślałem się, że życie z nim musi być ciężkie.

- Urodziło im się sześć córek?

- Pastor zawsze ubolewał nad tym, że nie ma syna - wyjaśnił sekretarz, - Pierwsza była panna Dominika, potem panna Wiara. Trzeciej córce nadał imię Nadzieja, ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że po niej urodziły się jeszcze trzy dziewczynki: panna Charitas, panna Łaska i panna Prudencja!

- Jezus Maria! - wykrzyknął Hawkston. - Co za imiona! Biedne dziewczyny, muszą męczyć się z nimi do końca życia.

- Dominika miała szczęście - ciągnął sekretarz. - Urodziła się w niedzielę, więc imię było w sam raz, ale pozostałe imiona to prawdziwy krzyż dla dziewcząt.

- Wyobrażam sobie - zauważył lord.

- To naprawdę miłe dziewczęta - powiedział sekretarz. - Moja żona ma o nich bardzo dobre zdanie. Od czasu do czasu dostają pozwolenie odwiedzenia mojej córki, która jest kaleką. Poza tym raczej nie mają żadnych rozrywek. Pastor nie aprobejuje świeckich zainteresowań.

- Zamierzam złożyć pastorowi wizytę - obwieścił Hawkston. - Czy mogę się powołać na pana?

Sekretarz uśmiechnął się.

- Lepiej, żeby się pan powołał na gubernatora, milordzie - poradził. - Wbrew samemu sobie, pastor pozostaje pod dużym wrażeniem Jego Ekscelencji.

- Dziękuję za radę.

Lord Hawkston wybrał się na plebanie o czwartej po południu. Wydawało mu się, że jest to nie tylko właściwa pora na odwiedzin, ale też nie ma w tym czasie żadnego nabożeństwa.

Drzwi otworzyła mu jedna z dziewcząt, wyglądająca na jakieś czternaście lat. Domyślił się, że musi to być Charitas. Dziewczynka zdziwiła się na jego widok, a kiedy wyjaśnił, że chciałby porozmawiać z pastorem, nieco zakłopotana wprowadziła go do pokoju mówiąc, że zaraz przyprowadzi ojca.

Lord Hawkston rozejrzał się po pokoju i stwierdził, że choć urządzony jest bardzo ubogo, to jednak gustownie. Zasłony uszyte były z taniutkiego materiału, ale ułożono je naprawdę ładnie, a w dodatku ich kolor przypominał błękit morza. Na sofie nie leżała ani jedna poduszka, a podłogę, wymytą tak, że aż lśniła czystością, pokrywało zaledwie kilka tanich cejlońskich mat. Nie licząc jednej akwarelki, białe ściany były gołe. Na skromnym stoliku przy kominku stał wazonik z kwiatami, a w całym pokoju rozchodził się zapach suszonych kwiatów. Po chwili zresztą lord Hawkston zauważył wypełnioną nimi szklaną miseczkę, stojącą na parapecie, gdzie normalnie padałyby promienie słońca. Dziś jednak była niedziela, więc żaluzje opuszczono i tylko przez niewielką szparę nad parapetem wpadało trochę światła.

Lord Hawkston wiedział, że zasłanianie okien w dzień pański jest powszechnie przyjęte w Szkocji i w niektórych wioskach angielskich, ale nie spodziewał się, że ktoś będzie przestrzegał tego zwyczaju na Cejlonie.

Kiedy zobaczył wchodzącego do pokoju pastora, domyślił się, że najwyraźniej popełnił grzech odwiedzając go w niedzielę.

Pan chciał mnie widzieć? - zapytał, a Hawkston pomyślał, że wygląda jeszcze bardziej ponuro i mizernie niż w kościele.

Posępna czerń jego ubrania, ostro zarysowane kości policzkowe, wychudzona twarz i siwe włosy - niemal białe na skroniach, sprawiały, że przypominał starożytnego proroka

przestrzegającego mieszkańców Sodomy i Gomory przed Sądem Ostatecznym.

- Jestem lord Hawkston. Pastor lekko skłonił głowę.

- Korzystam z gościny gubernatora w Domu Królowej - ciągnął Hawkston. - Przyszedłem tu, pastorze, ponieważ potrzebuję pańskiej pomocy i chciałbym z panem omówić coś bardzo ważnego.

Zaraz po wejściu ojca do salonu Charitas zamknęła za nim drzwi i pobięła na górę.

Dominika była w swojej sypialni, którą dzieliła z Wiarą. Zdejmowała właśnie kapelusz po powrocie ze szkółki niedzielnej, gdzie prowadziła zajęcia bezpośrednio po lunchu.

Charitas wpadła do pokoju jak burza i zapytała:

- Dominiko, co o tym myślisz? No powiedz, co?

- A co się stało? Czym się tak przejęłaś? - zapytała starsza siostra.

- Jakiś pan przyszedł do taty. Przyjechał powozem gubernatora. To ten sam, który był dzisiaj w kościele. Na pewno go zauważyłaś. Siedział tuż obok gubernatora i widziałam, że rozśmieszyło go, jak Ranil szukał procy.

- To wcale nie było śmieszne - oświadczyła Dominika. - Tata słyszał, że powstało jakieś zamieszanie i był bardzo niezadowolony. Trudno mu zrozumieć, że chłopcy z chóru nigdy nie słuchają jego kazań.

- A niby dlaczego mieliby to robić? - zdziwiła się Charitas. - Założę się, że gubernator też ich nie słucha.

- Ciekawe, jaką sprawę ma ten pan do taty? - zastanawiała się Dominika.

- Wygląda bardzo dostojnie - stwierdziła Charitas - ale nie przypuszczam, żeby przyszedł zaprosić nas na bal.

- Charitas! - krzyknęła Dominika, lecz zaraz sama się roześmiała. - Doskonale wiesz, że równie dobrze mogłybyśmy

zostać zaproszone na wycieczkę na księżyc! Tata i tak nie pozwoliłby nam iść.

- Kiedy już dorosnę, jak ty i Wiara - oświadczyła Charitas - będę się bawić bez względu na to, co powie tata.

- Lepiej, żeby tego nie słyszał, - bo porządnie złoł ci skórę! - powiedziała Wiara, która właśnie weszła do sypialni. Lord Hawkston słusznie zauważył, że to bardzo ładna dziewczyna. Czarny kapelusz nie przysłaniał jej już twarzy; jasne włosy, niebieskie oczy i niemal anielski wyraz twarzy sprawiały, że nie widać było po niej, jak jest przekorna i gotowa, podobnie jak Charitas, omijać nałożone przez ojca zakazy.

- O co chodzi? - spytała Wiara. - Czy to prawda, że przyszedł jakiś młody mężczyzna?

- Nie jest zbyt młody - odparła Charitas - ale bardzo przystojny i elegancko ubrany i mieszka w Domu Królowej.

- Czy to ten, który był dzisiaj w kościele? - dopytywała się Wiara.

Charitas skinęła głową.

- Dobrze mu się przyjrzałam - stwierdziła Wiara - i uważam, że jest dość atrakcyjny.

Dominika roześmiała się.

- Tobie podoba się każdy mężczyzna i świetnie o tym wiesz!

- Nieczęsto zdarza mi się jakiegoś spotkać, tylko czasem w kościele - odcięła się Wiara. - Miałam nadzieję, że ten porucznik, który puszczał do mnie oko w zeszłą niedzielę, dziś też przyjdzie, ale pewnie miał służbę, bo nigdzie nie mogłam go dojrzeć.

Dominika spojrzała w kierunku drzwi.

- Bądź ostrożna, Wiaro - poprosiła. - Ciągłe się boję, że tata usłyszy kiedyś, co mówisz.

- Nie ma obawy - beztrosko odparła Wiara. - Jest zbyt zajęty tropieniem grzeszników w mieście, żeby zauważyć ich we własnym domu.

- Nie byłabym tego taka pewna - ostrzegła ją Dominika.

- Jak myślisz, o czym ten pan rozmawia z tatą? - zastanawiała się Charitas. - Może mogłabym podsłuchać? Gdyby tata mnie nakrył, powiedziałabym, że czekam, by odprowadzić gościa do drzwi.

- Tak, tak, zrób to! - zachęciła Wiara. Dominika jednak sprzeciwiła się.

- Nie zrobisz tego, Charitas! Doskonale wiesz, że podsłuchiwanie jest niegrzeczne i świadczy o złym wychowaniu.

- Ale jak ci się wydaje, dlaczego ten pan chciał się zobaczyć z tatą? - dopytywała się Charitas.

- Dowiemy się w swoim czasie - odparła spokojnie Dominika, a po chwili wydała okrzyk przerażenia: - O Boże! A jeśli on zostanie na podwieczorku? Zamierzałam wczoraj upiec ciasto, ale nie miałam już czasu i prawdę mówiąc, skończyły mi się pieniądze na prowadzenie domu, a nie śmiałam prosić tatę o więcej.

- Nic nie szkodzi - stwierdziła Wiara. - Przygotujemy kanapki, a Charitas przyniesie trochę owoców z ogrodu. On pewnie objadł się różnymi delicjami u gubernatora i nie zwróci uwagi na nasz skromny posiłek.

- Wiaro, nie mów tak. Zastanów się, jaki dajesz przykład młodszym siostram - powiedziała Dominika niemal błagalnym tonem. - Przecież obie dobrze wiemy, że zdaniem taty luksus rodzi grzeszne myśli.

- Biorąc pod uwagę to, co jadamy - odrzekła Wiara - to prawdziwy cud, że w ogóle możemy myśleć! Jestem przekonana, że mam anemię.

Dominika roześmiała się.

- Nie wyglądasz na to. Kiedy ostatnio szylam ci sukienkę, musiałam zrobić ją o jakieś dwa centymetry szerszą niż poprzednio.

- Po prostu rosnę z wiekiem - odparła z godnością.

Dominika miała coś odpowiedzieć, ale usłyszała, że ojciec ją woła.

- Dominiko, chodź tutaj. Chcę z tobą porozmawiać!

Przerazona spojrzała na siostry.

- Na litość boską, przygotujcie jakieś kanapki - powiedziała szybko. - A ty, Charitas, przynieś owoce. Ułóż je w wiklinowym koszyku. Będą ładnie wyglądać, nawet jeśli nie są nadzwyczajne. Nie ma już dojrzałych papai, bo ostatnią zjedliśmy wczoraj. - Kończąc mówić otworzyła drzwi i zaczęła zbiegać na dół.

- Kazałaś mi czekać, Dominiko - skarcił ją ojciec. - Przepraszam, ojcze. Mówiłam dziewczynkom, co mają przygotować na podwieczorek, na wypadek gdyby twój gość został dłużej.

- Podwieczorek? - powtórzył pastor zdziwiony, jakby pierwszy raz usłyszał o tego rodzaju posiłku. - A tak, rzeczywiście. Może wypadaloby go zaprosić?

- Czy mam przygotować co trzeba, ojcze?

- Nie. Twoje siostry mogą się tym zająć. Lord Hawkston chciałby z tobą porozmawiać.

Dominika zdziwiła się, ale zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, pastor otworzył już drzwi do salonu i wprowadził ją do środka.

Pamiętała oczywiście, że jakaś nowa twarz pojawiła się w ławce gubernatora, ale tak często musiała upominać siostry, aby się nie rozglądały, że sama przyzwyczaiła się już, by nie obserwować ludzi w kościele, zwłaszcza tych z Domu Królowej. Mimo to rozpoznała w gościu mężczyznę, który siedział na wprost niej w prezbiterium, i teraz wydawał się jej

znacznie przystojniejszy niż w kościele. A także nadzwyczaj elegancki.

Nie poznała dotąd żadnego młodego oficera, za którymi Wiara wodziła oczami, ale czasem spotykała synów urzędników państwowych i angielskich dygnitarzy mieszkających na Cejlonie. Zawsze jednak wydawali jej się nieco skrepowani w swych eleganckich ubraniach ze sztywnymi białymi kołnierzykami, zupełnie jakby mieli na sobie przebranie, w którym niezbyt dobrze się czuli.

Co do lorda Hawkstona musiała przyznać, że wytworne ubranie stanowi jakby część jego osobowości. Zachowywał się w niewymuszony sposób, a przecież doskonale wiedziała, że tak elegancki strój musiał zostać uszyty w Londynie.

Hawkston czekał w drugim końcu salonu, a kiedy weszła, zauważyła, że uważnie jej się przygląda.

Ojciec wszedł razem z nią.

- Milordzie, to jest właśnie moja córka, Dominika.

Lord Hawkston skłonił się, a Dominika dygnęła.

Na chwilę zapadła cisza; zastanawiała się, dlaczego obaj milczą. Miała wrażenie, może błędne, że szukają właściwych słów. Wreszcie pastor odchrząknął i powiedział:

- Dominiko, lord Hawkston przedstawił mi pewną nieoczekiwaną i nieco dziwną propozycję i poprosił, o pozwolenie powtórzenia jej również tobie.

Dominika spojrzała na ojca swymi szarymi oczami.

- Tak, ojczy?

Ponownie zapadła cisza. W końcu lord Hawkston, jakby uznając, że sytuacja jest niezbyt zręczna, powiedział:

- Zastanawiam się, pastorze, czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym pomówił z pańską córką na osobności. Chciałbym sam przedstawić jej moją propozycję, jak to pan określił.

Na twarzy pastora odmalowała się ulga.

- Naturalnie, milordzie. Tak chyba będzie najlepiej. Pójdę polecić córkom, by przygotowały podwieczorek.

- Dziękuję - odparł Hawkston.

Pastor wyszedł z pokoju zamykając za sobą drzwi, a Dominika spoglądała na gościa niepewnie. Nie mogła sobie wyobrazić, co też lord Hawkston chciałby jej powiedzieć albo co mógłby jej zaproponować.

- Może usiądziemy - rzekł gość, co sprawiło, że dziewczyna natychmiast się zarumieniła.

- Prze... przepraszam, milordzie - powiedziała szybko. - Powinnam była sama o tym pomyśleć, ale jestem tak zaskoczona, że zupełnie się zapomniałam.

- Zdaje mi się, że to, co pani powiem, jeszcze bardziej panią zaskoczy, ale chciałbym, żeby wysłuchała pani wszystkiego, co mam do powiedzenia, i nie podejmowała pochopnej decyzji.

Mówiąc to usiadł na twardej sofie, dając Dominice znak, by zajęła miejsce obok, co też po chwili wahania zrobiła. Hawkston obrócił się lekko w jej stronę. Miała nieprzyjemne uczucie, że taksuje ją wzrokiem. Nie rozumiała tego.

Jej włosy były rzeczywiście, tak jak się spodziewał, platynowe. Nosiła je ściągnięte w ciasny węzeł, którego wielkość świadczyła, że są długie i gęste. Szare oczy okalały ciemne rzęsy. Brwi, na które zwrócił uwagę w kościele, też były ciemne. Skórę natomiast miała bardzo bladą, niemal przezroczystą, co sprawiało, że gdy się rumieniła, jej twarz jaśniała piękną niczym wschodzące słońce. Była bardzo szczupła; choć nosiła sukienkę uszytą z grubej bawełny, to jednak opinała jej figurę, łatwo więc się dało zauważyć pełne piersi i wąziutką talię. Hawkston odniósł nawet wrażenie, że mężczyzna bez trudu objąłby ją dłońmi. Palce, które tak świetnie radziły sobie ze starymi organami, były długie i

ładne. Splotła je teraz na kolanach niczym uczennica mająca wyrecytować wierszyk.

- Domyślam się - mówił powoli - że jest pani ciekawa powodu, dla którego złożyłem wizytę pani ojcu.

- W niedzielę rzadko miewamy gości.

- Przepraszam, jeśli naruszyłem dziś spokój tego domu - odparł Hawkston z odrobiną wesołości w głosie. - Mam jednak ważny powód. Zależało mi na tym, żeby niezwłocznie się z panią spotkać i porozmawiać z pani ojcem o tym, co chciałbym pani zaoferować.

- Mnie? - zdziwiła się.

- Powiem wprost - zaczął patrząc jej w twarz. - Przyszedłem prosić pani ojca, by wyraził zgodę na pani małżeństwo z moim siostrzeńcem, Geraldem Warrenem.

Dominika nawet nie drgnęła, tylko szeroko otwartymi oczami wpatrywała się z niedowierzaniem w lorda Hawkstona. Po chwili jednak odezwała się, jakby z trudem panując nad głosem:

- Czy wasza lordowska mość mówi... poważnie?

- Najzupełniej! - potwierdził. - Ale pani pozwoli, że wszystko wyjaśnię. Mój siostrzeniec przyjechał na Cejlon dwa lata temu i pracuje na mojej plantacji niedaleko Kandy. Ja wróciłem zaledwie przedwczoraj, przywożąc ze sobą młodą damę, z którą Gerald był nieoficjalnie zaręczony. Mieli się tutaj pobrać, lecz niestety, po przyjeździe do Kolombo okazało się, że owa dama zmieniła zdanie.

- Dlaczego? - dopytywała się Dominika.

- Ponieważ na statku zakochała się w kimś innym. Ale tak czy owak, jestem pewien, że nie byłaby dobrą żoną dla mojego siostrzeńca.

Dominika nie odezwała się, więc lord kontynuował:

- Myślę, że zdaje sobie pani sprawę z tego, jak monotony i samotniczy tryb życia prowadzą właściciele

plantacji. Mój siostrzeniec potrzebuje towarzystwa kogoś, kto by się nim opiekował i urozmaicił codzienność... - Przerwał na moment, po czym dodał: - Obserwowałem panią dziś w kościele. Potrafiła pani zająć się wszystkim naraz: pilnowaniem psotnych chórzystów, grą na organach i jeszcze pomocą ojcu. Nabrałem wtedy pewności, że jest pani dokładnie tą osobą, której szukam.

Dominika wzięła głęboki oddech. - Jak może być pan tego pewny, milordzie? Hawkston uśmiechnął się.

Powiedzmy, że instynktownie wyczuwam, co powinienem zrobić. Szczęśliwie przetrwałem krach kawowy, bo wcześniej obsadziłem kilka hektarów herbatą. Obecnie plantacja kwitnie i przynosi zyski. A nawet jeśli mój siostrzeniec nie zechce osiedlić się na Cejlonie, to za parę lat będziecie mogli wyjechać do Anglii.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Dominika powiedziała:

- Mówił pan, milordzie, że przyjechał tu w piątek i że pański siostrzeniec miał poślubić swą narzeczoną zaraz po waszym przyjeździe. Czyż nie zmartwił go fakt, że jego wybranka się rozmyśliła?

Hawkstonowi podobał się sposób, w jaki starała się ocenić sytuację. Upewnił się w tym, że jest inteligentną dziewczyną.

- To słuszne pytanie, panno Radford. Będę z panią szczerzy. Mój siostrzeniec jeszcze nic o tym nie wie. Tak się złożyło, że zachorował i nie mógł wyjechać po nas do Kolombo. Przesłał jednak list, w którym wyraża nadzieję, że już za kilka dni zobaczy nas w Kandy.

- Czy powie mu pan, że ponieważ nie może mieć za żonę dziewczyny, którą sobie wybrał, pan przywiózł mu inną?

Wypowiedziała to bardzo łagodnie, ale lord Hawkston nie mógł oprzeć się wrażeniu, że gdyby zmienić nieco ton, pytanie zabrzmiałoby sarkastycznie.

- Jak sędzę, gdy tylko Gerald zrozumie, że ominięło go bardzo nieszczęśliwe małżeństwo i gdy pozna panią, będzie zadowolony, iż was skojarzyłem.

Dominika odwróciła głowę w stronę na wpół zasłoniętych okien. Lord Hawkston, przyjrzawszy się jej znowu, osądził, że ma ładny profil. Pomyślał też, że gdyby ją elegancko ubrać i zmienić surowy styl uczesania, wyglądałaby naprawdę atrakcyjnie.

- Czy rzeczywiście oczekuje pan, milordzie, że zgodzę się poślubić człowieka, którego nigdy nie widziałam? - zapytała po chwili.

- Proszę, żeby mi pani zaufała. Gerald jest przystojnym młodym mężczyzną. Wiem, że kobiety uważają go za bardzo atrakcyjnego. Ma metr osiemdziesiąt wzrostu, świetnie poluje i myślę, że na parkiecie jest równie dobry.

- A jeśli... mu się nie spodobam? - spytała cicho.

- Myślę, że biorąc pod uwagę jego sytuację, z otwartymi ramionami przyjmie atrakcyjną dziewczynę, która zechce się o niego zatroszczyć i uprzyjemnić mu życie... - Hawkston zrobił krótką przerwę i dodał: - No bo wyobraźmy sobie, że spotkaliście się dwa, trzy razy i potańczyliście trochę. To już byłaby wystarczająca podstawa do tego, żeby mógł poprosić panią o rękę, a dla pani, żeby go przyjąć. Proszę tylko o to, by zrezygnowała pani z tych banalnych formalności, zaufała temu, co mówię, i zgodziła się zostać jego żoną.

Dominika nic nie odpowiedziała, więc Hawkston kontynuował:

- Jestem pewien, że ojcu pani trudno będzie znaleźć dla wszystkich sześciu córek odpowiednich mężów. Jeśli zgodzi się pani poślubić mojego siostrzeńca, zobowiązuję się przekazać pewną sumę wyłącznie do pani dyspozycji, a po mojej śmierci odziedziczy pani więcej.

Dominika rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Przed panem jeszcze długie życie, milordzie. Hawkston uśmiechnął się.

- Zbliżam się już do czterdziestki i nie zamierzam się żenić. Cały czas żyłem sam, przyzwyczałem się do tego i dobrze jest mi w starokawalerstwie. W związku z tym Gerald odziedziczy kiedyś tytuł i majątek rodowy w Anglii, który jest bardzo znaczny. Dominika odwróciła wzrok.

- Mama zawsze mówiła, że... że czekanie na spadek przynosi pecha - powiedziała po chwili.

- Ale przecież obiecałem, że zapewnię pani dostatnie życie jeszcze przed moją śmiercią.

Wciąż nie patrzyła na niego, więc mówił dalej:

- Dominiko... pozwól, że będę zwracał się do ciebie po imieniu, zdecydowałem się złożyć ci moją ofertę, ponieważ obserwowałem cię w kościele i wydałaś mi się rozsądna. A teraz mam nadzieję, że posłużysz się właśnie zdrowym rozsądkiem przy rozpatrywaniu mojej propozycji. - Kiedy to mówił, spoglądał na jej twarz i podobało mu się, że maluje się na niej wrażliwość i spokój. - Wiem, że to niecodzienna czy też oryginalna oferta, ale nie powinnaś jej odrzucać tylko dlatego, że taka właśnie jest. Pojedź ze mną do Kandy, na plantację. Przekonasz się, jestem pewien, że ty i Gerald macie ze sobą wiele wspólnego.

Zapadło milczenie. Dominika wstała i przeszła przez pokój. Odśloniła okno i wyjrzała na ogród. Salon zalało światło słoneczne. Hawkston przyglądał się sylwetce dziewczyny. Patrzyła gdzieś przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- O czym myślisz? - zapytał w końcu.

- Myślałam o mamie. Zastanawiałam się, co by mi doradziła.

- Myślę, że chciałaby, żebyś wyszła za mąż. Twój ojciec powiedział mi, że skończyłaś już dwadzieścia lat, a w tym wieku dziewczęta myślą o zamążpójściu.

- Mama miała zaledwie osiemnaście lat, kiedy wyszła za ojca - stwierdziła Dominika - ale zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia.

- A ty, jestem pewien, zakochasz się w moim siostrzeńcu.

Dominika nie odpowiedziała, więc kontynuował:

- Jeszcze raz proszę, żebyś uważnie to przemyślała.

Słyszałem, że pastor nie pozwala tobie ani twoim siostronom bywać w towarzystwie. Jak ci się wydaje, w jaki sposób wyjdziecie za mąż, jeśli nie chodzicie na żadne przyjęcia i nie macie okazji, by spotkać mężczyzn... - Zrobił krótką przerwę.

- Naprawdę zamierzasz spędzić życie w tym domu opiekując się siostrami i ojcem, pilnując chórzystów i ucząc w szkółce niedzielnej? Chcesz, żeby wszystkie dni były takie jak dzisiejszy? Pomyśl, co to za życie.

- Mama pewnie chciałaby, żebyśmy miały jakieś rozrywki - mówiła wolno Dominika - i żebyśmy poznawały nowych ludzi, ale gdy tylko o tym wspominałam, ojciec bardzo się złościł. - Nagle odwróciła się i spojrzała wprost na lorda Hawkstona. - A może Wiara mogłaby poślubić pańskiego siostrzeńca? - zapytała. - Ona nie może się doczekać małżeństwa. Chciałaby poznać jakichś mężczyzn. Jestem pewna, że z radością przyjąłaby pańską propozycję.

Lord Hawkston potrząsnął głową.

- Twój ojciec mówił, że Wiara ma dopiero osiemnaście lat. A poza tym mam wrażenie, że ona nie jest ani tak rozsądna, ani tak inteligentna jak ty. A zresztą, ja już się zdecydowałem na ciebie. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Kandy, jak tylko kupimy ci wyprawę.

- Wyprawę! - krzyknęła Dominika.

Zanim lord Hawkston zdążył cokolwiek powiedzieć, wyrzuciła z siebie:

- Proszę zrozumieć, milordzie, nie mogę kupić sobie żadnych sukien ani w ogóle wydawać pieniędzy na jakąkolwiek wyprawę. Tata nigdy by mi na to nie pozwolił, a zresztą i tak nas na to nie stać. Proszę zrozumieć, jesteśmy bardzo biedni.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Hawkston - i obiecuję ci, Dominiko, że będziesz miała najwspanialszą wyprawę, jaką można sprawić sobie w Kolombo, i nie zapłacisz ani pensa.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, milordzie, że pan pokryje wydatki?

- Najzupełniej!

- Ale nie wydaje mi się, żeby ojciec... - zaczęła z wahaniem.

- Zostaw to mnie. Powiedziałem, że zwykle osiągam to, czego chcę. Bez trudu przekonam twego ojca, że to właśnie ja powinienem kupić ci wyprawę. - Patrząc na nią mówił dalej: - I mam również rację, jeśli chodzi o twoją przyszłość. Pomyśl, Dominiko, czy nie wolisz, żebym sam o wszystko się zatroszczył i poczynił wszelkie przygotowania? Jestem pewien, że nie będziesz tego żałować.

- Dlaczego jest pan tego taki pewny, milordzie?

- Wiesz, jak będzie wyglądać twoje życie, jeśli odrzucisz moją propozycję. Czy nie lepiej być żoną miłego, przystojnego mężczyzny, cieszyć się dostatkiem z perspektywą jeszcze większego majątku, niż zostać sfrustrowaną starą panną, która zastanawia się, jak związać koniec z końcem, i wciąż stwierdza, że nikt nie docenia tego, co robi?

Była to bardzo ostra uwaga i odniosła pożądany skutek.

Lord Hawkston zauważył w czasie rozmowy z pastorem, że nie miał on zielonego pojęcia, jak wiele obowiązków ciążyło na najstarszej córce od śmierci matki i że zupełnie nie doceniał jej starań o dom i rodzeństwo.

Na twarzy Dominiki malowało się niezdecydowanie. Hawkston wiedział, że jego argumenty wywołały zupełny zamęt w jej myślach i choć nie okazywała tego po sobie, trudno było jej rozumować jasno.

Lord Hawkston przywykł do kierowania ludźmi i uzyskiwania od nich dokładnie tego, czego chciał. Postanowił więc zastosować te same metody w stosunku do Dominiki.

- Podejdz tutaj - rzekł łagodnie. - Masz wszystko do zyskania, a nic do stracenia. Podaj mi rękę i powiedz, że się zgadzasz.

Mówiąc to wyciągnął rękę, a Dominika, z wahaniem - tak jak się tego spodziewał - dotknęła jej palcami. Czuł, że ma zimne dłonie i że lekko drżą.

- Zgadzasz się, prawda? - nalegał.

- Tak... milordzie - odpowiedziała Dominika ledwie dosłyszalnie.

ROZDZIAŁ 3

Lord Hawkston nie został na podwieczorku, który z taką starannością przygotowywano w kuchni.

Życie w świecie interesu nauczyło go, że po szczęśliwym zakończeniu trudnych negocjacji najlepiej wyjść, zanim druga strona zacznie żałować, że przyjęła postawione jej warunki, i zechce wycofać się z umowy.

- Pożegnaj ojca w moim imieniu, Dominiko - powiedział.
- Pójdę już, ale przyjadę jutro rano i zabiorę cię na zakupy.

Nie odpowiedziała, a Hawkston widział, że po prostu nie może wykrztusić z siebie ani słowa.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, Dominiko, że zgodziłaś się wyjść za mojego siostrzeńca.

Skłonił się, a ona dygnęła i otworzyła przed nim drzwi.

Powóz gubernatora, ozdobiony brytyjskim herbem i zaprzężony we wspaniałe konie ze srebrnymi rzędami, prezentował się bardzo wystawnie, kontrastując z nędznym budynkiem plebanii. Dominika nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ubrani w piękne liberie służący z pogardą spoglądają na ich dom.

Lokaj otworzył drzwiczki powozu, by lord Hawkston mógł wsiąść. Potem przykrył mu kolana pledem chroniącym przed kurzem, wdrapał się na kozioł i ruszył.

Hawkston uniósł kapelusz, a Dominika ponownie dygnęła. Patrzyła za oddalającym się powozem, aż zniknął jej z oczu. Nie mogła wiedzieć, jak Hawkstonowi spodobało się, że tak stoi nieruchomo, z głową dumnie uniesioną, jakby przywoływała na pomoc jakieś wewnętrzne zasoby odwagi.

„Bardzo rozsądna dziewczyna! - powiedział do siebie lord Hawkston. - Będzie prawdziwym zbawieniem dla Geralda, a w dodatku nie ma wątpliwości, że dobrze im się ułoży”.

Gdy powóz zniknął na końcu zaniedbanej drogi prowadzącej do plebanii, Dominika weszła do domu,

zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę stała, opierając się o nie, jakby nagle zasłabła. Potem pobiegła do kuchni, gdzie spodziewała się zastać siostry.

Znalazła tam całą piątkę. Wiara przygotowywała kanapki, a Charitas i Nadzieja układały owoce w wiklinowym koszyczku. Na widok Dominiki przerwały rozmowę i utkwili w niej pytające spojrzenia.

- No i czego chciał? - spytała Charitas.

Wiara odrzuciła nóż do smarowania masła i krzyknęła:

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że odszedł nie czekając na podwieczorek, który kosztował nas tyle zachodu! Jak mogłaś pozwolić, żeby sobie poszedł? - Przecież my też chciałyśmy go obejrzeć.

- Tak, wyszedł - wypowiedziała Dominika jakimś dziwnym głosem i usiadła na twardym krześle przy stole. - A czego chciał? - dopytywała się Nadzieja.

Nie była tak ładna jak Wiara, ale miała takie same niebieskie oczy i złociste włosy. Zachowywała się jak typowa szesnastolatka, była bardzo trzpiotowata, miała potargane włosy i brudne paznokcie.

- No właśnie, czego chciał? - niecierpliwie powtórzyła pytanie Charitas.

- Poprosił, żebym poślubiła jego siostrzeńca!

Dominika wiedziała, że w pierwszej chwili nie uwierzyły jej. Jednak w końcu jej spokojny, poważny głos dotarł do nich i przekonał je; wpatrywały się w nią szeroko otwartymi oczami. Były tak zaskoczone, że gdyby sama nie doświadczyła tego uczucia, wydałyby jej się śmieszne.

- Poprosił, żebyś co zrobiła? - spytała w końcu Wiara.

- Żebym poślubiła jego siostrzeńca - powtórzyła Dominika. - Jest plantatorem, uprawia herbatę, a narzeczona, którą lord Hawkston mu przywiózł...

Nie zdołała dokończyć zdania.

- Lord Hawkston?! - krzyknęła Charitas. - Czy chcesz powiedzieć, że on jest lordem?

- Lord? - wtrąciła się Wiara. - Naprawdę przyszedł tu do naszego domu?! Dominiko, jak mogłaś pozwolić mu odejść?!

- Wróci jutro rano i pojedziemy do miasta, żeby kupić moją wyprawę.

Wszystkie dziewczynki zaczęły mówić jednocześnie. Raz po raz powtarzały się słowa „wyprawa”, „lord”, „małżeństwo”, aż cała ta gadanina przerodziła się w jeden wielki wrzask, tak że Dominika zakryła sobie uszy i krzyknęła:

- Przestańcie! Dajcie mi pomyśleć! Muszę mieć pewność, że postąpiłam... właściwie!

- Jeśli naprawdę masz wyjść za siostrzeńca lorda, to nie rozumiem, o czym tu myśleć - stwierdziła Wiara. - To najwspanialsza, najcudowniejsza rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałam!

- Oczywiście! - poparła ją Nadzieja. - Zaprosisz nas do siebie. Jak myślisz, czy będę mogła pożyczyć konia i pojechać trochę? Poza tym tam w górach można łowić ryby. Nie sprawię ci żadnego kłopotu, Dominiko, obiecuję. Zaprosisz mnie, prawda?

- Zaprosi nas wszystkie - powiedziała Wiara, gdy Dominika się nie odezwała - ale dajcie jej teraz spokój. Charitas, podaj Dominice filiżankę herbaty. Dominiko, weź kanapkę. Są całkiem niezłe, a prawie nic nie zjadłaś na lunch.

- Bo też niewiele tego było! - zauważyła Łaska. Łaska była mała, gruba i żarłoczna i ciągle się skarżyła, że dostaje za mało jedzenia.

- Cóż, przynajmniej ty nie przymierasz głodem - odparła ostro Nadzieja. - Nigdy ci się to nie zdarza.

- Przestańcie się kłócić! - upomniała je Wiara. - Nie widzicie, że Dominika czuje się nie najlepiej?

Mówiąc to postawiła przed Dominiką talerzyk z dwiema kanapkami, a Charitas podała siostrze filiżankę herbaty.

- Wypij - zachęciła. - A potem spokojnie nam o tym opowiesz.

Najmłodsza Prudencja, która miała zaledwie dziewięć lat, podeszła do siostry.

- Nie opuszczaj nas, Dominiko - prosiła błagalnym głosem. - Bez ciebie w ogóle sobie nie poradzimy.

Dominika otoczyła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie.

- Właśnie tego się boję! - powiedziała. - Nie wiem, dziewczynki, czy podjęłam właściwą decyzję? Przyjmując propozycję lorda Hawkstona, liczyłam, że w ten sposób będę mogła jakoś wam pomóc.

- Mogłybyśmy mieszkać u ciebie - powtarzała uparczywie Nadzieja.

- Mogłabyś oddawać nam ubrania, których sama już nie będziesz nosić - zaproponowała Wiara.

- On ma pewnie mnóstwo pieniędzy - domyślała się Charitas. - Lordowie są bardzo bogaci.

Dominika upiła trochę herbaty i to dodało jej sił.

- Lord Hawkston obiecał, że jeśli poślubię jego siostrzeńca, zapewni nam dostatnie życie - powiedziała. - Wtedy będę mogła wam pomóc. I muszę jakoś przekonać tatę, że Mallika powinna przychodzić codziennie i zajmować się domem. Raz w tygodniu nie wystarczy.

- Będzie musiała zająć się gotowaniem - rzuciła Wiara. - Wiesz, że mnie to w ogóle nie wychodzi. Nie umiem podporządkować sobie kuchni.

- Ale czy tata się zgodzi? - zastanawiała się Dominika. - Och, nie powinnam była mówić tak! A poza tym, chyba nie należy wychodzić za człowieka, którego się nigdy nie widziało.

- Pewnie jest wysoki i przystojny jak jego wujek - zgadywała Charitas. - I gdy tylko cię zobaczy, Dominiko, natychmiast zakocha się w tobie do szaleństwa, a ty w nim. Będzie zupełnie jak w bajce!

Dominika odstawiła filiżankę i wstała od stołu.

- Nie mogę uwierzyć, że to prawda! - krzyknęła. - Czy lord Hawkston naprawdę tu był, czy tylko mi się to przyśniło?

- To prawda! Szczera prawda! - zapewniła ją Charitas. - Sama otworzyłam mu drzwi. Potem przywołałam tatę. Och, Dominiko, pomyśl tylko, jak to fajnie mieć wesele w rodzime. Czy tata udzieli wam ślubu?

Dominika spojrzała na siostrę zmartwiona.

- Obawiam się, że nie. Myślę, że lord Hawkston chce, żeby ślub odbył się w Kandy.

- Więc nie będziemy druhnami! - krzyknęła zawiedziona Wiara. - Tak bardzo chciałam być twoją drużką.

- A dlaczego ten kawaler, jak mu tam, nie wyjechał po swego wujka do Kolombo? - zaciekała się Nadzieja.

- Bo jest chory - odpowiedziała Dominika. - A nazywa się Gerald Warren.

- Uważam, że Gerald to bardzo romantyczne imię - oznajmiła Charitas.

- Warren brzmi jakoś nieciekawie - wydało się Wierze. - Pani Warren... no cóż, chyba jednak nieźle. Szkoda, że nie jest lordem.

- Kiedyś nim będzie. Jeśli oczywiście jego wuj się nie ożeni, a powiedział, że zamierza pozostać kawalerem - poinformowała siostry Dominika.

Trzy najstarsze dziewczynki wydały dziki okrzyk radości, a Charitas powiedziała zachwycona:

- A więc otrzymasz tytuł lady! Och, pomyśl tylko o tym, Dominiko! Jako lady będziesz zapraszana na kolacje do Domu Królowej i będziesz zasiadać po prawej stronie gubernatora!

Po raz pierwszy od wyjścia gościa Dominika uśmiechnęła się.

- Nie tak szybko! Przecież lord Hawkston nie jest jeszcze stary.

- Kiedy widziałam go w kościele, wyglądał na jakieś trzydzieści pięć, trzydzieści sześć lat - zauważyła Wiara. - Dość trafnie oceniam wiek.

- Moim zdaniem jest znacznie starszy - sprzeciwiła się Charitas. - Ale wygląda bardzo dystyngowanie. Chciałabym go zobaczyć z koroną na głowie.

- Nie wydaje mi się, żeby woził ją ze sobą - powiedziała Dominika z uśmiechem.

- A co jeszcze...? - zaczęła Wiara, ale zadźwięczał właśnie dzwonek i zapanowała cisza. - To tata! - wykrzyknęła. - Charitas, sprawdź, o co chodzi!

- Nie, ja pójdę - wtrąciła Dominika. - Jestem pewna, że to ze mną chce rozmawiać.

Żadna z dziewcząt się nie sprzeciwiła. Wszystkie, z wyjątkiem Dominiki, bały się ojca i nawet myśl o nim wystarczała zwykle, by przycichły i zmieniły temat rozmowy.

Dominika podeszła do stołu i dopiła herbatę, po czym, jakby wzmocniona tym napojem, wyszła z kuchni bez słowa. Przeszła wąskim, krętym korytarzem prowadzącym do frontowej części domu. Plebanię wybudowano pięćdziesiąt lat temu w stylu kolonialnym. Dom wyglądał majestatycznie i przydawał pierwszemu pastelowi znaczenia i chwały. Był on jednakże człowiekiem bogatym, podczas gdy jego następcy byli biedni i nie mieli żadnych dodatkowych dochodów poza skromnymi poborami wypłacanymi im przez komisarzy kościelnych w Anglii.

Tylko Dominika, a wcześniej jej matka, wiedziała, jak trudno utrzymać taki dom w czystości, ale wzięła na siebie ten obowiązek i nie skarżyła się.

Gabinet pastora mieścił się w olbrzymim pokoju z oknem wychodzącym na ogród. Wstawiono tu najlepsze meble z całego domu, ale i tak umeblowanie to było nie tylko skromne, ale i niewystarczające.

Kiedy Dominika weszła, zamykając za sobą drzwi, pastor rzucił ostro zza biurka:

- Dlaczego nie zawołałaś mnie, żebym mógł pożegnać się z lordem Hawkstonem?

- Nie chciałam zostać na podwieczorku, a zresztą przyjdzie tu znowu jutro rano.

- Powiedział ci, jaką złożył propozycję?

- Tak, ojcze.

- Przyjąłem jego ofertę, Dominiko, bo uznałem, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Tak czy owak, jego lordowska mość słusznie zauważył, że mam sześć córek i każda powinna dostać męża.

- Tak, ojcze.

- Wolałbym wprowadzić sam przyjrzeć się temu młodemu człowiekowi, ale lord Hawkston wyraża się o nim bardzo pochlebnie. Wiem też, że twoja matka życzyłaby sobie, byś wyszła za mąż za Anglika nie skażonego grzechem i nierządem tak powszechnym w tym kraju.

- Tak, ojcze.

- Lord Hawkston powiedział ci, że ceremonia odbędzie się w Kandy?

- Tak, ale zawsze miałam nadzieję, że to ty, ojcze, udzielisz mi ślubu.

- Ja też tego chciałem, Dobrze jednak wiesz, Dominiko, że nie mam czasu na taką podróż i co najważniejsze, nie mogę sobie pozwolić na taki wydatek.

- Naturalnie, rozumiem.

- Przed wyjazdem udzielę ci mojego błogosławieństwa - powiedział pastor. - A teraz, Dominiko, pomódlmy się, by

Bóg miał cię w swojej opiece na tej nowej drodze życia i żebyś nie zapomniała o ideałach i wartościach, które wpajałem ci od dziecka.

Mówiąc to, pastor ukląkł przy biurku. Dominika zrobiła to samo. I ona, i jej siostry przyzwyczyły się do tego, że ojciec wzywał je na modlitwy o różnych porach dnia, niezależnie od odmawiania długich pacierzy rano i wieczorem.

Dominika nie czuła się w najmniejszym stopniu skrepowana. Uklękła na podłodze, złożyła ręce i zamknęła oczy. Podczas gdy jej ojciec zwrócił się do Wszechmogącego z długą egzortą, prosząc Go o ustrzeżenie córki przed grzechem i pokusami, Dominika modliła się własnymi słowami, co znacznie podniosło ją na duchu.

„Pomóż mi, Boże, daj mi pewność, że postąpiłam właściwie - prosiła - i że mamie by się to podobało. To dziwne, i może nawet niewłaściwe, poślubiać człowieka, którego się nigdy nie widziało, ale przecież będę mogła pomóc siostrze. Proszę, Boże, spraw, aby tata zrozumiał, że dziewczynki nie poradzą sobie, jeśli Mallika nie będzie przychodzić codziennie, i spraw, aby Wiara umiała zaopiekować się Łaską i Prudencją”.

Pogrążona we własnej modlitwie, nie zauważyła, że ojciec skończył właśnie i czeka na jej odpowiedź.

- Amen - rzuciła szybko.
- Powinnaś odpowiedzieć: „Boże, zachowaj nas od złego”
- upomniał ją zirytowany.
- Przepraszam, ojcze. Boże, zachowaj nas od złego.
- Amen.

Pastor wstał z klęczek.

- Dziś wieczorem, gdy zgromadzimy się całą rodziną, pomodlimy się dłużej - zapowiedział. - Czuję, że nasze modlitwy, niczym zbroja, ochronią cię przed czekającymi cię trudnościami i pokusami.

- Dziękuję, ojcze.

Dominika wyszła z gabinetu. Nie wróciła jednak do kuchni, lecz poszła do swojego pokoju. Nad kominkiem wisiał rysunkowy portret jej matki. Wykonał go jakiś artysta amator. Było to tuż po jej ślubie. Malarz ów próbował swoich sił jedynie w akwareli, mimo to jako rysownik był wystarczająco dobry, by umieć oddać na papierze najbardziej charakterystyczne rysy szkicowanej osoby. Patrząc teraz na podobiznę matki, Dominika przypominała sobie te cechy, które rysownik pomiął.

Pani Radford była bardzo piękną kobietą. Wiara odziedziczyła po niej niebieskie oczy i jasne włosy, a Dominika mały, prosty nosek i łagodnie zarysowane usta. Miała również taką samą jak matka twarz w kształcie migdała i podobne do skrzydeł ptaka brwi. Wyglądała dzięki temu na osobę zrównoważoną, czy też - jak określił to lord Hawkston - rozsądną.

- Co ty byś mi poradziła, mamó? - zapytała patrząc na szkic.

Czekała w milczeniu, jakby spodziewając się usłyszeć odpowiedź, ale w pokoju słychać było tylko bzykanie pszczoł latających wokół kwiatów pnących róż, które sięgały aż do parapetu.

- A co będzie, jeśli nie potrafię go zaakceptować? - wyszeptała. - Albo jeśli ja mu się nie spodobam?

Potem - jak gdyby otrzymała odpowiedź - powiedziała sobie, że po prostu wróci do domu. Pojedzie do Kandy, a jeśli okaże się, że lord Hawkston się pomylił i ona i Gerald natychmiast poczują do siebie niechęć, to przecież lord zrozumie, że jego plan jest nierealny i da jej pieniądze na powrót do domu.

„W takim razie - pomyślała - nie mam nic do stracenia. A jeśli go polubię, wszystko może się dobrze ułożyć”.

Najważniejsze wydało jej się to, że będzie w stanie pomóc siostrze. Dominika zdawała sobie sprawę z tego, że z ojcem coraz trudniej wytrzymać, zresztą po śmierci matki życie stało się dla sióstr niezwykle ciężkie.

Na przykład żał mu było każdego pensa wydanego na jedzenie. W przyszłym miesiącu zacznie się Wielki Post i ojciec będzie wymagał poszczenia przez dwa dni w tygodniu, a nie jeden jak normalnie w ciągu roku, pieniądze zaś zaoszczędzone w ten sposób przeznaczy dla ubogich. Prawdę mówiąc, Dominika nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wielu z nich jadało znacznie lepiej niż one.

Łaska była wiecznie głodna, a Prudencja, dla odmiany, nigdy nie chciała jeść. Dominika uważała, że chodzenie przez cały dzień z pustym żołądkiem jeszcze bardziej osłabiało to dziecko. Dlatego w jej wypadku często nie przestrzegała postu.

- Dlaczego Prudencja je jajko? - dopytywała się wtedy Łaska. - Wydawało mi się, że dziś mamy pościć.

- Tu chodzi o zdrowie Prudencji - niezmiennie odpowiadała Dominika. - Lekarz kosztowałby nas znacznie więcej. Jestem pewna, że Prudencja ma anemię.

- Ja też!

- Ty jesteś po prostu łakoma! - wtrącała lekceważąco Wiara.

- Nie widzę powodu, dla którego miałybyśmy chodzić głodne, chyba tylko taki, że tacie się tak podoba.

- Nie chodzi o to, że tacie się tak podoba. Jako dobre chrześcijanki mamy ćwiczyć naszą wolę - odpowiadała automatycznie Dominika.

- Wolę być złą chrześcijanką i nie przymierać głodem - mówiła ostro Wiara. - Na szczęście w ogrodzie są banany i nawet jeśli strzeże ich pół tuzina aniołów z gorejącymi

mieczami, to i tak zjem choć jeden. Przynajmniej przestanie mi burczeć w brzuchu.

Dominika zastanawiała się czasem, jak poradziłyby sobie bez ogrodu; rosło w nim mnóstwo owoców i warzyw uprawianych na Cejlonie: banany, papaje i mango.

Ojciec zawsze ściśle przestrzegał postu. Dominika miała wrażenie, że następnego dnia jest bardziej niż zwykle przykry i jeszcze ostrzej potępia ludzkie grzechy.

„Gdy wyjdę za mąż - powiedziała do siebie - dziewczynki zamieszkają u mnie. I koniecznie znajdę Wierze jakiegoś miłego chłopca na męża. Reszta zacznie wreszcie prowadzić normalne życie. Nie będą musiały się modlić nad każdą okruszynką chleba. I nikt nie będzie im wciąż przypominał o grzechach ludzkości”.

Poczuła się trochę winna z powodu tych buntowniczych myśli, ale dobrze wiedziała, że starsze dziewczynki nie mają już sił żyć w narzuconej przez ojca fanatycznej ascezie. A poza tym, tak naprawdę, nie żywiły dla niego zbyt ciepłych uczuć.

„Staralam się opiekować nimi, mamó, tak jak ty byś to zrobiła - myślała patrząc na portret - ale jest mi naprawdę trudno... bardzo trudno”.

Wiedziała, że po jej wyjeździe siostrom będzie jeszcze ciężiej, ale miała też pewność, że wcześniej czy później zdoła wyzwolić dziewczynki spod nałożonego przez ojca reżimu.

„Szkoda, że lord Hawkston nie chciał wybrać Wiary na żonę dla swego siostrzeńca. Ona jest taka chętna do małżeństwa...”

Małżeństwo!

To słowo wywołało w niej jakiś nieokreślony strach; miała przecież poślubić mężczyznę, którego nigdy nie widziała, a nawet o nim nie słyszała aż do tej chwili.

Następnego dnia lord Hawkston zjawił się bardzo wcześnie, wcześniej niż Dominika się go spodziewała.

Myślała, że przyjedzie około wpół do jedenastej czy o jedenastej i dała się zaskoczyć przy szorowaniu podłogi. Najwyraźniej sam wszedł do domu.

Na widok jego lśniących butów krzyknęła przestraszona. Usiadła szybko na piętach i zakłopotana spojrzała na gościa, czując jak rumieniec oblewa jej policzki.

- Nie spodziewałaś się mnie jeszcze? - zapytał swym głębokim głosem.

- Nie... milordzie. Nie tak wcześnie. Dopiero wpół do dziesiątej...

- Jestem rannym ptaszkiem, poza tym mamy dziś wiele spraw do załatwienia. Myślę, że im wcześniej się do tego zabierzemy, tym lepiej.

- Zaraz będę gotowa, milordzie - powiedziała cicho.

Cały czas myślała o tym, że dzierży w dłoni wielką szczotkę, na sobie ma zachlapany brązowy fartuch, a obok na podłodze leży kawał zwykłego mydła i stoi wiadro wody. Szybko podniosła mydło i wstała z podłogi.

- Czy musisz to robić sama? - spytał lord Hawkston.

- Ojca stać tylko na służącą na przychodne. Zjawia się raz w tygodniu, a podłoga w kuchni brudzi się bardzo szybko.

- Rozumiem - odparł poważnie. - A co się stanie, gdy opuścisz dom?

Dominika położyła mydło na stole.

- Wiara nienawidzi prac domowych, więc obiecałam jej, że spróbuję przekonać ojca, by pozwolił przychodzić Mallice codziennie; ona doskonale sobie radzi z takimi pracami. Niestety, obawiam się, że ojciec się nie zgodzi - powiedziała zmartwiona.

Zdażyła już zdjąć fartuch, który sięgał jej aż pod szyję.

- Widzę, Dominiko, że twój wyjazd stwarza sporo problemów, których nie przewidziałem. Może sam mógłbym płacić Mallice? W końcu jestem coś winien twemu ojcu, skoro zabieram mu nie tylko córkę, ale najwyraźniej również pomoc do wszystkiego.

Powiedział to nieco żartobliwym tonem. Wiedział, że w żadnym innym domu w Kolombo pani domu nie szorowała podłogi. Dominika znów się zarumieniła.

- Obawiam się, że ojciec jest zbyt dumny, by pozwolić panu, milordzie, na opłacanie jego własnej służącej - odparła z wahaniem, a po chwili dodała: - Nie... niezupełnie o to chodzi. Jestem pewna, że gdyby ojciec dostał pieniądze na pokrycie zarobków Malliki, to oddałby je jakiejś rodzinie, bardziej ich jego zdaniem potrzebującej niż jego własna. A w takim układzie Wiara musi zająć się domem albo zapaści go brudem.

Lord Hawkston uśmiechnął się lekko:

- Chyba powinienem znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Co byś powiedziała na to, że ty sama będziesz płaciła Mallice pieniędzmi, które dam ci na ten cel? Czy tak będzie dobrze?

- O, tak! Ale czy... czy pan może... pozwolić sobie na taki wydatek?

- Och, bądź spokojna - zapewnił ją. - Tak się składa, Dominiko, że jestem bogatym człowiekiem, więc możesz bez żadnych obaw przyjąć ode mnie zarówno pieniądze dla Malliki, jak i wyprawę, którą zaraz kupimy.

Dziewczyna odetchnęła głęboko, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

- Pójdę się przebrać - oznajmiła tylko. - Nie chciałabym, żeby wasza lordowska mość zmuszony był na mnie czekać.

Wyszła z kuchni, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Lord Hawkston rozejrzał się. Dostrzegł prymitywny piec, gołą podłogę, twarde krzesła i tanią porcelanę na kredensie. Potem

przeszedł do salonu, w którym wczoraj rozmawiał z pastorem i jego córką. Nie musiał długo czekać. Po niecałych pięciu minutach usłyszał kroki Dominiki, rozlegające się głośno na gołej podłodze. Przebrała się w tę samą białą sukienkę, którą miała w kościele, brzydki czarny kapelusz i czarne rękawiczki.

- Przykro mi, że nie czekałam gotowa, milordzie - powiedziała, jakby wciąż miała pretensje do siebie za to spóźnienie.

- A gdzie reszta rodziny?

- Dziewczynki mają teraz lekcje, to znaczy wszystkie oprócz Wiary, która zastąpiła mnie na wizytach z ojcem. Przez to ominął ją francuski. - Wydało jej się, że lord Hawkston wygląda na zdziwionego, więc szybko dodała: - Mama zawsze mówiła, że choćby nie wiem jak biedne, powinniśmy być wykształcone. Ojcu nie bardzo się to podoba. Uważa, że zbyt wiele musi płacić. Gdy Wiara skończyła osiemnaście lat, chciał zrezygnować z lekcji dla niej, ale jakoś udało mi się go przekonać, żeby mogła kontynuować je do końca roku.

- Mam wrażenie, że brak ci twoich lekcji.

- Tak, i to bardzo. Dzięki nim mogłam się przenieść w zupełnie inny świat - westchnęła. - Gdybym chociaż miała jakieś książki. - Nagle coś ją tknęło i ożywiła się. - Czy na plantacji są książki?

- Było ich mnóstwo, kiedy stamtąd wyjeżdżałem - odparł Hawkston. - Ale jeśli nie znajdziesz nic interesującego, to kupimy nowe. W Kandy jest księgarnia, a w Kolombo nawet kilka. Musisz mi opowiedzieć, Dominiko, o swoich zainteresowaniach.

Mówiąc to szedł w stronę drzwi. Były otwarte, a na zewnątrz stał powóz. Dominika, lekko podekscytowana, wsiadła do powozu, a lokaj przykrył pledem jej kolana. Lord Hawkston usiadł obok.

- Co lubisz czytać? - zapytał.

- Wszystko, a szczególnie opowieści o dalekich krajach, najbardziej o Anglii.

- Nigdy tam nie byłaś?

- Nie. Ale mama opowiadała nam o swoim dzieciństwie i o dworku w Gloucester, gdzie mieszkała. Brzmiało to fantastycznie!

- A lubisz Cejlon?

- Tak, oczywiście - odparła. - Mieszkam tu od urodzenia i kocham Kolombo i tutejszych ludzi, i kwiaty, i morze. Mama stale powtarzała, że w Anglii tęskniłybyśmy za ciepłem i słońcem, ale z drugiej strony jest tam wiele rzeczy, których tu nie ma.

- Co na przykład? - spytał nieco sceptycznie lord Hawkston.

- Mama zawsze czuła, że jej korzenie tkwią w Anglii i dlatego tamten kraj jest częścią niej samej. Uważam, że miała rację, bo narodowość to coś znacznie więcej niż tylko taki czy inny paszport. To coś bardzo głębokiego i zasadniczego.

Hawkston spojrział na nią zaskoczony. Nie spodziewał się usłyszeć tego rodzaju uwagi z ust młodej dziewczyny.

- A więc chciałabyś podróżować? - zagadnął.

- Tak, ale naprawdę, bo dotychczas robiłam to tylko w myślach. Trzeba przyznać, że jest to tańszy sposób.

Roześmiała się wypowiadając te słowa, a jej twarz aż pojaśniała. W milczeniu przejechali obok biegnącego nad morzem toru wyścigowego, po czym Dominika zapytała:

- A pan, milordzie, tak długo już mieszka na Cejlonie. Który kraj jest panu bliższy?

- Sam często zadawałem sobie to pytanie. Gdy wyjeżdżałem stąd dwa lata temu, czułem się tak, jakbym opuszczał własny dom, wszystko, co jest mi bliskie. Z kolei w

Anglii odnalazłem swoje dzieciństwo i młodość. To tam dorosłem i stałem się mężczyzną.

- A więc kocha pan Anglię tak samo jak Cejlon - podsumowała Dominika.

- Chyba tak to właśnie jest - zgodził się Hawkston z pewnym zdziwieniem, bo jakoś nigdy wcześniej nie myślał o tym w ten sposób.

Dotarli już do zatłoczonych uliczek, na których roiło się od ludzi w barwnych cejlońskich strojach. Byli tam mężczyźni i kobiety, które z reguły nosiły włosy spięte ozdobnymi szpilkami w ciasne węzły. Między nimi przewijali się ciemnoskórzy Tamilowie pochodzący z Indii. Byli też przedstawiciele wszystkich kast hinduskich, Mauretańczycy, którzy przywieźli na Cejlon kawę, afgańscy handlarze, malajscy policjanci, Parsowie o długich nosach, skośnoocy Chińczycy i Euroazjaci - potomkowie Holendrów, Portugalczyków i Anglików. Na ulicy mieniło się jak w kalejdoskopie od barw, ruchu, hałasu i zamieszania.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Dominika.

- Niezwykle kompetentny sekretarz gubernatora poinformował mnie, że najlepszą i najelegantszą krawcową i modystką na Cejlonie jest madame Fernando.

Dominika spojrzała na niego zdumiona.

- Tak, to prawda, ale muszę ostrzec waszą lordowską mość, że jest też bardzo droga.

- Już ci powiedziałem Dominiko, że będziesz miała najlepszą i najpiękniejszą wyprawę, o jakiej może marzyć dziewczyna. Dlatego zamierzam przedstawić cię pani Fernando. Wyjaśnię jej, że wszystkie rachunki ma przysłać do mnie, a potem zostawię cię tam, byście wspólnie wybrały to, co uznacie za stosowne.

Dominika zaczerpnęła głęboki oddech i popatrzyła przed siebie. Lord Hawkston uznał, że w myślach planuje już, jakie

sprawi sobie stroje. Bo przecież która dziewczyna, nosząca zwykle własnoręcznie szyte sukienki z najtańszych materiałów, nie zachwyciłaby się perspektywą kupna sukni, jakie - jeśli wierzyć sekretarzowi, - nosiły najelegantsze damy w Kolombo.

W końcu zatrzymali się przed sklepem pani Fernando. W oknie wystawowym pięknie prezentował się niezwykle elegancki kapelusik, ozdobiony ogromnymi strusimi piórami w kolorze purpurowym i niebieskim. Naturalnie była to tylko dekoracja, nie nadawał się bowiem raczej do noszenia, mimo to lord Hawkston zauważył, że Dominika patrzy na kapelusz z dużym uznaniem, zaczął więc się zastanawiać, czy może zaufać jej gustowi.

Gdy lokaj zsiadł z kozła, by pomóc im wysiąść, dziewczyna szybko odwróciła się w stronę Hawkstona.

- Milordzie, czy mógłby pan dokonać wyboru za mnie? - poprosiła cicho. - Ja nie wiem, co jest właściwe, i potem będzie się pan mnie wstydził.

Zaskoczyła go tym. Dokładnie zaplanował sobie czas, który miała spędzić w sklepie. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że przyjdzie mu wybierać suknie dla młodej kobiety. Sądził, że jego rola ograniczy się jedynie do wypisania czeku. Po chwili jednak uśmiechnął się i odparł:

- Dlaczego nie? - powiedział bardziej do siebie niż do niej. - W końcu zawsze uważałem, że jeśli chce się, aby coś było zrobione porządnie, to trzeba to zrobić samemu. Dobrze. Zostanę z tobą, Dominiko, ale nie miej do mnie pretensji, jeśli to, co uznam za stosowne, nie bardzo przypadnie ci do gustu.

Dojrzał w jej oczach wdzięczność i zrozumiał, że nie tylko obawiała się dokonać złego wyboru, ale też czułaby się onieśmielona w tak eleganckim sklepie.

Okazało się, że pani Fernando jest osobą lubiącą dominować i gdyby lord Hawkston nie został w sklepie, to

Dominika nie miałaby nic do powiedzenia w sprawie własnych sukni. Krawcowa była Francuzką z pochodzenia, a na Cejlon przyjechała jako młoda żona portugalskiego plantatora. Szybko jednak znudziło jej się życie na plantacji, więc osiadła w Kolombo i zajęła się szyciem eleganckiej bielizny dla miejscowych dam. Miała szczęście, bo zyskała poparcie żony gubernatora, co gwarantowało jej sukces. Początkowo sama pracowała dzień i noc, by zrealizować wszystkie zamówienia, z czasem zaś zaangażowała cejlońskie dziewczęta i nauczyła je szyc tak ładnie, jak sama umiała. Po dziesięciu latach zdobyła uznanie, własny sklep, dużo pracownic i rosące wciąż konto w banku. To ostatnie przydało się bardzo jej mężowi, kiedy to zaraza zniszczyła jego plantację kawy. Był tak zniechęcony i rozczarowany Cejlonem, że postanowił wrócić do Europy. Ona jednak zdecydowanie odmówiła wyjazdu. Było jej dobrze w Kolombo i nie miała zamiaru opuszczać swych wielbicieli. W rezultacie pan Fernando wyjechał sam. O rozwodzie nie mogło być mowy, bo oboje byli katolikami. Pani Fernando żywiła mimo to pewność, że w Lizbonie jej mąż znajdzie mnóstwo czarujących pań, które zechcą go pocieszyć.

W tej chwili uważnie lustrowała lorda Hawkstona. Podekscytowana recepcjonistka zdążyła jej już donieść, że klient przyjechał powozem gubernatora.

- Czym mogę panu służyć, monsieur? - zapytała uprzejmie głosem, z którego nie zniknął francuski akcent.

- Jestem lord Hawkston i potrzebuję pani pomocy, madame.

Pani Fernando dygnęła.

- Jestem na pańskie usługi, milordzie.

- Ta młoda dama, panna Dominika Radford, poślubi mojego siostrzeńca, Geralda Warrena, i w związku z tym potrzebuje wyprawy.

Oczy właścicielki pracowni zabłyśły, gdy odpowiadała:

- Z największą przyjemnością ubiorę tak czarującą istotę jak mademoiselle.

Mówiąc to spojrzała na sukienkę Dominiki i natychmiast odwróciła wzrok, jakby widok ten sprawiał jej przykrość.

- Jest tylko jeden problem - zaczął lord Hawkston. Pani Fernando patrzyła z uwagą.

- Zamierzamy wyjechać do Kandy w czwartek rano, a to znaczy, że panna Radford musi mieć już gotowych kilka sukni na początek. Resztę może pani przysłać następnym pociągiem.

Pani Fernando odetchnęła z ulgą. Obawiała się, że lord Hawkston nie będzie mógł zapłacić od razu za wszystkie kreacje. Poza tym pośpiech może sporo kosztować, jako że szwaczki muszą popracować do późna w nocy, by zrealizować zlecenia...

Okazało się, że to nieważne.

- Mam kilka gotowych lub prawie gotowych sukni i jestem pewna, że są wprost stworzone dla mademoiselle - zapewniła. - Proponuję, żeby przymierzyła je teraz, a wasza lordowska mość sam oceni.

- Oddajemy się w pani ręce, madame - powiedział i wydał się jej w tej chwili bardzo atrakcyjny.

Polecivszy cejlońskim dziewczętom, by przyniosły stroje, poprowadziła Dominikę do przebieralni, mówiąc do niej po drodze:

- Pani przysły wujek, mademoiselle, lord Hawkston, jest naprawdę tres distingue, albo jak mówią Anglicy: prawdziwym dżentelmenem.

- Lord Hawkston jest bardzo uprzejmy - odparła Dominika - ale nie chciałabym narażać go na zbyt wielkie wydatki.

- Proszę nie martwić się o takie drobiazgi - powiedziała uspokajająco krawcowa. - Rachunki to sprawa do załatwienia

między monsieur a mną. A teraz zajmiemy się najpierw bielizną, bo odpowiedni spód jest niezbędny, by suknia wyglądała naprawdę znakomicie.

Pomogła Dominice zdjąć suknię i aż krzyknęła ze zgrozy na widok bielizny ze zwykłego perkalu.

Po raz pierwszy w życiu Dominika włożyła gorset, dzięki któremu wyglądała tak zgrabnie, jak nigdy dotąd.

- Jest pani bardzo szczupła, mademoiselle - orzekła pani Fernando. - To duża zaleta, ale figurę należy odpowiednio uformować: talia musi być wąska, brzuch delikatnie zaznaczony, a biodra ładnie zaokrąglone.

Mówiąc to jednocześnie ubierała dziewczynę. Gdy uporała się już z bielizną, Dominika pomyślała, że nigdy nie przyszłoby jej do głowy, jak przyjemnie jest mieć na sobie mięciutką jedwabną bieliznę i jak inaczej można się poczuć w jedwabnych pończochach. W końcu pani Fernando pomogła jej włożyć suknię. Z wrażenia dziewczynie aż dech zaparło w piersi. Miękki różowy jedwab uwydatniał blask jej włosów i delikatność skóry.

- Jest zbyt elegancka... zbyt wspaniała! - zaprotestowała, onieśmielona falbankami, żabotami, małą turniurą i ciągnącym się za nią krótkim trenem. - Pewnie nie będę miała okazji, żeby włożyć tak wymyślną suknię.

- Proszę pokazać się teraz jego lordowskiej mości - zaproponowała krawcowa. - Jeśli ta mu się nie spodoba, to mam jeszcze sporo innych.

Dominika nieśmiało przeszła do salonu. Na widok lorda Hawkstona siedzącego wygodnie w obitym adamaszkiem fotelu pomyślała, jaką zuchwałością z jej strony było poproszenie, by został tu z nią, równocześnie jednak wiedziała, że sama by sobie nie poradziła. Pani Fernando budziła w niej strach, a poza tym Dominika była przekonana,

że lord Hawkston nigdy by nie uwierzył, że została zmuszona do kupna tych sukien, gdyby sam nie był przy tym obecny.

Patrząc na niego, oczekiwała osądu.

- Śliczna! - orzekł. - Dobrze ci w niej, Dominiko. A jak tobie się podoba?

- Obawiam się, że nie będę miała odpowiedniej okazji, by włożyć taką suknię.

- Już ci mówiłem, że mój siostrzeniec lubi rozrywki. Na pewno zabierze cię do Kandy i przyjaciół w sąsiedztwie.

Potem zwrócił się do krawcowej:

- Proszę koniecznie włączyć tę suknię do wyprawy, madame. Czy inne są równie ciekawe?

Dominika przymierzyła jeszcze sześć sukni i wszystkie spotkały się z aprobatą lorda Hawkstona. Wobec tego pani Fernando pokazała mu kilka następnych, z których większość również chciał kupić.

Na koniec pani Fernando zachowała piece de resistance. Była to suknia ślubna z białej koronki, tak piękna i kusząca, że gdy Dominika ją przymierzyła, ledwie mogła poznać swe odbicie w lustrze. Do sukni dodano odpowiedni welon i wianuszek z kwiatów pomarańczy.

- Trzeba będzie zmienić nieco pani fryzurę, mademoiselle - zwróciła uwagę Dominice. - To uczesanie jest zbyt surowe i za poważne dla młodej dziewczyny. Przyślę pani fryzjera. Pokaże pani kilka modnych fryzur.

- Nnnie, proszę go na razie nie przysyłać. Jeszcze nie jestem gotowa - wykrztusiła pospiesznie.

Wyobrażała sobie, jak bardzo przerażony i zgorszony byłby ojciec, widząc na plebanii fryzjera. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że jej obecna fryzura nie pasuje do nowych sukni.

Chciała jakoś udobruchać nalegającą panią Fernando, więc szybko rozluźniła węzeł i pozwoliła włosom swobodnie opaść po bokach, po czym zebrała je z tyłu w luźny koczek.

- Tak już lepiej - przyznała krawcowa. - Ale na górze powinna mieć pani loczki, mademoiselle, szczególnie wieczorem. Są bardzo twarzowe.

- Pomyślę o tym - z wahaniem w głosie odparła Dominika.

Czuła jednak, że jej opiekun jest tego samego zdania. Doskonale rozumiała, że lord Hawkston nie kupuje tych sukni tylko po to, by sprawić jej radość. Wiedziała, że chce, aby wyglądała równie atrakcyjnie co dziewczyna, która porzuciła jego siostrzeńca. „Musiała być bardzo ładna” - pomyślała.

Chętnie zobaczyłaby tamtą dziewczynę, bo mogłaby wtedy spróbować upodobnić się do niej. Zaraz jednak uznała, że naśladowanie kobiety, która nie dotrzymała słowa i zawiodła nie tylko Geralda Warrena, ale i jego wuja, byłoby całkowicie błędne. Mogłoby na przykład podsunąć lordowi Hawkstonowi niepokojącą myśl, że ona jest równie lekkomyślna i niegodna zaufania jak tamta.

„Pozostanę sobą - zdecydowała. - Jestem córką mojej mamy, a ona zawsze powtarzała, że każda z nas ma własną osobowość, własny charakter i własne zwyczaje. Postaram się zaprezentować jak najlepiej, ale nie będę nikogo naśladować”.

Podbudowana tą myślą przeszła w ślubnej sukni do salonu, sprawiając wrażenie postaci z bajki.

Lord Hawkston przyglądał jej się przez chwilę, po czym powiedział:

- Zupełnie jakby była szyta z myślą o tobie!

- Podoba się panu, milordzie? - dopytywała się pani Fernando.

- Proszę ją włączyć do wyprawy.

- Cieszę się, milordzie. Dziękuję.

Kiedy właścicielka pracowni odwróciła się, by wydać instrukcje, Dominika podeszła bliżej do lorda Hawkstona.

- Jest pan pewien, milordzie, że powinniśmy kupić tę suknię? - spytała. - Nie obawia się pan, że to może przynieść... pecha, że pański siostrzeniec może nie zechcieć, bym została jego żoną?

- Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek mężczyzna mógł ci się oprzeć w tej chwili - odparł lord Hawkston. - Popatrz w lustro, Dominiko. Przekonasz się, że wyglądasz pięknie i czarująco.

Uśmiechnęła się do niego, ale w jej oczach pojawiła się troska.

- Wystarczy jak na jeden ranek - powiedział Hawkston. - Przebierz się w którąś ze swych nowych sukni i pojedziemy na lunch do hotelu Galleface.

Dominika wyglądała na zaskoczoną. Wyjaśniła pani Fernando, o co lord ją prosił, a krawcowa poleciła jej włożyć skromną, lecz śliczną sukienkę z wzorzystego muślinu, ozdobioną różowymi wstążkami. Do tego odpowiednie buciki, rękawiczki i torebka. Zresztą pani Fernando dobrała dodatki do każdej z zakupionych sukien. Do muślinowej, którą Dominika właśnie miała na sobie, pasował mały kapelusik ozdobiony wianuszkami jedwabnych różyczek i zawiązywany pod szyją na różowe kokardki.

- Czy mam wyrzucić ubranie, w którym pani tu przyszła, mademoiselle? - spytała modystka.

- Nie, oczywiście, że nie! - wykrzyknęła. - Jest jeszcze w całkiem dobrym stanie, a ja mam pięć młodszych sióstr.

- Myślę, że w przyszłości będzie pani mogła im oddać mnóstwo ładnych rzeczy - powiedziała z uśmiechem pani Fernando.

- Mnie się też tak wydaje - zgodziła się Dominika - ale na razie...

Głos jej się urwał.

Nie mogła przecież wyjaśniać krawcowej, że jej ojciec byłby przerażony widząc, jakie suknie będzie teraz nosić, i że już zaczęła się martwić, jak zdoła po powrocie na plebanię przekraść się niezauważenie do swego pokoju i przebrać w zwykłą sukienkę.

Ojciec często mówił, że elegancko ubrane kobiety są grzesznicami. Jego zdaniem frywolność była grzechem, a piękne stroje deprawowały tych, którzy je nosili.

- Proszę zapakować to, w czym przyszłam - powiedziała Dominika. - Zabiorę te rzeczy ze sobą.

- Te suknie, które są już gotowe, prześlę na plebanię jeszcze dziś wieczorem, mademoiselle - zapewniła pani Fernando. - Następne będę dosyłać stopniowo, w miarę wykańczania, aż do czwartku rano. Pozostałe rzeczy pojedą później pociągiem do Kandy. Omówię tę sprawę z milordem.

Kiedy Dominika zjawiała się w salonie, zastała lorda Hawkstona zajętego wypisywaniem czeku. Domyślała się, że suma na blankiecie jest ogromna i poczuła się winna, że tyle pieniędzy poszło na stroje. Pewnie można by za nie wyżywić wielu głodnych.

Nie mogła jednak zaprzeczyć - wyglądała pięknie. Wywarło też na niej wrażenie; iż posiada teraz tak wiele wspaniałych rzeczy, że aż sama nie pamięta.

Hawkston przekazywał właśnie czek pani Fernando, kiedy Dominika przy nim stanęła. Uśmiechnął się do niej. Spojrzał na nią i dostrzegł w jej oczach prośbę.

- O co chodzi? - zapytał.

- Chciałabym pana o coś prosić, milordzie. Może pan odmówić, ale ja muszę... o to poprosić.

- Co to takiego? - spytał spokojnie. Odciągnęła go nieco na stronę, by krawcowa nie mogła ich słyszeć.

- Chodzi o to, że dostałam tak wiele, więcej niż mogłabym sobie wymarzyć - zaczęła. - Czy moglibyśmy zrezygnować z jednej z tych sukien i za tę kwotę kupić nowe kapelusze i rękawiczki dla moich sióstr? Nosimy te czarne od śmierci mamy i dziewczynki będą musiały je nosić jeszcze pewnie parę lat. A my wszystkie nie cierpimy czerni. - Głos jej drżał, a oczy błagały o zrozumienie. - Jeśli zrezygnujemy z jednej sukienki, to wystarczy - prosiła. - Nie będzie trzeba dokładać ani pensa.

Lord Hawkston uśmiechnął się do niej, po czym zwrócił do pani Fernando.

- Madame, mam już ostatnie zlecenie.

- Oczywiście, milordzie - uśmiechnęła się.

- Jest jeszcze pięć panien Radford w różnym wieku - mówił powoli. - Proszę dla każdej z nich uszyć skromną, niedzielną sukienkę, podobną do tej, którą panna Dominika ma na sobie. Do tego kapelusiki. Każda jednak ma być inna, dostosowana do wieku i osobowości panienki. Chyba najlepiej będzie, jeśli wyśle pani tam kogoś, by wziął miarę. Może nawet dzisiaj.

- Z największą przyjemnością, milordzie - odpowiedziała pani Fernando z wdzięcznością w głosie.

Potem kłaniając się i dziękując odprowadziła lorda i Dominikę do drzwi.

Gdy wreszcie ruszyli, Dominika odwróciła się w stronę lorda Hawkstona.

- Nawet nie wyobrażałam sobie, że ktoś może być tak wspaniale, cudownie uprzejmy! - powiedziała z radością. - Dziękuję, milordzie! Dziękuję z całego serca!

- Sprawilo mi to ogromną przyjemność, Dominiko - odparł. I mówił to szczerze.

ROZDZIAŁ 4

Pociąg jechał przez pola ryżowe i moczary, a Dominice wydawało się, że rozwija ogromną szybkość. Wyglądała przez okno i wciąż miała wrażenie, że śni, że nic wokół niej nie jest rzeczywiste. Taki nastrój utrzymywał się, odkąd lord Hawkston pojawił się w jej życiu.

Do ostatniej chwili nie mogła uwierzyć, że naprawdę opuszcza plebanię i żegna się z siostrami. One zaś były zbyt podekscytowane nowymi sukienkami i kapeluszami, by smucić się z powodu wyjazdu Dominiki.

Kiedy Dominika powiedziała im, co lord Hawkston zamówił dla nich u pani Fernando, w pierwszej chwili nie uwierzyły.

- Ale czy ojciec pozwoli nam je nosić? - zapytała w końcu Wiara. - Co powie, kiedy zobaczy nas ubrane tak wspaniale?

- Powie tak - zaczęła Charitas naśladować głos ojca: - Kobieca próżność i uwielbienie dla bogatych strojów budzą obrzydzenie w oczach naszego Pana!

- Jestem pewna, że każe nam nosić stare sukienki i te obrzydliwe, wstrętne kapelusze! - powiedziała z rozpaczą w głosie Wiara.

- Myślałam o tym po drodze do domu - odezwała się Dominika. - Może nie powinnam, ale powiem wam, co macie zrobić.

- Co? - zapytały jednogłośnie.

- Gdy tylko dostaniecie nowe kapelusze, natychmiast spalcie stare!

- Spalić je?!

- Wiecie równie dobrze jak ja, że dopóki wasze kapelusze są w niezłym stanie, ojciec nie pozwoli na kupno nowych. A przecież nie możecie pokazać się w kościele z gołymi głowami.

Wiara rzuciła się Dominice na szyję.

- Jesteś genialna! - krzyknęła. - Tak właśnie zrobimy.

- Właściwie to podstęp - mówiła z wahaniem Dominika - ale jestem pewna, że wasze sukienki będą śliczne, tak jak moja. W dodatku lord Hawkston polecił pani Fernando, żeby każda była inna.

- Lord Hawkston jest najwspanialszym człowiekiem na świecie! - wykrzyknęła nie posiadająca się z radości Wiara.

- Pamiętajcie, żeby nie dziękować mu w obecności ojca - upomniała siostry Dominika.

Zapamiętały to ostrzeżenie, choć z trudem przyszło im zastosowanie się do niego. Gdy wreszcie zostały sam na sam z lordem, dały upust swej wdzięczności.

- To takie uprzejme z pana strony. Takie cudowne! - mówiły. - Aż trudno uwierzyć, że dostajemy taki wspaniały prezent.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak będziecie wyglądać - powiedział lord Hawkston, a Dominika zauważyła iskierkę w jego oczach.

Prudencja, która nie odzywała się do tej pory, podeszła do Hawkstona.

- Jest pan bardzo uprzejmy - stwierdziła. - Jak dorosnę, wyjdę za pana za męża.

Wyglądał na zaskoczonego, ale powiedział:

- Czuję się zaszczycony. Po raz pierwszy w życiu otrzymałem propozycję małżeństwa.

- Zaczeka pan na mnie, prawda? - dopytywała się Prudencja.

Hawkston przyjrzał się jej. Zauważył, że bardzo przypomina Dominikę. Miała takie same platynowe włosy, szare oczy i mały, prosty nosek. Była bardzo drobniutka i lord domyślił się, że jest z nich najśłabsza.

- Zaczeka pan? - dopytywała się.

- Coś ci powiem - rzekł po chwili. - Obiecuję, że na twoje osiemnaste urodziny wydam wspaniały bal, na który zaproszę wszystkich znanych mi najprzystojniejszych, najbardziej czarujących i najodpowiedniejszych młodych mężczyzn.

Oczy Prudencji rozbliły.

- Będę musiała nauczyć się tańczyć!

- Musisz też dużo jeść, żeby być silna - wtrąciła Dominika. - Bo w przeciwnym razie nie dasz rady tańczyć całą noc, prawda, milordzie? - Popatrzyła wymownie na lorda Hawkstona.

- Naturalnie - przytaknął z powagą. - Taniec bywa bardzo męczący. Chyba nie chciałabyś opuszczać własnego balu o północy, niczym Kopciuszek?

- Dobrze, będę jadła - obiecała.

Teraz, siedząc w pociągu, Dominika pomyślała, że było to bardzo sprytne posunięcie. Dziecko ma jakąś motywację. Z Prudencją zawsze miała kłopot, gdy chodziło o jedzenie. Grymasiła i nie była w stanie zjeść nawet tej niewielkiej ilości pożywienia, którą wydzielał im ojciec.

Za oknem przesuwaly się pagórki porośnięte dżunglą.

Przypominały wysepki otoczone morzem szmaragdowozielonego młodego ryżu. Zaprzężone do pługa bawoły grzęzły po kolana w podmokłym gruncie przygotowywanym pod zasiew. Począwszy od Rambukany teren wciąż się wznosił, więc doczepiono jeszcze jedną lokomotywę. W pewnym miejscu - Dominika nazwała je „Skalą wrażeń” - tory przebiegały przez strome zbocze wzgórza, a rozpościerający się stamtąd widok był urzekający. Pod nimi otwierała się przepaść głęboka na dwieście metrów, a dalej zbocze opadało jeszcze o ponad trzysta metrów aż do pól ryżowych.

Tuż przy torach wzgórza zostały obsadzone młodymi sadzonkami herbaty, pomiędzy którymi wciąż tkwiły martwe

pnie kawowców. W większości jednak trasa prowadziła przez las.

Lord Hawkston siedział na wprost Dominiki, ale dziewczyna wyczuwała, że wolałby nie rozmawiać w hałasie, jaki robi lokomotywa, więc podziwiała krajobraz, pogrążona w zadumie.

Myślała o tym, że ma na sobie bardzo elegancką sukienkę podróżną, a na siedzeniu obok leży zgrabnie skrojony żakiecik. Gdy siostry zobaczyły ją w nowej sukni i kapelusiku ozdobionym różyczkami, aż zaniemówiły z wrażenia. Milczenie przerwała Wiara pytając:

- Ile lat będziesz nosiła tę suknię, zanim mi ją oddasz?

- Przyślę ci ją, jak tylko dostanę nową - obiecała Dominika.

Przed wyjazdem było tak wiele rzeczy do zrobienia, tyle poleceń należało wydać Mallice, że Dominika nie miała nawet czasu, aby pomyśleć o tym, co ją czeka. Dopiero w nocy, przed zaśnięciem, opadły ją myśli o Geraldzie Warrenie, napawając strachem. Zastanawiała się, czy on, podobnie jak ona, obawia się tego spotkania. Ona przynajmniej mogła go sobie wyobrazić na podobieństwo lorda Hawkstona i dawało jej to jakąś pociechę. Ale on nie miał żadnych wskazówek co do jej wyglądu. Być może jest zły i rozdrażniony perspektywą poślubienia kogoś zupełnie obcego.

Dominika wiedziała, że w poniedziałek lord Hawkston napisał do Geralda list i aby mieć całkowitą pewność, że siostrzeniec otrzyma go na czas, wysłał go, przez posłańca, pokrywając koszt jego podróży na plantację i z powrotem. Nie było jej wiadome, czy posłaniec miał poczekać na odpowiedź, czy nie. Miała jednak wrażenie, jakby lord nie oczekiwał żadnej odpowiedzi, przekonany, że siostrzeniec i tak podporządkuje się jego życzeniom.

Tak czy inaczej, czuła lęk, kiedy pociąg, po czterogodzinnej jeździe, wtoczył się na stację w Kandy. Tutaj miał się przesiąść. Dominika zawsze słyszała, że Kandy jest bardzo piękne i że wciąż stoi tutaj ostatnia twierdza królów cejlońskich, z przeglądającą się w stawie Świątynią Zęba. Rzeczywistość jednak przeszła jej najśmielsze wyobrażenia.

Jeszcze dwie godziny dzieliły ich do odjazdu następnego pociągu, który miał ich dowieźć do miejscowości odległej od plantacji już tylko o osiem kilometrów. Lord Hawkston wiedział, że Dominika chciałaby zobaczyć miasto, więc wynajął powóz, który obwiózł ich po Kandy i wzdłuż stawu. Wszędzie rosły orchidee, jaśminy, magnolie, asoki o pomarańczowych i szkarłatnych kwiatach i delikatne, białe kwiatuszki champee o bardzo intensywnym zapachu.

- Czy wie pan, milordzie, że Kriszna, hinduski bóg miłości, przyczepia do grotów swych strzał kwiaty champee? - spytała Dominika.

- Czy dzięki temu są bardziej skuteczne? - zapytał Hawkston z uśmiechem.

- Bramini uważają, że tak. - Po chwili odważnie spytała: - Czy był pan kiedyś zakochany, milordzie?

- Nie na tyle, żebym chciał poświęcić swoją wolność - odparł.

- To znaczy, że nie - podsumowała Dominika. - Jestem pewna, że jeśli naprawdę się kogoś kocha, to nie ma takiej rzeczy, której by się dla niego nie poświęciło.

- Chyba naczytałaś się sporo romansów - powiedział lord.

- Ojciec nie pozwalał nam na czytanie powieści. Ale ja wiem, że prawdziwa miłość jest tak silnym uczuciem, iż nie można się jej oprzeć.

Czuła, że nie powinna rozmawiać o miłości z lordem Hawkstonem w taki sposób, bo przecież to on namówił ją, żeby poślubiła jego siostrzeńca nie żywiąc do niego żadnych

uczuc, nie wiedząc nawet, czy go polubi. Jednakże otaczające ją piękno samo nasuwało myśli o miłości.

Lord Hawkston spróbował zmienić temat i opowiedział Dominice o tym, jak Kandyjczycy dzielnie walczyli i jak długo opierali się nacierającym Brytyjczykom. Mówił też o najbardziej widowiskowej uroczystości w całej Azji, która odbywała się w Kandy corocznie już od dwóch tysięcy lat.

- Spodoba ci się - powiedział. - To najwspanialsze widowisko, jakie kiedykolwiek widziałem. Biorą w nim udział zabawnie przystrojone słonie, dobosze i tancerze, wodzowie w bogatych strojach. Są też ognie sztuczne.

- Często zastanawiałam się, jak i w ogóle dlaczego Cejlon wszedł w posiadanie zęba Buddy - powiedziała Dominika.

Mówiąc to spoglądała na ubrane w piękne sari cejlońskie kobiety wchodzące do świątyni. W dłoniach trzymały kwiaty champee, by złożyć je przy relikwiarzu.

- Legenda mówi, że tę relikwię przywiozła ukrytą w swych ciemnych włosach księżniczka, która w czasie wojny uciekła z Indii - odpowiedział lord Hawkston. Po chwili dodał z uśmiechem: - Pewnie miała tak długie i wspaniałe włosy jak twoje.

Dominika zarumieniła się.

- Skąd pan wie... że mam takie włosy?

- Domyśliłem się, bo trudno jest ci je ułożyć.

Na twarzy Dominiki odmalowało się zaniepokojenie.

- Może gdybym je trochę obcięła, wyglądałabym bardziej elegancko.

- Nie wolno ci tego zrobić - zaprotestował zdecydowanie.

- Kobieta powinna mieć długie włosy. Dodają jej kobiecości, a twoje są największą twoją ozdobą.

Dominika znów się zarumieniła. Wyczuła podziw w jego głosie. Był to prawdziwy komplement.

Chciała zapytać jeszcze o tyle różnych rzeczy, ale czas biegł nieubłaganie i wkrótce ponownie siedzieli w pociągu jadącym na północ.

- Teraz jest zupełnie inaczej - powiedział Hawkston. - Kiedy kupowałem tę plantację, do Kandy prowadziła zwykła dróżka, po której jeździły wozy z kawą. Jechało się konno w tumanach kurzu. - Uśmiechnął się i dodał: - Obecnie trudno nam wyobrazić sobie, że gubernator objeżdżał wyspę z wielką karawaną. Było tam stu sześćdziesięciu ludzi niosących palankiny i czterystu kulisów.

- Mieszkańcy musieli się nieźle nagłowić, jak zapewnić lokum tylu ludziom - zauważyła Dominika.

Starła się być naturalna, ale z każdym przebytych kilometrem rosło jej zdenerwowanie i niepokój. Doskonale wiedziała, że lord Hawkston spodziewa się po niej opanowania i spokoju. W końcu właśnie z tego powodu wybrał ją na żonę dla swego siostrzeńca. Jeśli zacznie histeryzować, to lord pewnie nią wzgardzi. Tak więc starała się mówić naturalnym tonem. Rozumiała też, że lord Hawkston dokłada wysiłków, by czuła się swobodnie i by cała sytuacja wydawała się zupełnie normalna.

- W liście prosiłem Geralda, żeby nie wyjeżdżał po nas do Kandy - powiedział. - Pomyślałem, że trudno byłoby wam rozmawiać po raz pierwszy w hałaśliwym pociągu. Spotkacie się w domu, który sam wybudowałem i z którego jestem naprawdę dumny.

- Czy to było bardzo trudne?

- Przede wszystkim sprawiło mi ogromną przyjemność. Początkowo dom był niewielki, a prace nad nim zahamował krach kawowy. Potem, kiedy herbata zaczęła przynosić zyski, podjąłem budowę na nowo. Ostatecznie dom i ogród zostały wykończone na rok przed moim wyjazdem do Anglii.

Ton jego głosu powiedział Dominice, że był to jeden z powodów, dla których niechętnie opuszczał Cejlon.

- Jako kobieta znajdziesz pewnie sporo niedociągnięć - powiedział z uśmiechem - ale mnie wydaje się on niemal doskonały. Uważam też, że na całej wyspie nie znajdzie się piękniejszego otoczenia jak to wokół mojego domu.

- Jestem pewna, że bardzo mi się spodoba - powiedziała cicho Dominika.

Miała nadzieję, że równie mocno się jej spodoba jego obecny mieszkaniec. A może utrata tamtej dziewczyny złamała Geraldowi serce i nie wyobraża sobie, żeby jakaś inna kobieta mogła zająć jej miejsce? „Muszę być niezwykle taktowna i wyrozumiała” - doszła do wniosku.

Przyzwyczała się okazywać delikatność i współczucie. Po śmierci matki ojciec nalegał, by towarzyszyła mu podczas wizyt w domach rodzin, którymi się opiekował. Spotykała tam ludzi starych, chorych i umierających, kaleki i chore dzieci.

Jakby czytając w jej myślach, lord Hawkston zapytał:

- Jaka była twoja rola podczas wizyt, które pastor składał ubogim?

- Ojciec wciąż próbuje nawracać Cejlończyków na chrześcijaństwo. Mama mawiała, że powinien być zostać misjonarzem. Zdołał ochrzcić sporo rodzin i pilnuje, żeby żyły po chrześcijańsku. - Uśmiechnęła się. - Czasem wydaje mi się, że po prostu zmusza ich do tego bez względu na to, czy oni chcą, czy nie. I zawsze bardzo ostro wypomina im opuszczenie niedzielnej mszy, chyba że mają ku temu jakiś naprawdę ważny powód.

Lord Hawkston pomyślał, że jako naród wyrozumiały i przyjazny Cejlończycy łatwo ulegali naciskom pastora, i głośno rzekł:

- Ale nie powiedziałaś mi, co ty robiłaś?

- Kiedy ojciec prawil kazania rodzicom, ja zabawialam dzieci, dogladalam staruszkow i chorych. Mysle, ze sprawiala im przyjemnosc sama moja obecnosc, bo mieli sie do kogo odezwac.

- - Rozumiem.

Dominika wyjrzała przez okno. Ścieżką biegnącą wzdłuż torów szedł jakiś buddyjski duchowny, ubrany w jaskrawy szafranowożółty strój, który świadczył o jego powołaniu.

- Nigdy nie zrozumiem - myślała głośno - dlaczego jakkolwiek buddysta miałby z własnej woli przejść na chrześcijaństwo. Przecież buddyzm to taka pogodna, dająca szczęście religia.

- Czytałaś coś na ten temat? - zapytał Hawkston.

- Tak. I rozmawiałam z wieloma wyznawcami buddyzmu.

- Zaraz też szybko dodała: - Ojcu nie podobałoby się to, ale interesowały mnie ich wierzenia. Czasem myślę, że wolałabym być buddystką.

- Może nią byłaś w poprzednim wcieleniu? Uśmiechnęła się.

- Czy pan także wierzy w reinkarnację?

- Powiedzmy, że uważam to za możliwe.

W oczach Dominiki błyszczało zainteresowanie.

- Wydaje mi się, że to jedyne... jedyne słuszne wyjaśnienie wszystkich krzywd i niesprawiedliwości tego świata - powiedziała. - Ich duchowni są tak pełni poświęcenia, a jednocześnie cisi i nie naprzykrzający się. Nigdy nie narzucają innym swych przekonań.

Lord Hawkston wiedział, że w myśli porównuje ich teraz ze swym ojcem, który zachowywał się dokładnie odwrotnie. W ostatnich dniach zaczął sobie uświadamiać, że Dominika jest niezwykle inteligentna i myśli znacznie poważniej niż inne dziewczęta w jej wieku. Przypuszczał, że w pewnym stopniu zawdzięcza to niecodziennemu sposobowi

wychowania. Coś mu też mówiło, że chociaż jest nieobyta, to jednak jej umysł wciąż pragnie wiedzy i dziewczyna może osiągnąć wyżyny niedostępne dla innych.

- Powiem ci coś, co cię ucieszy - rzucił nieoczekiwanie.

- Co takiego?

- Napisałem do księgarni w Kandy i poleciłem, by przesłali na plantację wszystkie książki, które się ostatnio ukazały.

Twarz Dominiki rozjaśniła się radością, toteż Hawkston nie miał wątpliwości, że się ucieszyła, choć nie zdążyła jeszcze wyrazić tego słowami.

- Znajdziesz mnóstwo czasu na czytanie, gdy Gerald będzie objeżdżał pola. Ale jest coś, o czym muszę cię uprzedzić.

- Słucham - powiedziała nieco zdenerwowana.

- Nie wolno ci wykonywać żadnej pracy w domu.

- Ale dlaczego?

- Bo jest do tego wystarczająco dużo służących. A gdybyś robiła to, co należy do nich, to tak, jakbyś chciała im powiedzieć, że źle pracują. Byłaby to dla nich duża obraza.

- A jeśli rzeczywiście coś źle zrobią?

- Wtedy wyjaśnij im dokładnie, jak chciałabyś, żeby to wykonali. Ale żadnego szorowania, zmywania czy ścierania kurzy.

- A gotowanie? - spytała nieśmiało.

- Mam doskonałego kucharza - odparł lord Hawkston. - Jeśli jednak z jakiegoś powodu odszedł, choć w to nie wierzę, będziesz mogła przyuczyć nowego. Nie wolno ci jednak pod żadnym pozorem, i chcę żebyś to na zawsze zapamiętała, gotować samej.

Westchnęła, po czym powiedziała:

- Widzę, że chce pan, milordzie, zrobić ze mnie wielką damę. Nie dziwię się, że zamówił pan tyle książek, bo cóż innego mogłabym robić?

- Możesz, jeździć konno - zaproponował. - Mam wrażenie, że świetnie wyglądałabyś na koniu.

- Gdy byłam dzieckiem, jeździłam na kucyku, lecz kiedy zdechł, nie stać nas było na innego.

- Nauczę cię jazdy konnej - obiecał, po chwili jednak przyszła mu do głowy jakaś myśl, więc dodał: - Chyba że Gerald sam zechce to zrobić.

Pociąg wjechał właśnie na stację, na której mieli wysiąść. Było już po trzeciej.

Jeszcze przed przyjazdem do Randy zjedli w pociągu znakomity lunch, który lord Hawkston zabrał ze sobą z Domu Królowej. Składały się na niego przepyszne dania, jakich Dominika nigdy nie jadła. Do tego białe wino. Wydawało jej się, że pije blask słoneczny. Teraz, wysiadając z pociągu, czuła lekkie mdłości i zastanawiała się, czy to ze strachu, czy po prostu za dużo zjadła.

Na stacji czekał na nich powóz. Lord Hawkston instruował tragarza, który zajmował się bagażem, a tymczasem podszedł do nich jakiś Cejlończyk.

- Ranjan! - powitał go lord Hawkston. - Jak to miło, że po mnie wyjechałeś.

Uściskał mu rękę, po czym zwrócił się do Dominiki.

- To jest Ranjan, Dominiko, mój nadzorca. Pilnował plantacji, gdy ja wyjechałem do Anglii. Cieszę się, że znów cię widzę, Ranjanie.

- Ja też, durai. Wszyscy nie móc się doczekać.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Hawkston.

- Nie, durai. Masa kłopotów - odparł Ranjan.

- Słyszałem, że były pewne trudności, ale wierz mi, wszystko to naprawię.

- To, co stać się teraz, nikt nie naprawić - powiedział cicho Ranjan.

Dominika odwróciła się taktownie, mimo to wciąż słyszała, o czym rozmawiają.

- A co się stało? - spytał ostro Hawkston.

- Szita, dziewczyna, którą sinna durai odrzucić, nieżywa. My znaleźć ciało w strumień dzisiaj.

Dominika zauważyła, że lord Hawkston nagle zeszywniał. Stał nieruchomo w blasku słońca na wprost nadzorca, którego strój odbijał się jasną plamą na tle szarych budynków stacji.

- Popęłniła samobójstwo - powiedział szeptem.

- Tak, durai. Lakshman, ojciec Szity, przysięgać zemsta.

- Musisz go odszukać, Ranjanie! Znajdź go jak najszybciej. Powiedz, że wynagrodzę mu wszystko.

- Ja spróbować, durai - odparł Ranjan. - Ale on być bardzo szalony. Za późno na pieniądze.

- Musisz spróbować. Powiedz mu, że dopiero co wróciłem. Powiedz, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, i że chciałbym z nim porozmawiać.

- Ja zrobić to, durai - odparł Ranjan, ale Dominice wydało się, że nie wierzy, by mu się powiodło.

- Porozmawiamy później - powiedział lord Hawkston. Potem normalnym już głosem zwrócił się do dziewczyny: - Chodź, Dominiko. Nie powinnaś stać w słońcu bez parasolki.

- Tak, zapomniałam. - Posłusznie rozłożyła parasolkę.

Część bagaży załadowano na powóz, którym mieli jechać, a resztę na wózek Ranjana. Miał bardzo dziwny kształt i był upleciony z gałązek. Dominika domyśliła się, że używano go do rozwożenia warzyw i bambusa.

Powóz lorda i Dominiki jechał początkowo dość szybko, lecz zaraz za stacją droga zaczęła prowadzić pod górę, musieli

więc zwolnić. Hawkston milczał, ale po jakimś czasie Dominika spytała zdenerwowana:

- Kto to jest... Szita?

- Słyszałaś naszą rozmowę?

- Mimo woli.

- Ranjan powinien być bardziej dyskretny - rzucił ostro Hawkston.

- Powiedział, że ona.... popełniła samobójstwo. Dlaczego to zrobiła?

Wiedziała, że Hawkston wolałby nie odpowiadać na to pytanie, ale instynkt mówił jej, że ta sprawa w jakiś sposób jej dotyczy. Po dłuższej chwili lord powiedział:

- Mieszkasz na Cejlonie od urodzenia, Dominiko, i zdajesz sobie pewnie sprawę, jaki samotniczy tryb życia prowadzi plantator. Ma do towarzystwa tylko swych kulisów. Dlatego właśnie tak bardzo zależało mi, żeby jak najszybciej znaleźć żonę dla mego siostrzeńca.

- Szita była Cejlonką - upewniła się Dominika patrząc lordowi w twarz.

- Można się tego domyślić po imieniu - odparł szorstko. - Musiała być obłąkana, skoro rzuciła się do potoku. Spływa stromo w dół i jeśli Szita upadła na skały, to straciła przytomność i utonęła leżąc w wodzie.

- Dlaczego odebrała sobie życie? - naciskała Dominika.

Lord Hawkston nie odpowiadał, więc po chwili zapytała nieśmiało:

- Czy... przyczynił się do tego fakt, że... pan Warren ją odprawił? Bo to właśnie jego nadzorca nazywał sinna durai, prawda?

W pierwszej chwili lord Hawkston zamierzał skłamać, ale zaraz pomyślał, że w ten sposób zanegowałby inteligencję Dominiki. Niedobrze się stało, że Ranjan powiedział o wszystkim w obecności dziewczyny, ale nie mógł przecież

wiedzieć, że to przyszła żona Geralda. Poza tym, i lord Hawkston dobrze to rozumiał, Ranjan był tak zmartwiony i zdenerwowany tym, co się stało, że nawet nie przyszło mu do głowy, by w obecności kogoś obcego zachować większą dyskrecję. Starannie dobierając słowa, Hawkston powiedział:

- Są takie kobiety, Dominiko, które chętnie przebywają z młodymi mężczyznami, by ulżyć im w dokuczliwej samotności.

Lord Hawkston bardziej wyczuł, niż zobaczył, że Dominika drgnęła. Miał wrażenie, że spodziewała się tego, co właśnie usłyszała, lecz wyrażone słowami, zszokowało ją.

- Chce pan powiedzieć, że pan Warren i Szita byli... zakochani? - spytała drżącym głosem.

- Nie, to nie to - odparł Hawkston. - Nie było między nimi miłości, o jakiej rozmawialiśmy. Chodzi o to, że mężczyzna ma potrzebę fizycznego obcowania / kobietą, a jeśli ona jest chętna zaspokoić tę potrzebę, zawierają swego rodzaju układ, satysfakcjonujący obie strony. To coś w rodzaju transakcji handlowej.

Przez dłuższą chwilę Dominika milczała. W końcu powiedziała wolno:

- To musi być jedna z tych... pokus, które tak ostro krytykuje ojciec. Starał się doprowadzić do zamknięcia w Kolombo domów, w których plantatorzy spotykali się z cejlońskimi kobietami. Uważał, że... takie kontakty są ohydne i grzeszne.

- Twój ojciec, ze zrozumiałych względów, trochę przesadza - odparł zimno Hawkston. - W końcu dopóki nie umarła twoja matka, nie wiedział co to samotność i nie męczyło go pożądanie, które, trzeba to sobie otwarcie powiedzieć, odczuwa większość ludzi.

- Ta dziewczyna odebrała sobie życie. Dlaczego pański siostrzeniec ją odprawił?

- Możesz być pewna, że nie ma to nic wspólnego z twoim przyjazdem. Stało się tak jeszcze przed moim przybyciem do Kolombo.

Wydawało mu się, że dzięki temu wyjaśnieniu poczuje się lepiej. Wciąż jednak była bardzo blada, a w jej oczach malowało się coś, czego nie rozumiał. Nietrudno było przewidzieć, że będzie zszokowana, ale miał nadzieję, że przestanie się tak bardzo przejmować, gdy usłyszy, iż jej osoba nie ma z tym nic wspólnego.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, w końcu lord Hawkston powiedział:

- Obiecuj mi coś, Dominiko.

- Co? - spytała cicho.

- W ostatnich dniach zdążyliśmy się zaprzyjaźnić i cieszę się, że ufasz memu osądowi. Czy mogłabyś zaufać mi nieco bardziej i uwierzyć, że lepiej zapomnieć o tym, co usłyszałaś? Zostaw wszystko mnie.

Odpowiedziała dopiero po chwili:

- Spróbuję.

- Weź pod uwagę, że znamy na razie jedną stronę medalu. Doszły mnie słuchy o tej dziewczynie wkrótce po przyjeździe do Kolombo, ale nie miałem jeszcze okazji usłyszeć wersji Geralda. Chyba zgodzisz się ze mną, że byłoby sprawiedliwie przed wydaniem wyroku zapoznać się również z jego wyjaśnieniami. W końcu mógł to być tylko nieszczęśliwy wypadek.

Dominika nie odpowiedziała, więc Hawkston kontynuował:

- Domyślasz się pewnie, że kulisi lubią plotkować i wszystko wyolbrzymiają. Najdrobniejszy wypadek to dla nich tragedia. Wierzę, że gdy zbadam dokładnie tę sprawę, ukaże się nam w zupełnie innym świetle.

Lord Hawkston pomyślał, że chciałby rzeczywiście odczuwać taki optymizm, jaki zawarł w swoich słowach. To, o czym się dowiedział, wyglądało znacznie gorzej niż sytuacja, jaką przedstawił mu James Taylor.

„Niech diabli wezmą tego głupca!” - pomyślał.

Zdawał sobie sprawę, że ta historia obiegnie sąsiedztwo z szybkością błyskawicy. W dodatku zaniepokoi pracowników, co przyniesie szkodę plantacji. A tego nigdy Geraldowi nie wybaczy. On sam miał opinię pana wymagającego, ale i sprawiedliwego. Dobrze płacił swym kulisom i choć musieli ciężko pracować, szanowali go i byli w stosunku do niego lojalni. Nie zdarzyło się, żeby. ktoś chciał gdzie indziej szukać pracy albo odchodził z powodu złego traktowania.

Co też Gerald mógł narobić przez te dwa lata? I jak mógł dopuścić do utraty życzliwości i zaufania tak godnego szacunku człowieka jak Ranjan?

Jedyną pocieszającą rzeczą w tym wszystkim był (akt, że ani Szita, ani jej ojciec nie byli zatrudnieni na plantacji. Cieszył się, że Gerald nie popełnił choć tego błędu - nie wybrał jednej z dziewczyn pracujących u niego, bo to byłoby niewybaczalne.

Hawkston postanowił, że jeśli ojciec Szity sam do niego nie przyjdzie, to zrobi wszystko, aby go odszukać. Wydawało mu się, że Lakshman mieszkał w pobliskiej wiosce w górach.

„To tylko kwestia pieniędzy” - rozmyślał, mając nadzieję, że tak rzeczywiście będzie.

Cejlończycy są narodem cichym i łagodnym. Lord Hawkston obawiał się jednak, że z żalu i złości Lakshman mógł oszaleć. Słyszał już o podobnym wypadku, a jego konsekwencje były bardzo nieprzyjemne.

Na razie miał dwa zasadnicze problemy: odnaleźć Lukshmana i uspokoić Dominikę. Nie był bezduszny i zdawał sobie sprawę z tego, że każda dziewczyna, a zwłaszcza taka z

charakterem jak Dominika, przeżyłaby szok na wieść, iż człowiek, którego ma poślubić, miał kochankę i w dodatku doprowadził ją do samobójstwa. Zbyt późno uświadomił sobie, że gdy tylko Ranjan powiedział coś o kłopotach, powinien był domyślić się, iż dotyczą one Geralda, i odciągnąć zarządcę na bok. Ale w pierwszej chwili sądził, że nadzorca zamierza powiedzieć o czymś, co się stało z herbatą. Od czasów krachu kawowego zawsze obawiał się czegoś takiego. Nawet teraz zdarzało się, że budził się w nocy zlany potem, bo mu się śniło, jak ogląda kawowe listki i próbuje zetrzeć z nich chorobliwe plamki, wmawiając sobie, że to nie grzyb, a jednocześnie w pełni świadomy, że nie ma już nadziei.

Wiele wysiłku kosztowało lorda Hawkstona, by mówić normalnie, jakby nic nie zaszło:

- Za następnym zakrętem będzie już widać mój dom. Wciąż jechali pod górę i choć powietrze było gorące, to jednak dało się wyczuć świeżą bryzę, której nie zaznali w Kandy. Kiedy dojechali do zakrętu, Hawkston powiedział:

- Zamknij oczy!

Dominika zrobiła, o co prosił, a po chwili usłyszała, jak każe woźnicy się zatrzymać. Minęła jeszcze minuta, zanim powiedział:

- Otwórz oczy!

Przed nimi roztaczała się głęboka dolina, otoczona wzgórzami, za którymi wznosił się łańcuch wysokich, zielonych szczytów. Dokładnie na wprost mieli przed sobą wodospad spadający do jeziora i wypływający z niego dalej jako potok srebrzystej wody spływającej ze stromizny gór. Niemal oślepiąca słonecznym blaskiem, Dominika dojrzała obok jeziora długi, niski, biały dom z szerokimi werandami na obydwu poziomach. Otaczał go ogród mieniący się wszystkimi kolorami tęczy, żywymi niczym płomień. Była

tam żółć i złoto, blady róż i purpura, a nawet błękit. Wiedziała, że kwiaty nelu, płożące się po ziemi niczym dywan, są właśnie błękitne.

Z głębi doliny aż do granic ogrodu wznosiły się, jak schody ku świątyni, tarasy obsadzone ciemnozielonymi sadzonkami herbaty.

Dominika wzięła głęboki oddech. Uświadomiła sobie, że lord Hawkston ciekaw jest jej wrażeń, więc w końcu przemówiła:

- Teraz rozumiem, dlaczego Adam i Ewa przybyli na Cejlon!

- Myślisz, że to nowy raj?

- Nie wyobrażam sobie, żeby ten w niebie mógł być tak rozkosznie cudowny, żeby jego piękno tak zapierało dech w piersiach, jak widok tego raju.

Widziała, jaką sprawiły mu przyjemność jej słowa, tym większą, że wypowiedziała je szczerze.

- Ja też tak pomyślałem, gdy pierwszy raz zobaczyłem tę dolinę - powiedział.

Widok był istotnie urzekający i w pewnym sensie tak nieoczekiwany, że Dominika siedziała zupełnie nim pochłonięta.

- Czy podoba ci się dom?

- Jest śliczny... cudowny!

- Naprawdę tak uważasz?

- Wygląda jak z bajki. Jestem pewna, że jezioro jest zaczarowane.

- Musisz nauczyć się pływać.

- Zawsze o tym marzyłam, ale ojciec nie pozwalał chodzić nad morze. Mówił, że to bardzo nieskromne.

- Tutaj nikt cię nie zobaczy - zapewnił ją. - Zwłaszcza jeśli będziesz się kąpać w czasie, kiedy wszyscy są zajęci pracą.

- Tak właśnie zrobię.

Potem zauważył, że Dominika patrzy na potok wypływający z jeziora i wiedział, że myśli o młodej kobiecie, która odebrała sobie życie rzucając się w jego wody. Zaciśnął wargi. Zdał sobie sprawę, że bez względu na jego starania śmierć Szity zmaćci Dominice radość z przyjazdu.

Dał znak woźnicy, by jechał szybciej, bo droga biegła teraz po zboczach wzgórza wprost do domu. Sam ją wybudował. Uważał to za duże osiągnięcie i był z niego dumny.

Lord Hawkston wyczuwał, że w miarę jak zbliżają się do domu, Dominika coraz bardziej wciska się w siedzenie powozu, jakby nagle zasłabła. Uśmiechnął się do niej.

- Nie denerwuj się - uspokajał ją. - Jest jeszcze tyle wspaniałych rzeczy, które chcę ci pokazać, że na pewno będziesz się dobrze bawić.

Odwróciła się w jego stronę. Patrzyła z niepokojem.

- Wszystko w porządku - powiedział cicho. - Po prostu zaufaj mi, tak jak cię prosiłem.

- Spróbuję - wyszeptała.

Lord Hawkston nie miał okazji porozmawiać z siostrzeńcem, dopóki Dominika nie poszła się położyć.

Gerald powitał ich w holu, jak tylko wysiedli z powozu. Podeszedł z nieco sztucznym, zdaniem Hawkstona, uśmiechem na twarzy i wtedy lord przeżył drugi tego dnia szok. Te dwa lata zmieniły Geralda niemal nie do poznania. Przybyło mu jakieś dwadzieścia kilogramów, a twarz miał nalaną i czerwoną. Lord Hawkston domyślił się, co spowodowało tę zmianę, jeszcze zanim poczuł zalatujący alkoholem oddech.

Kiedy ostatnio widział Geralda, był to szczupły, elegancki młodzieniec. Miał jakiś wewnętrzny urok sprawiający, że mnóstwo kobiet się w nim zakochiwało. Teraz ta elegancja

zniknęła bez śladu; Gerald zmienił się, a lord Hawkston ledwie wierzył, że to naprawdę jego siostrzeniec.

Najwyraźniej pił tuż przed ich przyjazdem, chociaż ubrany był stosownie i wyglądał w miarę porządnie. Z początku wyraźnie zdenerwowany, stopniowo, w miarę picia whisky, rozluźniał się. Wybuchy ochryplego śmiechu przeplatał narzekaniami na trudy związane z uprawą herbaty oraz na nudę i samotność panującą w miejscu tak oddalonym od cywilizacji.

Lord Hawkston oczekiwał, że Gerald będzie się bardziej starał, ale najwyraźniej nie na wiele było go stać. Miał też nadzieję, że Dominika, nie znając Geralda wcześniej, nie może dokonywać porównań, a zatem nie jest aż tak niemile zaskoczona jego wyglądem jak on sam. Może też, z uwagi na fakt, że są rówieśnikami, wyda jej się przynajmniej miły. Im dłużej jednak patrzył na siostrzeńca, tym większy narastał w nim gniew. Nie rozumiał, jak młody człowiek może tak zupełnie zlekceważyć powierzone mu obowiązki i zawieść czyjeś zaufanie. Jego siostrzeniec zupełnie nie potrafił docenić danej mu szansy.

„Właściwie to moja wina. Nie powinienem był go tu wysyłać” - myślał.

Ale świadomość, że zwyczajnie pomylił się co do Geralda, ani odrobinę nie zmniejszyła przepelniającej go wściekłości.

W czasie kolacji starał się, żeby rozmowa była w miarę interesująca. Miał też nadzieję, że Dominika nie wie, jak mocnym trunkiem jest whisky, i nie zauważa, jak ogromne jego ilości wlewa w siebie Gerald.

Domyślał się, że dziewczyna jest zmęczona. Rzeczywiście, wstała zaraz po wypiciu kawy w salonie, z którego ogromnych okien roztaczał się widok na dolinę.

- Pójdę się już położyć, milordzie. To był bardzo długi dzień.

- Tak, to prawda - odparł. - Dobranoc, Dominiko. Śpij dobrze.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Dobranoc, milordzie. Dobranoc, panie Warren. - Mówiąc to dygnęła i opuściła pokój.

Zaraz po przyjeździe lord Hawkston zauważył, że górne piętro jest zamknięte i nie używane. Bardzo go to zdenerwowało, bo zwykle tam sypiał, a teraz wszyscy zmuszeni byli korzystać z sypialni na parterze.

- Dlaczego zamknąłeś górę? - zapytał siostrzeńca.

- Nie mogłem sobie pozwolić na utrzymywanie tylu służących - odpowiedział z agresją w głosie. - Nie ma sensu, żeby włóczyli się tu beczynnienie.

Ponieważ Dominika obecna była przy tej wymianie zdań, lord Hawkston powstrzymał się od komentarza. Doskonale wiedział, że zostawił Geraldowi dość pieniędzy, by mógł swobodnie opłacić całą służbę. Sądząc po relacji Jamesa Taylora, Gerald przepuścił wszystko na hulanki i alkohol. Hawkston pilnował się jednak, by nie wyładować swego gniewu, dopóki Dominika pozostawała w pokoju.

Dopiero gdy wyszła, przemówił do Geralda. Głos miał spokojny i opanowany, ale każde słowo było mocne jak uderzenie bata.

- Doniesiono mi o śmierci Szity - zaczął. - Jak mogłeś postąpić tak głupio, niczym kompletny idiota, by odesłać ją bez zwyczajowej zapłaty? Każdy tutaj mógł ci powiedzieć, ile jej się należało.

- Wiem, ile chciała - odparł Gerald gburowato - ale nie miałem pieniędzy. Rozumie wuj? Po prostu nie miałem.

- Mogłeś przynajmniej obiecać, że zapłacisz jej po moim przyjeździe. Albo wziąć pożyczkę z banku.

- Już brałem.

- Ile?

- Tysiąc funtów. Nie chcieli mi dać następnej pożyczki.
 - Chcesz powiedzieć, że rozpuściłeś tysiąc funtów ponad to, co ci przysłałem? - spytał wuj z niedowierzaniem.
 - Mam też trochę długów - powiedział beczelnie Gerald.
- Lord Hawkston zaczął chodzić po pokoju, próbując się uspokoić.
- Tak, teraz widzę, że jesteś zbyt głupi i leniwy, by zarządzać plantacją - rzekł. - Ale wtedy wierzyłem w ciebie i uważałem, że dobrze mnie zastąpisz. No cóż, pomyliłem się.
 - Chciałbym wrócić do Anglii.
 - A co zamierzasz tam robić? Żerować na swojej matce? Nie ma zbyt wiele pieniędzy. Zresztą i tak większość już przepuściłeś.
 - Ale przynajmniej żyłbym w cywilizowanym świecie.
 - Zrobisz to, co ci powiem - oznajmił Hawkston. - Nie zamierzam pozwolić, żebyś zachował się jak rozpieszczony dzieciak i uciekł pod skrzydła mamusi, dlatego że tu spartaczyłeś robotę! - Jego głos przybrał ostrzejszy ton: - Niedobrze się stało, że Emilia Ludgrove się wycofała, ale gdyby zobaczyła, jak obecnie wyglądasz, to pewnie i tak zerwałaby zaręczyny.
 - Tak naprawdę, to nigdy nie oczekiwałem, że Emilia za mnie wyjdzie - odparł Gerald. - A już na pewno nie, gdyby przyszło jej mieszkać w takiej zapadłej dziurze.
 - Cóż, ty jednak tu zostaniesz - zapowiedział gniewnie lord Hawkston. - Przywiozłem ci żonę, która się tobą zaopiekuje i miejmy nadzieję utrzyma w ryzach. Doprowadzę plantację do porządku, a gdy znów pojedę do Anglii, zajmiesz się nią, dopóki nie znajdę kogoś bardziej odpowiedniego na twoje miejsce. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?
 - A jeśli się nie zgodzę?
 - Jeśli się nie zgodzisz - powiedział Hawkston powoli i ostro - to będziesz musiał zapracować na bilet powrotny,

trzecią klasą! Nigdy nie dostaniesz ani pensa z moich pieniędzy. Dopilnuję też, żebyś nie dostał nic od matki.

Przez chwilę obaj milczeli, po czym Gerald rozparł się w fotelu i zaczął śmiać - wstrętnie, szyderczo.

- Wszystko sobie dokładnie zaplanowałeś, prawda, wuju? Trzymasz mnie w potrzasku, a ja nic nie mogę zrobić. Dobrze, ożenię się z tą dziewczyną. Jest całkiem niebrzydka i może wymyśli coś, żeby nie było tu tak przeraźliwie nudno. Chyba dasz nam jakieś pieniądze?

- Spłacę twoje długi - odparł Hawkston. - Będę ci też wypłacać pensję, która, jeśli przestaniesz pić, wystarczy ci na dostatnie życie.

- Mam przestać pić? Całkowicie?

- Zobowiąziesz się do tego na piśmie!

- Ale, wuju... - zaczął pojednawczo.

- Takie są moje warunki! - przerwał mu Hawkston. - Możesz je przyjąć lub odrzucić.

Nastąpiła chwila ciszy.

- A niech to diabli! Przyjmuję.

Gerald przez chwilę wpatrywał się w Hawkstona wściekłym wzrokiem, po czym sięgnął po butelkę.

- Jeśli od jutra mam przestać pić, to dziś mogę sobie jeszcze dogodzić. Dzięki, wuju, za twą hojność. Pewnie mam być ci głęboko i uniżenie wdzięczny - powiedział sarkastycznie i zataczając się wyszedł.

ROZDZIAŁ 5

Dominika nie mogła zasnąć. Myślała o wszystkim, co wydarzyło się tego dnia. Była wprawdzie bardzo zmęczona, ale sen nie przychodził. Drżała na samą myśl o Geraldzie Warrenie i choć w głębi serca wiedziała, że nie zdoła wyjść za niego, to nie śmiała jeszcze ubrać tych myśli w słowa. Bo jak wyjaśni to lordowi Hawkstonowi?

Naprawdę wierzyła, że Gerald jest podobny do swego wujka i wciąż powtarzała sobie słowa lorda: „wysoki i przystojny”. Gdy zobaczyła czekającego na nich w holu otyłego mężczyznę o czerwonej twarzy, w pierwszej chwili nie zorientowała się, że to właśnie on, człowiek, którego zgodziła się poślubić nie znając go.

Była zbyt spostrzegawcza, żeby nie zauważyć, jak dużą ilość whisky pochłonał w ciągu jednego wieczoru. Próbowала jednak tłumaczyć sobie, że ojcowskie potępienie alkoholu można nazwać po prostu obsesją, a dżentelmeni, tacy jak lord Hawkston, zawsze piją wino do posiłków i jest to zupełnie naturalne. Tylko że Gerald pił whisky, i to dużo. Widziała, jak służący raz po raz napełnia mu szklaneczkę i rozumiała, że pije zbyt wiele, co najprawdopodobniej tłumaczy jego otyłość.

A poza tym teraz, w ciemności, nachodziły ją myśli o Szicie, o tym jak umarła, i nie mogła się od nich uwolnić.

Dominika bardzo lubiła Cejlonki, bo były delikatne, dobroduszne, przyjacielskie i tak bardzo ufały tym, którym służyły. Zaprzyjaźniła się z wieloma z tych, które uczęszczały do kościoła. Często przychodziły do niej ze swoimi problemami, więc dobrze je znała. Rozumiała doskonale, że Gerald zaimponował Szicie swą pozycją i wspaniałym domem. Dla tej dziewczyny luksus tego miejsca przechodził wszelkie wyobrażenia. Może nawet kochała Geralda, niezależnie od tego, co sądził na ten temat lord Hawkston.

Znając Cejlończyków tak dobrze, Dominika wiedziała, że żyjący w górskich wioskach chłopci są na swój sposób dżentelmenami z własnym kodeksem wartości, których nie wymieniają na pieniądze. Najmowali się do pracy, żeby przeżyć, i dobrze wykonywali swe obowiązki, bo byli zarówno zręczni, jak i inteligentni. Woleli jednak pozostać biedni i niezależni, niż stać się bogaci, ale na usługach innych.

Dominika rozmawiała nieraz z kobietami, które wraz z mężami przyjechały do Kolombo z odległych prowincji. Cejlończycy nigdy nie pogodzili się z faktem, że obcy przeobrazili ich piękne góry w pola uprawne, wiedziała o tym dobrze. Starali się trzymać z daleka od plantacji kawy i herbaty. Zwłaszcza Kajonowie bardzo rzadko się zatrudniali, chyba że naprawdę potrzebowali pieniędzy.

Dlatego zresztą plantatorzy wcześniej odkryli, że powinni liczyć raczej na Tamilów jako siłę roboczą. Ci przyjeżdżali głównie z południowych Indii. To właśnie oni wykarczowali dżunglę i przygotowali tarasy pod uprawę kawy, a potem herbaty. Zatrudnianie Tamilów stwarzało jednak pewne problemy. Musieli nauczyć się angielskiego, a nie byli tak pojętni jak Cejlończycy.

Wyspiarze to z reguły łagodni, uprzejmi i pogodni ludzie. Dominika zastanawiała się, jak bardzo musiała cierpieć Szita, skoro zdecydowała się odebrać sobie życie. Czy rzeczywiście nie mogła znieść tego, że Gerald ją odrzucił? Dlaczego nie szukała pomocy u swych rodaków? I dlaczego ojciec, jeśli naprawdę tak bardzo ją kochał, jej nie powstrzymał?

Zadawała sobie te i inne jeszcze pytania, a jednocześnie czuła, że nie pozna na nie odpowiedzi, bo ani lord Hawkston, ani Gerald nie zechcą rozmawiać z nią na ten temat.

Podenerwowana wstała z łóżka, domyślając się, że już świta, bo spod zasłon wyzierało blade światło. Odsloniła okno, by przyjrzeć się widokowi, który tak ją zachwyił

poprzedniego dnia. Jej sypialnia znajdowała się z tyłu domu. Jedno okno wychodziło na dolinę, a drugie na ogród i jezioro. Poranne mgły opadały na dno doliny, a daleko za górami nieboskłon się rozjaśniał. Gwiazdy, które w nocy rozświetlały niebo, robiły się coraz bledsze.

Dominika przeszła do drugiego okna. Właśnie pierwszy złoty promień słońca odbił się w wodospadzie. Słyszała szum potoku, którego okryte mgłą wody staczały się setki metrów w głąb doliny. Widok stąd był przepiękny, a kwiaty aż zapierały dech w piersiach. W miarę jak robiło się jaśniej, Dominika mogła rozróżnić buldenezę, geranium, dzwonki, magnolie i oleandry. Rosły też pierzaste bambusy, orchidee, dostrzegła również mchy i trochę kwiatów, które uznała za angielskie - naparstnice, lobelie, lilie i rozmaite gatunki róż.

Zauważyła, że ogród został bardzo starannie zaplanowany, ale w tej chwili wygląda na zaniedbany i zarośnięty. Płatały się wszędzie powoje, winorośle i trzciny, a chwasty rosły między wszystkimi roślinkami. Pomyślała, że zabolaloby ją, gdyby miała ogród, w który włożyła tyle pracy i uczucia, a podczas jej nieobecności ktoś zaniedbałby go tak bardzo.

Poprzedniego wieczoru sama zorientowała się, że lord Hawkston jest mocno rozgniewany i tylko dobre wychowanie i opanowanie powstrzymuje go od okazania tego. Wprawdzie ona czuła się niezręcznie przy spotkaniu z Geraldem, ale jak ciężko musiało być lordowi Hawkstonowi, który zastał dom zmieniony, prawie bez służących, a ogród zaniedbany.

„Był naprawdę bardzo dzielny” - pomyślała. Zastanawiała się, czy po jej wyjściu z salonu rozmówił się z Geraldem i okazał mu tak starannie ukrywany dotąd gniew.

„On kocha ten dom i wszystko, co się w nim znajduje” - myślała.

Potem jakby los urzeczywistnił jej myśli - zobaczyła lorda Hawkstona na koniu. Wyjechał z za domu i skierował się ku

przeciwległemu brzegowi jeziora, gdzie potok przepływał pod mostkiem. Miał na sobie białą, rozpiętą pod szyją koszulę z podwiniętymi rękawami. Z gołą głową i w bryczesach do jazdy konnej wyglądał naprawdę młodo. Był szczupły i dobrze zbudowany, zupełne przeciwieństwo swego siostrzeńca.

Dominika domyśliła się, że pewnie nie mógł spać i dlatego wybrał się na przejażdżkę. Może zamierza obejrzeć pola albo szuka Lakshmana.

Na myśl o Szicie zadrżała. Wyobrażała sobie, jak bardzo ta dziewczyna cierpiała, skoro postanowiła rzucić się w rwące wody potoku. Umarła tam, na kamienistym dnie, przysłoniętym poranną mgłą, tak jak teraz.

Dominiką zauważyła, że jej myśli stają się coraz bardziej pesymistyczne, więc szybko włożyła szlafrok, bo i o tym nie zapomniła pani Fernando, i zawiązała pasek. Szlafrok był z muślinu, z koronkowymi wstawkami i falbankami, ozdobiony turkusowymi kokardkami, tak piękny i kobiecy, że aż zbyt wspaniały, by nosić go tylko w sypialni. Rozejrzawszy się po pokoju, Dominika uznała jednak, że idealnie do niego pasuje.

Poprzedniego wieczoru czuła się tak zmęczona, zmieszana i onieśmielona spotkaniem z Geraldem Warrenem, że nie przyjrzała się dokładnie domowi. Zorientowała się jednak, że urządzone jest z wyśmienitym smakiem. Nie spodziewała się tego po mężczyźnie; zbudowanie domu - owszem, ale umeblowanie go, to zupełnie co innego.

Pamiętała, że w salonie widziała meble z hebanu, jednego z najbardziej cenionych na Cejlonie gatunków drewna, oraz z drewna atlasowego pochodzącego z drzew rosnących na całej wyspie. W swojej sypialni dostrzegła komódkę z kalamandy, drzewa twardszego, ale i delikatniejszego niż różane, oraz szafkę z nedunu, gatunku bardzo cenionego przez rzemieślników. Sypialnia była śliczna, a jak się wcześniej

dowiedziała, każdy pokój w tym domu nazywano imieniem jakiegoś kwiatu.

- Który pokój przeznaczyłeś dla Dominiki? - spytał siostrzeńca lord Hawkston.

- Poleciałem służbie przygotować Pokój Białego Lotosu, a dla wuja sąsiedni. Chyba Czerwony Lotos.

Gerald wypowiedział to nieco pogardliwym tonem, jakby uważał ten zwyczaj za śmieszny. Dominika jednak świetnie go rozumiała. Wielki kwiat lotosu zwykle biały lub czerwony, wyglądał tak dostojnie, że zupełnie zrozumiały wydawał się szacunek, jakim ludzie Wschodu go darzyli.

Rozmawiała kiedyś z botanikiem, który powiedział jej, że Hindusi uważają skończenie doskonały kwiat lotosu za początek wszelkiego istnienia. Pokazał jej wtedy ogromny kwiat, którego czerwona odmiana przypominała szkarłatną różę spoczywającą na pływających, zielonych liściach.

- Kiedyś na nie zaludnionych równinach - opowiadał botanik - widziałem ogromne jeziora, całe pokryte czerwonymi i białymi kwiatami lotosu. To kwiat Buddy. Zauważ, że często jest podstawą jego posążków.

Teraz patrząc na pokój, Dominika doszła do wniosku, że projektując go, lord Hawkston musiał to wszystko wiedzieć. Dywan był koloru ciemnozielonego, jak pływające liście, a ściankę łóżka w nogach wyrzeźbiono na kształt białych, leciutko zaróżowionych płatków lotosu. Biel ścian przechodziła pod sufitem w bledziutki róż. Zasłony utkane przez miejscowych rzemieślników miały po mistrzowsku wpleciony motyw lotosu. Wyglądały prześlicznie. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający Budę, otoczonego rozkwitającymi kwiatami lotosu. Był piękny i musiał namalować go prawdziwy artysta. Miał w sobie coś, co poruszało Dominikę i wywoływało w niej uczucia podobne do tych, których doświadczała słuchając muzyki.

Pokój wprowadził Dominikę w bardzo romantyczny nastrój, podeszła więc do okna, mając nadzieję, że zobaczy w ogrodzie lorda Hawkstona. Ale nie było go tam. Tylko wodospad i jezioro skrzyły się w promieniach słońca, a kwiaty nabrały żywych barw. „Można niemal dostrzec, jak rosną” - pomyślała Dominika. Zapomniała o wszystkim, przyglądając się kwiatom i rzednącej nad doliną mgłę. W pewnej chwili jednak uświadomiła sobie, że czas płynie, a ona powinna się już ubrać.

Przeszła więc do łazienki, umyła się i włożyła jedną z tych ślicznych sukni z cienkiego muślinu, które pani Fernando określiła jako codzienne. W oczach Dominiki nie były wcale takie zwyczajne, ale przecież powiedziano jej, że są odpowiednie na dzień powszedni. Ponieważ chciała zrobić jak najlepsze wrażenie, upięła włosy zgodnie z panującą modą. Pozwoliła im opaść miękkimi falami do policzków, a resztę zebrała do tyłu, splotła w gruby warkocz i zawinęła do góry, podpinając tuż przy czubku głowy. Przy tak gęstych i długich włosach nie przyszło jej to łatwo. Efekt jednak był zadowalający, a poza tym fryzura dodała jej kilka centymetrów. Skończyła właśnie toaletę, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę! - powiedziała.

Weszła służąca, niosąc tacę z dzbankiem herbaty, filiżanką i dzbanuszką mleka.

- Dzień dobry, nona - przywitała ją służąca, używając portugalskiego słowa w miejsce madam.

- Dzień dobry - odparła Dominika.

- Panienska wcześniej wstać - zauważyła z uśmiechem. - Ja przynieść herbatę, a śniadanie czekać na werandzie.

- A więc pójdę tam z herbatą - uśmiechnęła się Dominika.

Podążyła za służącą, która poprowadziła ją na sąsiadującą z jadalnią werandę, gdzie na przykrytym białym obrusem

stoliku przygotowano śniadanie. W pobliżu nie dostrzegła ani lorda Hawkstona, ani Geralda; nie była pewna, czy nie powinna na nich zaczekać. Służący jednak rozwiązali ten problem. Jeden z nich natychmiast nalał jej herbaty i przyniósł plaster papai na przekąskę. Najwyraźniej oczekiwali, że zacznie jeść. Zaczęła więc powoli, spodziewając się w każdej chwili lorda Hawkstona.

Pierwszy jednak pojawił się Gerald. Nadszedł od strony jeziora. Najwyraźniej pływał, bo miał na sobie tylko szorty. Wywołało to rumieniec na twarzy Dominiki. Nigdy dotąd nie widziała na wpół nagiego białego mężczyzny. Nie mogła się też oprzeć myśli, że Gerald wygląda wyjątkowo niekorzystnie. Mokre włosy spadały mu na czoło. Miał duży, wystający brzuch, a całe ciało - pulchne i owłosione - pokrywały czerwone łatki opalenizny. W ręku trzymał duży, biały ręcznik. Dominika nie rozumiała, dlaczego się nim nie przykrył.

- Dzień dobry, Dominiko - powiedział głośno. - Wczesnie wstałaś! Myślałem, że będziesz zmęczona.

Dominika poderwała się nerwowo.

- Jestem przyzwyczajona do wczesnego wstawania.

- Usiądź, proszę, nie przerywaj sobie śniadania. Ja założę tylko szlafrok i zaraz przychodzę.

Gerald wszedł do domu, a Dominika usiadła. Zauważyła, że ma przekrwione oczy i mocno napuchniętą twarz, jeszcze bardziej niż wczoraj. Wypiła herbatę, ale jakoś straciła apetyt. Gerald pojawił się po kilku minutach. Miał na sobie długi, biały szlafrok frotte, odsłaniający częściowo jego klatkę piersiową. Mimo iż się uczesał, zdaniem Dominiki wciąż wyglądał nieładnie.

Czuła, że ojciec byłby zszokowany na samą myśl, że jego córka je śniadanie z mężczyzną odzianym jedynie w szlafrok. Nie mogłaby jednak stwierdzić, że nie jest ubrany.

Powiedziała też sobie, że nie należy krytykować ludzi mieszkających na wsi, którzy przyzwyczajeni są do życia na luzie.

- Może kawy, sinna durai? - zapytał Geralda służący.

Gerald zawahał się przez chwilę, po czym zapytał:

- Gdzie Pędzący Rydwan?

Dominika spojrzała na niego nic nie rozumiejąc.

- To przezwisko świetnie pasuje do wuja - wyjaśnił. - Ale jeśli ci się nie podoba, mogę powiedzieć szef.

- Jakiś czas temu widziałam, jak jechał konno - odparła.

Jej zdaniem Gerald zachował się bardzo niestosownie, mówiąc o wuju w ten sposób w obecności służby.

- W takim razie - zwrócił się do służącego - napiję się whisky. Tylko się pospiesz.

Dominika wpatrywała się w niego zdumiona. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że ktoś może pić whisky na śniadanie. Jakby dostrzegając jej zdumienie, Gerald powiedział:

- Dogadzam sobie, póki mogę. Czy wiesz, co jego lordowska mość wymyślił?

- Nie... nie mam pojęcia - oznajmiła słabym głosem.

- Kazał mi podpisać oświadczenie! Ale, posłuchaj, nawet jeśli to zrobię, to będę trzymał w tym czasie skrzyżowane palce i to całe przyrzeczenie czy przysięga, czy cokolwiek to jest nie będzie ważne.

- Chcesz powiedzieć, że... że go okłamiesz?

- No nie, teraz ty zaczynasz! - krzyknął. - Mam już dość kazań.

Przyniesiono właśnie whisky i Gerald jednym łykiem wypił pół szklaneczki.

- No, już lepiej! - westchnął. - Teraz łatwiej nam będzie rozmawiać.

Dominika spojrzała na niego przestraszona. Nie miała ochoty rozmawiać przy służących. Gerald jednak zupełnie ignorował ich obecność. Lekceważącym mchem ręki odmówił zjedzenia papai, a gdy podano mu jajka na bekonie, spojrzał na nie z niechęcią.

- Skoro już musimy mieszkać w tej dziurze zabitej dechami - powiedział wreszcie - to powinniśmy się jakoś zabawiać. Jeśli ten skąpiec da nam wystarczająco dużo pieniędzy, to w Kandy jest sporo rozrywek. Nie ma może tylu możliwości co w Kolombo, ale w zeszłym roku otworzyli tam całkiem przyjemny klub. No i mam w Kandy paru znajomych skłonnych do rozrywek.

- Czy nie będziesz pracować na plantacji? - spytała Dominika.

- Nie, jeśli tylko uda mi się tego uniknąć. - Zaśmiał się ochryple. - Naturalnie będę stwarzał pozory, dopóki szef nie wyjedzie do Anglii. Nie przypuszczam zresztą, że zostanie tu długo po naszym ślubie. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Dominika zacisnęła dłonie na kolanach. Okropne było nie tylko to, co Gerald powiedział, ale i jak. Jego głos brzmiał szorstko i pogardliwie. Zrozumiała, że nienawidzi nie tylko wuja, ale i tego domu, i całej doliny. Zastanawiała się przez chwilę, jaki rodzaj „zabawy” Gerald miał na myśli i jakoś instynktownie wyczuła, że jej na pewno się nie spodoba.

Czuła, że powinna coś powiedzieć, więc zapytała cicho:

- Czy w Kandy odbywają się jakieś koncerty? Czy ktoś zainteresowany muzyką znajdzie tam coś dla siebie?

- Nie wydaje mi się - odparł. - Chyba że masz na myśli muzykę taneczną. W każdą sobotę jest zabawa i chociaż chłopcy zachowują się trochę nieokrzesanie, to dziewczęta i tak mają uciechę. Znajdziesz tam mnóstwo miejsc, gdzie przy świetle księżycy można się pocałować i pościskać. Wiesz, te rzeczy. Robi się romantycznie. Spodoba ci się.

Dominika zaczerpnęła głęboki oddech. Nie znalazła na to komentarla, w głowie czuła pustkę. Gerald dokończył whisky, po czym strzelił palcami na służącego, by napełnił mu szklaneczkę. Pijąc patrzył na Dominikę.

- Mam wrażenie, że będę musiał cię dużo nauczyć - powiedział przyglądając się jej. - Ale nauczysz się. Kobiety są pojętne. Mam przecucie, że będziemy się dobrze bawić, oboje.

W jego głosie i wyrazie twarzy było coś, co sprawiło, że poczuła się, jakby pełzła ku niej żmija. Aż skuliła się ze strachu. Chciała uciec, ale bała się poruszyć. Wreszcie usłyszała czyjeś kroki i zaraz zobaczyła lorda Hawkstona. Na jego widok wyraźnie jej ulżyło. Kątem oka dostrzegła, że Gerald jednym łykiem opróżnił szklanekę i szybko oddał służącemu, który wyniósł ją ukradkiem.

Fakt, że wspólnie oszukują pana domu, wydał się Dominice poniżający. Jeśli nawet lord Hawkston widział wszystko, nie dał tego po sobie poznać. Dominika zauważyła, że zmienił koszulę i założył krawat. Nie miał marynarki, ale rękawy koszuli spiał złotymi spinkami. Już sama jego obecność sprawiła, że poczuła się spokojniejsza.

- Dzień dobry, Dominiko - przywitał się swym cichym, głębokim głosem. - Dzień dobry, Geraldzie. Widzę, że pływałeś.

- Owszem - odparł. - To pomaga utrzymać formę.

- Myślę, że jeszcze lepiej by ci zrobiła jazda konna. Zauważyłem, że konie mają za mało ruchu.

Gerald nic nie odpowiedział, ale miał nadąsaną minę.

Służący przyniósł herbatę dla lorda Hawkstona. Popijając ją małymi łyčzkami, Hawkston powiedział do Dominiki:

- Zawsze odczuwam dużą satysfakcję, gdy piję własną herbatę siedząc wygodnie na własnej werandzie i patrząc na moją własną dolinę.

- Rozumiem - odparła z uśmiechem. - A to, że pije pan własną herbatę, milordzie, jest pewnie najważniejsze.

- Ta herbata to coś w rodzaju kamienia węgielnego. Dobrze spałaś, Dominiko?

Nie miała ochoty mówić prawdy, ale przyzwyczajenie sprawiło, że nie potrafiła skłamać.

- Miałam sporo do przemyślenia - zaczęła tłumaczyć. - Ale oczywiście... bardzo mi się tu podoba. - Miała wrażenie, że nie wyraziła tego, co chciała, więc szybko dodała: - Ogród jest prześliczny! Nigdy nie widziałam tak pięknych kwiatów.

- Był prześliczny - zauważył cicho lord Hawkston, a potem powiedział do siostrzeńca: - Chciałbym wiedzieć, co się stało z ogrodnikami, których odpowiednio przeszkoliłem?

- Nie mogłem sobie pozwolić na ich opłacanie. A zresztą, komu potrzebny ogród?

- Mnie, na przykład - stwierdził stanowczo Hawkston.

- Zauważyłam, że sprowadził pan, milordzie, wiele kwiatów z obcych krajów - szybko wtrąciła Dominika. - Najbardziej jednak lubię te tujejsze, może dlatego że od urodzenia mieszkam na Cejlonie.

- Pewnie masz na myśli orchidee i magnolie - uśmiechnął się.

- No i oczywiście lotosy.

- Lotosy rosną, a przynajmniej rosły, w stawie po drugiej stronie domu. Pokażę ci go, choć przykro będzie, jeśli już ich nie ma.

- Też tak myślę - zgodziła się Dominika. - A mola sypialnia jest przepiękna.

- Pokój Białego Lotosu - powiedział jakby do siebie. - Na szczęście udało mi się znaleźć rzemieślników, którzy rzeczywiście umieli rzeźbić. Musisz obejrzeć sypialnię na górze. Uważam, że Pokój Palmowy jest jedyny w swoim

rodzaju. Są tam wyrzeźbione palmy areka. To prawdziwy unikat.

- Bardzo chciałabym go zobaczyć! - Myślę, że pierwszą rzeczą, którą musimy zrobić zwrócił się do siostrzeńca - jest objazd plantacji. Chciałbym, żebyś pokazał mi, Geraldzie, co zrobiono tu przez ostatnie dwa lata, jakie wprowadzono unowocześnienia.

- Wszystko jest tak, jak wuj zostawił - stwierdził Gerald.

- Mam nadzieję. Idź się ubrać, a ja polecę przygotować konie. Może pojedziesz z nami, Dominiko. Jeździłaś kiedyś, a koń, którego dosiadałem dziś rano, powinien być w sam raz.

Dominika popatrzyła na niego zaniepokojona.

- Nie chciałabym przeszkadzać.

- Nie będziesz. Włóż amazonkę. Kupiliśmy ją u pani Fernando, jest więc świetna okazja, by ją wypróbować.

Dominika uśmiechnęła się i pobiegła do sypialni.

Gdy lord Hawkston mówił do Geralda, bała się, że przyjdzie jej zostać w domu. Ale nie, zabierał ją ze sobą i chciało jej się śpiewać z radości, że zobaczy plantację, która dla niego znaczy tak wiele.

W ciągu zaledwie kilku minut ściągnęła muślinową sukienkę i włożyła amazonkę z różowej bawełny, ozdobioną białą koronką. Do tego słomkowy kapelusz i była gotowa. Ucieszyła się, że tak szybko się przebrała, bo Gerald jeszcze nie zszedł i zastała lorda Hawkstona samego w holu.

- Nie boisz się jechać? - zapytał, gdy tylko ją zobaczył. - Mogę cię zapewnić, że koń, którego ci wybrałem, jest bardzo spokojny.

- Chyba nie zapomniałam, jak się jeździ konno, ostatnio robiłam to pięć lat temu - odparła Dominika.

- Myślę, że tego się nigdy nie zapomina - powiedział, próbując dodać jej pewności.

- Rozmawiając wyszli z domu. Konie już czekały. Lord Hawkston pomógł Dominice wsiąść. Gdy objął ją w tali, przebiegły jej ciało jakieś dziwne, bardzo przyjemne dreszcze. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. Lecz myślała teraz tylko o tym, by pojechać jak najlepiej, tak aby był z niej dumny. Wzięła wodze w ręce, a lord Hawkston uśmiechem dodał jej odwagi.

- Widzę, że nie zapomniałaś.

- Mam nadzieję, że się nie ośmieszę.

- To zupełnie niemożliwe.

Spoglądała na niego z góry, bo stał jeszcze na ziemi. Chyba pierwszy raz zauważyła, że ma ciemnoniebieskie oczy, które żywo odbijają od lekko opalonej skóry. Przez chwilę wpatrywała się w niego, ale szybko odwrócił wzrok.

- Jesteś pewna, że strzemień nie jest za długie? - spytał, a ona jakby nie rozumiała, o co pyta.

- Tak... tak... w sam raz - wyjąkała. Lord Hawkston dosiadł drugiego konia.

- Właściwie możemy ruszać. Gerald nas dogoni.

- Będzie wiedział, dokąd jechać?

- Powinien.

Pojechali ścieżką schodzącą w dół zbocza ku dolinie. Lord Hawkston ustalił powolne tempo. Dominika poczuła się pewniej, choć duży koń to jednak co innego niż kucyk, na jakim zwykła jeździć jako dziecko.

Pamiętała, jak bardzo pragnęła bywać na corocznych zawodach gimnastycznych w Kolombo. Była to wspaniała rozrywka i wszystkie dzieci je oglądały, ale ojciec nigdy jej nie pozwolił. Nawet mamie nie udało się go przebłagać.

Pójdiesz, jeśli nie będziesz miała nic lepszego do roboty - zgodził się kiedyś niechętnie.

Ani jej, ani siostronom nie wolno było brać udziału w zawodach, mimo iż ona albo Wiara mogłyby niektóre konkurencje wygrać.

Teraz zastanawiała się, czy takie wyrzeczenia uczyniły je lepszymi ludźmi albo lepszymi chrześcijankami. Czy religia musi być taka ponura i surowa? Dlaczego czczony przez ojca Bóg miałby z dezaprobatą patrzeć na śmiech i szczęście?

Zaraz jednak porzuciła swe rozważania, bo lord Hawkston zaczął opowiadać o herbacie.

- Ze wszystkich upraw tylko herbatę można zbierać sześć dni w tygodniu przez cały rok na okrągło. No, trzeba wyłączyć z tego dwa, trzy dni z okazji hinduskiego festiwalu.

Zanim jeszcze zbliżyli się do pracujących kulisów, usłyszeli ich.

- TAMILOWIE SĄ HAŁAŚLIWI I DOŚĆ KŁÓTLIWI - powiedział, gdy spojrzała na niego pytająco - ale to dobrzy pracownicy.

Gdy podjechali bliżej, Dominika zauważyła, że ludzie zbierający herbatę mają na plecach duże bambusowe kosze, przywiązane linką, która przechodziła przez ich czoła. Kobiety ubrane były w kolorowe stroje, na sposób grecki owinięte wokół ciała; koniec tkaniny przerzucały przez ramię i okrywały nim głowy. Powstawało w ten sposób coś w rodzaju turbana z miękkimi podkładkami w miejscu, gdzie biegła linka. Widok był naprawdę malowniczy - ponad setka ludzi w zielonych, czerwonych, złotych i białych strojach, stojących w sięgających im po pas ciemnozielonych krzaczkach;

Dominika podziwiała ich szybką, zręczną pracę. Kobiety zrywały dojrzałe liście - zawsze dwa, wraz z pączkiem - i najpierw składały je w kupkę na dłoni, po czym zręcznym, szybkim ruchem przerzucały ponad ramieniem wprost do koszyka.

- Pracę nadzorują mężczyźni - wyjaśnił Hawkston. - Nazywają ich kanganies.

Popatrzył na nich z uśmiechem, Dominika zaś z trudem powstrzymała się od głośnego śmiechu.

Atrybutami ich władzy były staromodna, europejska marynarka, turban i przymocowana do kołnierza, dyndająca na plecach parasolka. Ta ostatnia świadczyła o wysokiej randze noszącego ją człowieka.

- Herbatę waży się cztery razy dziennie - kontynuował wyjaśnienia lord Hawkston. - To, ile zebrała każda pracownica, zapisuje się w księdze rachunkowej zwanej kannackapiller. - Popatrzył na zbieraczy z dumą w oczach. - Przy księgowaniu nie może być mowy o żadnym oszustwie. Każdy dokładnie wie, ile zebrał, i podana w księdze waga jest rzeczywista.

Wszyscy wyglądali na zadowolonych i nie ukrywali radości na widok lorda Hawkstona. Czuło się ją również w ich głosach, gdy z nim rozmawiali, i Dominika była pewna, że ich przywiązanie do pracodawcy jest szczere.

Nastrój zmienił się, gdy po chwili dołączył do nich Gerald. Najwyraźniej było mu bardzo gorąco i pot spływał po jego twarzy. Chciał chyba zaimponować wujowi, bo zsiadł z konia, z pewnym trudem zresztą, podszedł do zbieraczy i zaczął krytykować ich pracę. Ton jego głosu dodatkowo zdenerwował Dominikę. Nikt oczywiście nie odpowiedział; wszyscy kontynuowali pracę, lecz Dominika była pewna, że oburzyło ich jego aroganckie zachowanie i głośne rozkazy, którymi chciał ich zastraszyć.

We trójkę przyglądali się potem ważeniu herbaty przed jednym z magazynów, który, jak wyjaśnił lord Hawkston, zbudowany był pierwotnie na kawę.

Czas mijał zbyt szybko, zdaniem Dominiki, bo ani się spostrzegła, jak musieli już wracać. Pojechali inną drogą. Gerald ciągnął długą przemowę pełną samochwalstwa i pokrętnych wyjaśnień, by wytłumaczyć jakoś lordowi,

dlaczego produkcja herbaty spadła. Obarczał winą kulisów, nadzorców, pogodę, a nawet krzewy herbaciane, podczas gdy w rzeczywistości należało ją przypisać jego nieudolności.

Lord Hawkston prawie się nie odzywał, lecz Dominika widziała, że czuje się mocno zawiedziony. Przecież zostawił plantację w doskonałym stanie, rozkwitającą z miesiąca na miesiąc. Teraz nie tylko się nie rozwijała, ale pewnie przynosiła straty zamiast zysków.

Ponieważ lord Hawkston nie komentował jego słów, Gerald zamilkł, a Dominika ucieszyła się, że może jechać w ciszy i podziwiać piękno okolicy. Zafascynowała ją otaczająca pola dżungla; rzeczywistość przerosła jej wyobrażenia. Rosły tam rozmaite gatunki ogromnych bambusów o pierzastych liściach, a w najniższej części doliny dojrzała nawet gigantyczne paprocie, wysokie aż na sześć metrów. Poszycie przesycone było niebieską barwą rosnącego wszędzie nelu, choć nie brakowało też magnolii, mirtów i różnych gatunków kamelii.

Lord Hawkston zauważył, że przygląda się jednej z nich, zachwycona doskonale ukształtowanymi, jakby nawoskowanymi kwiatami.

- Wiesz pewnie, że krzewy herbaciane należą do tej samej rodziny co kamelie - powiedział.

- Nie, nie wiedziałam o tym - odrzekła Dominika. - Ale teraz rzeczywiście widzę pewne podobieństwo.

- Pokażę ci coś jeszcze piękniejszego - zapowiedział Hawkston.

Ujechali kawałek, po czym wskazał palcem drzewko bawełny, zwane przez Cejlończyków katuimbul. Dominika widziała kiedyś takie w ogrodach Kolombo, ale tutaj rosły dziko, kilkanaście w jednym miejscu, i wszystkie obsypane wspaniałymi kwiatuskami w kształcie trąbek. Gałązki układały się poziomo, niczym reje okrętowe, a ziemię pod

nimi przykrywała warstwa szkarłatnych płatków. Drzewka wyglądały tak ślicznie, że Dominika nie mogła się na nie napatrzeć i postanowiła, że cokolwiek się stanie, przyjedzie tu jeszcze, zanim przekwitną.

Gdy dojechali do domu, lord Hawkston pomógł Dominice zsiąść z konia.

- Może wydaje ci się, że wróciliśmy za szybko - powiedział - ale śniadania jada się tu zwykle wcześnie, tuż po świcie, więc lunch podawany jest w południe.

- Mniejsza o godzinę, jestem głodna - rzekła z uśmiechem.

Trudno, żeby było inaczej, skoro tak się przejęła zachowaniem Geralda, że prawie nic nie zjadła na śniadanie. Teraz próbowała przekonać samą siebie, że okazała się głupia i zbyt wymagająca. Przecież Gerald jest siostrzeńcem lorda Hawkstona, musi więc postarać się go zrozumieć.

„Pewnie Czuje się skrępowany, tak jak ja, całą tą sytuacją” - pomyślała.

Wyjaśnienie wydawało się sensowne i podtrzymywało ją na duchu, ale w głębi serca drżała na samą myśl, że mogłoby ją coś łączyć z tym wiecznie pijanym człowiekiem.

Po lunchu lord Hawkston kazał Dominice odpocząć.

- Pierwszego dnia nie należy się przemęczać - tłumaczył.
- Musisz stopniowo przyzwyczajać się do tutejszego klimatu. Może nie odczuwasz tego, ale górskie powietrze inaczej wpływa na organizm niż morskie, do którego jesteś przyzwyczajona. A poza tym wybieramy się z Geraldem na długą przejażdżkę. To dla ciebie zbyt duży wysiłek.

Dominika czuła się zawiedziona, ale coś jej mówiło, że lord ma rację. Wybrała jedną z wielu książek i położyła się, żeby poczytać, ale zaraz zasnęła. Ponieważ noc miała bezsenność, spała głęboko i obudziła się dopiero o szóstej wieczorem.

- Trzeba było mnie obudzić - powiedziała do służącej, którą wezwała, by sprawdzić, która godzina.

- Durai mówić, że ty spać, nona - odparła. - Może kąpiel?

- Tak, dziękuję.

Kiedy wyszła z wanny, dochodziła siódma. Włożyła więc jedną z tych ślicznych, przeznaczonych na wieczór sukien, w które zaopatrzyła ją pani Fernando. Ta miała kolor jaśminowca, bladożółty, i dopasowany, głęboko wycięty z przodu i z tyłu stanik. Małe bufiaste rękawki zostały uszyte z żółtego tiulu, który udrapowano też na szerokiej spódnicy. Suknia wydawała się zbyt elegancka jak na cichy, domowy wieczór, lecz Dominika chciała olśnić lorda Hawkstona. Nieco onieśmielona zeszła do salonu.

Był to duży, piękny pokój, w którym znajdowało się mnóstwo cennych przedmiotów wykonanych przez miejscowych rzemieślników. Dominika miała ogromną ochotę przyjrzeć się im z bliska.

Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu zastała w salonie nie lorda Hawkstona, ale Geralda. Trzymał w ręku szklaneczkę whisky i zaniepokoił się trochę, słysząc kroki, jakby obawiał się, że to może być wuj.

- Ach, to ty, Dominiko - rzekł. - Już jesteś gotowa! Ja jeszcze nie przebrałem się do kolacji.

- Udała się przejażdżka? - spytała, idąc w jego kierunku.

- Nie bardzo - odparł. - Czułem się jak mały chłopczyk, który zapomniał odrobić lekcje.

Po raz pierwszy Dominika poczuła dla niego współczucie.

- Czy jego lordowska mość był bardzo niezadowolony?

- Popadłem w niełaskę i dobrze o tym wiesz! - odparł. -

Ale nie zwracajmy sobie tym głowy. Jest wiele ciekawszych rzeczy niż odprawianie pokuty. - Odstawił szklaneczkę i ni stąd, ni zowąd zaproponował: - Na przykład na dobry początek mogłabyś mnie pocałować. Mamy przecież się

pobrać, a jak do tej pory nie mieliśmy okazji, żeby się bliżej poznać. - Mówiąc to przyciągnął ją ku sobie.

Bez chwili zastanowienia Dominika odepchnęła go.

- Nie! - krzyknęła. - Nie chcę! W jej głosie słychać było strach.

- Dlaczegoż to? - spytał Gerald. - Bawisz się w trudną do zdobycia? W końcu przyjechałaś po to, żeby za mnie wyjść.

- Tak, wiem - odpowiedziała bez tchu. - Ale... jest za wcześnie. Dopiero co się poznaliśmy. Nawet... nawet nie rozmawialiśmy ze sobą.

- To nie moja wina! - odparł. - Zdażyłem ci się przyjrzeć i muszę stwierdzić, że jesteś bardzo ładna. A w dodatku masz niezwykle jasną skórę. Podoba mi się. W końcu to jakaś odmiana!

Objął Dominikę i pocałował jej ramię. Stało się to tak szybko, że nie zdążyła się usunąć, by jakoś temu zapobiec. Gdy poczuła jego usta na swoim ramieniu, dotarł do niej sens ostatnich słów: „W końcu to jakaś odmiana”. Miał na myśli odmianę po Szicie, dziewczynie, która odebrała sobie życie z jego powodu!

Czuła jego gorące, pożądliwe usta na swojej skórze i ogarnęła ją odraza.

- Nie! Puść mnie! - krzyknęła, zamierzając podnieść wrzask.

W tej samej chwili wkroczył lord Hawkston. Przebrał się już do kolacji i choć na pewno widział, co zaszło, nie dał tego po sobie poznać.

- Spóźnisz się, Geraldzie, jeśli zaraz nie pójdziesz się przebrać.

Gerald puścił Dominikę, a ona przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje. Oparła się więc szybko o krzesło.

- Zaraz wracam - powiedział Gerald i wyszedł. Dominika oddychała głęboko. Stała tyłem do lorda

Hawkstona. Z jednej strony czuła ogromną ulgę, którą przyniosła jego obecność, a z drugiej była bardzo zażenowana, że widział, jak Gerald ją całował. Co sobie teraz myślał? Czy spodziewał się, że ona pozwoli na coś takiego? Potem powiedziała sobie, że pewnie tak. Przywiózł ją przecież po to, by poślubiła jego siostrzeńca i musiało go cieszyć, że stają się sobie bliscy i że podoba się Geraldowi. Uświadomiła sobie, że wciąż czuje jego gorące wargi i tchnący alkoholem oddech. Pamiętała, jak ją szarpnął. „Nie mogę wyjść za niego - myślała. - Muszę powiedzieć lordowi Hawkstonowi, że nie mogę wyjść za Geralda...”

Usłyszała, jak lord podchodzi do okna.

- Czy widziałaś zachód słońca, Dominiko? - spytał spokojnie.

Ten spokój zmienił jej myśli i słowa, bo już miała wybuchnąć i wykrzyknąć, że Gerald ją napadł, że ona nigdy więcej nie pozwoli mu się dotknąć, że nie może tu zostać. Ale w tej jednej chwili poczuła się winna, przypomniała sobie, ile zawdzięcza lordowi Hawkstonowi. Dał jej przecież tę wspaniałą wyprawę, która kosztowała astronomiczną sumę, sukienki i kapelusze dla dziewczynek. W dodatku był dla niej taki miły przez całą drogę i robił wszystko, żeby poczuła się jak u siebie w domu.

„Jak mogę być tak... niewdzięczna? - myślała. - Jak ja mu wyjaśnię, że nie mogę dotrzymać danego słowa...?”

Słabość już minęła. Dominika poczuła się lepiej, choć wciąż paliło ją ramię w miejscu, gdzie Gerald je pocałował. Czuła przygnębienie, ale postanowiła być dzielna. Zresztą cóż innego jej pozostało? Przecież tak wiele zawdzięczała lordowi Hawkstonowi. Zaciągnęła dług, którego nigdy nie zdoła spłacić. „Nawet gdybym pracowała sto lat, to i tak nie dam rady” - myślała. Z nadludzkim niemal wysiłkiem podeszła do lorda.

Wyszli razem na werandę.

- Czasami wydaje mi się, że to najpiękniejsza pora dnia - powiedział. - Odkąd tli mieszkam, zawsze starałem się wracać do domu tak, żeby zdążyć popatrzeć, jak słońce zachodzi i pojawiają się gwiazdy. Ten widok dla mnie jest piękniejszy i bardziej wzruszający niż jakakolwiek sztuka teatralna, a dźwięki nocy brzmią piękniej i czystiej niż najwspanialsza opera.

Dominika wiedziała, że stara się ją uspokoić. Była pewna, że próbuje jej powiedzieć, by nie stchórzyła, by zachowała zdrowy rozsądek, a wszystko będzie dobrze.

Ale czy rzeczywiście? Czy zdoła znieść obecność Geralda, jego dotyk, pocałunki?

Położyła rękę na balustradzie i zobaczyła, że drży.

„Jak mam mu wyznać... prawdę?” - pytała siebie, wiedząc, że nie potrafi tego zrobić.

ROZDZIAŁ 6

Wieczorem sytuacja znów stała się niezręczna. Lord Hawkston starał się podtrzymać rozmowę, ale zarówno Dominika, jak i Gerald ledwie się odzywali. Dominika nawet się starała, lecz niezwykle trudno przychodziło jej gawędzić i uśmiechać się, gdy każde spojrzenie na Geralda przyprawiało ją o dreszcze.

Miała wrażenie, jakby lord Hawkston nie zauważył, że rozmowa się nie klei, ani też tego, że przed zejściem na kolację Gerald musiał sporo wypić. Podczas posiłku Gerald ostentacyjnie pił przygotowany dla Dominiki sok z limetek, lecz przed kawą wyszedł na chwilę i Dominika była pewna, że w celu wypicia kolejnej porcji whisky.

Kawę podano na werandzie. Niebo bardzo już pociemniało i pojawiało się coraz więcej gwiazd. Nad doliną unosiła się blada poświata - to mgła przykrywała herbaciane krzewy swym leciutkim płaszczykiem. Słysząc było szum potoku, głosy nocnych ptaków i piskliwy głos latających wiewiórek. Maciupeńkie nietoperze, niewiele większe od paznokcia wielkiego palca, rozbijały się po werandzie, jakby czegoś szukały. Pojawiło się ich całe mnóstwo, zwabionych światłem, które przyciągało je z przemożną siłą. Przyleciały też ćmy, i to tak dużo, że nie dało się dłużej wysiedzieć na werandzie i cała trójka musiała przejść do salonu.

Lord Hawkston zabawiał Dominikę opowieściami o tym, jak sprowadzał do swego domu zamówione w różnych częściach kraju meble. Jeden z nich przywieziony został na grzbiecie słonia.

Przez cały czas Gerald siedział rozparty w fotelu. Dominika nie miała wątpliwości, że nie może się doczekać okazji do wypicia kolejnego drinka.

Dochodziła dziesiąta, gdy uznała, że chciałaby pójść spać. Powiedziała dobranoc, dygając przy tym, i odeszła do swego

pokoju. Poczula ulgę, że jest sama. A jednocześnie wciąż miała ochotę rozmawiać z lordem Hawkstonem. Rozebrała się i włożyła nocną koszulę. Potem pogasiła światła, rozsunęła zasłony i otworzyła drzwi na werandę. Miała stąd widok na jezioro.

W ogrodzie było cicho i spokojnie. Pod rozgwieżdżonym niebem woda w jeziorze błyszczała, a wszędzie roztaczał się intensywny zapach kwiatów.

„Tu jest ślicznie... tak niewiarygodnie pięknie! - pomyślała. - Gdyby tylko można być tu z kimś...”

Powstrzymała się jednak, zanim zabrnęła za daleko. Bo jaki sens pragnąć czegoś, czego nie można mieć? Jeśli tu zostanie, to tylko jako żona Geralda.

Wróciła do pokoju, jakby to piękno dokoła ją raniło. Wsunęła się do łóżka, starając się nie myśleć o tym, co poczuła, gdy Gerald jej dotknął, gdy pocałował jej białe ramię, mówiąc zimno: „To przynajmniej jakaś odmiana”.

Jak zdoła zapomnieć o Szicie, pytała samą siebie, i o tym, że ta dziewczyna odebrała sobie życie z jego powodu.

„Nie chcę o tym myśleć... nie będę!”

A jednak miała wrażenie, że Szita jest tuż obok, że opowiada, jak wiele wycierpiała.

Nagle zrozumiała, dlaczego tamta popełniła samobójstwo!

Po prostu wstydziła się wrócić do rodzinnej wioski, bo została odrzucona i nie zapłacono jej. Oznaczało to, że nie będzie miała posagu i żaden mężczyzna jej nie poślubi. Nie mogła znieść pogardy krewnych i przyjaciół. Wiedziała, że przegrała życie. Wołała śmierć niż wstyd. Rwący potok jej to ułatwił.

„Jak Gerald mógł zrobić tej dziewczynie coś takiego!” - myślała Dominika.

Po wyjściu Dominiki z salonu lord Hawkston zwrócił się do siostrzeńca:

- Mam ci coś do powiedzenia, Geraldzie.

- Słucham.

- Dziś rano wcześnie wstałem i pojechałem do wioski, w której mieszka Lakshman. Chciałem się z nim spotkać, ale go nie było. Jednakże dowiedziałem się o nim co nieco.

Gerald nie skomentował tego. Patrzył tylko na wuja z gburowatą miną, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że miesza się w nie swoje sprawy.

- Wieśniacy powiedzieli mi, że złe duchy Rakshyos rzuciły szaleństwo na Lakshmana.

- A co to, u diabła, znaczy? - spytał Gerald. Lord Hawkston wyglądał na zdenerwowanego.

- Mieszkasz w tym kraju od dwóch lat - powiedział. - Chyba starałeś się poznać tutejszych ludzi? Zwłaszcza tych z górskich wiosek, z którymi masz do czynienia.

- Jeśli masz na myśli ich wierzenia religijne, to nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi w tych bzdurach!

Lord Hawkston zacisnął usta, usłyszawszy ton jego głosu. Opanował się jednak i spokojnie wyjaśnił:

- Chyba wiesz, że choć Cejlończycy są buddystami, to wieśniacy wciąż czczą hinduskich bogów. Wierzą w dobry i zły omen, w złe duchy i demony, bo wierzyli w nie ich przodkowie.

Po minie Geralda lord Hawkston odgadł, że specjalnie go to wszystko nie interesuje, lecz kontynuował:

- W gruncie rzeczy wciąż czczą szatana i nawet wiara w spokojnego, dobrotliwego Buddę nie zmieniła tego faktu. Ich zdaniem okrucieństwo i śmierć, cierpienie i choroba są dopustem złych duchów, od których aż roi się w świecie pozaziemskim... - Hawkston przerwał na chwilę i z uśmiechem na ustach dodał: - Właściwie to chyba nie ma wielkiej różnicy między złymi duchami Cejlończyków a

szatanem i piekłem, którymi tak żarliwie straszy ojciec Dominiki w Kolombo.

- Tak, mówiłeś mi, że jest pastorem - odezwał się Gerald.
- Dlaczego, na miłość boską, wybrałeś mi na żonę córeczkę pastora?

- Wybrałem ci Dominikę - odparł zimno Hawkston - ponieważ ma silny charakter i bogatą osobowość i przykro mi stwierdzić, że tobie brakuje i jednego, i drugiego.

- Wyraziłeś się wuju dostatecznie jasno - odparł uszczypliwie. - Możesz kontynuować wykład.

Hawkston zignorował tę bezczelność.

- Dobre duchy wieśniacy nazywają Yakshyos. Są one uprzejme i dobrotliwe i czczą Buddę. Złe duchy, Rakshyos, są srogie, złe i pełne wrogości. Zamieszkują cmentarze i lasy. Każdy z nich ma swoje drzewo i może w każdej chwili porazić szaleństwem przechodzącego obok człowieka. - Zaczął przechadzać się po pokoju i mówił dalej: - Nam może wydawać się to dziwaczne i naciągane, ale tutejsi ludzie święcie w to wierzą i dziś z całym przekonaniem powiedzieli mi, że Lakshmana opanowały złe duchy.

- No cóż, miał pecha - zakpił Gerald. - Wątpię, czy będę mógł coś na to poradzić.

- Sprawa jest poważniejsza, niż ci się wydaje - odparł ostro Hawkston.

- W jakim sensie?

- Świętowałeś tutaj powitanie Nowego Roku. Musisz więc wiedzieć, jeśli choć trochę obchodzą cię twoi pracownicy, że oni długo przygotowują się do tego dnia. Jest to święto rodzinne, lecz prócz radości ma też gorszą stronę: pijaństwo i hazard. - Rzucił siostrzeńcowi krótkie spojrzenie i kontynuował: - W ogólnym ferworze pobudliwość Cejlończyków bierze górę nad ich zwykłą łagodnością i spokojem. Nietrudno o kłótnie i bójki, które dość często

rozstrzyga sztylet. Może nie wiesz, ale liczba zabójstw jest na Cejlonie bardzo duża.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, wuju, że Lakshman zamierza mnie zamordować?

- Myślę, że to bardzo prawdopodobne. Kappurala, czyli czarownik, który zajmuje się przepędzaniem lub przekupywaniem złych duchów, był mocno zaniepokojony stanem Lakshmana. A on dobrze zna swych ziomków, toteż traktuję jego ostrzeżenia poważnie.

- A ja nie! - oznajmił Gerald. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wszystkie te idiotyczne brednie o duchach są wymysłem kapłanów, którzy chcą zarobić na naiwnych. Znam Lakshmana. Poznałem go, gdy przyszedł zaoferować mi swą córkę. To cichy, nieszkodliwy facet, w dodatku mały i drobny. Jest dla mnie równie groźny, co karłowaty kogut.

- No cóż - westchnął Hawkston. - Zarządziłem poszukiwania Lakshmana. Zamierzam wypłacić mu pieniądze, które jesteś dłużny, i zrekompensować jakoś śmierć córki. Mogę tylko powiedzieć, że twoje zachowanie i całkowita obojętność wobec śmierci tej biednej dziewczyny są dla mnie odrażające!

Jakby w obawie, że powie zbyt wiele, lord Hawkston wyszedł z salonu, zamykając za sobą drzwi. Gerald natomiast siedział przez chwilę nieruchomo, po czym przywołał służącego i kazał przynieść sobie whisky, której wypicia nie mógł się już doczekać.

Dominice śniło się, że Prudencja płacze.

Po śmierci matki Prudencja miewała czasem koszmary nocne. Budziła się wtedy, wzywając matkę, a gdy ta się nie zjawiała, wybuchała płaczem. Dominika nigdy nie zamykała swego pokoju, żeby móc usłyszeć płacz dziecka, które spało po drugiej stronie korytarza.

Śmierć matki była ogromną stratą dla wszystkich dziewcząt, ale Prudencja miała zaledwie siedem lat i tak bardzo rozpaczała, że Dominika obawiała się czasem, by nie popadła w chorobę.

Dziewczynka zawsze była słabowita - mała, blada i podatna na choroby, urodziła się bowiem przedwcześnie. Może właśnie dlatego matka kochała ją najbardziej, lecz żadna z sióstr nie czuła o to zazdrości. Wszystkie wiedziały, że Prudencja zasługuje na specjalne względy. Opuszczając Kolombo Dominika postanowiła, że najpierw zaprosi do swego nowego domu właśnie najmłodszą siostrę. Zdawała sobie dobrze sprawę, jak źle jej delikatna siostra znosi narzucony przez ojca surowy reżim ascetyczny. Pastor traktował je wszystkie jak największe grzesznice, z których trzeba wykorzenić zło, a to postępowanie czyniło Prudencji szkodę - i psychiczną, i fizyczną. Myśląc tak przed zaśnięciem o Prudencji, zaczęła się zastanawiać, czy jej siostry mogłyby przystosować się do życia tutaj.

Zanim przyjechała na plantację, wyobrażała sobie, że Gerald Warren nie tylko wyglądem przypomina lorda Hawkstona, ale jest też równie uprzejmy i wyrozumiały. Teraz jednak, niczym mgła nad doliną, rozwiały się wszelkie jej marzenia - i te dotyczące jej osobistych losów, i plany wobec sióstr.

Co Wiara pomyślałaby o pijaństwie Geralda?

Bystra Charitas na pewno od razu spostrzegłaby, że Gerald niewłaściwie traktuje pracowników. Mogłaby nawet odkryć prawdę o Szicie. A o tym dziewczynki nie powinny się nigdy dowiedzieć. Byłyby zszokowane i przerażone, bo podobnie jak ona lubiły delikatne i miłe Cejlonki.

A przecież górskie powietrze na pewno posłużyłoby Prudencji; może nabrałaby trochę rumieńców. I z pewnością chętnie by jadła. Gerald nie odprawił tego wspaniałego

kucharza, o którym wspominał lord Hawkston, i każdy posiłek był prawdziwą uczta dla podniebienia.

Jeszcze na wpół śpiąc, Dominika usiadła na łóżku z zamiarem pójścia do płaczącej Prudencji, ale w porę uświadomiła sobie, gdzie jest. Od plebanii dzieli ją przecież wiele kilometrów, a to, co się jej wydawało płaczem, musiało być głosem jakiegoś zwierzęcia w ogrodzie.

Głos ten dobiegał zupełnie wyraźnie przez otwarte drzwi wychodzące na werandę. Gdy już zupełnie oprzytomniała, zdała sobie sprawę, że to nie płacz, lecz jakby jęk czy skomlenie małego zwierzątka. Wiedziała, że zwierzęta żyjące w dżungli wydają dziwne dźwięki. Czytała opowiadania podróżników, którzy odchodzili od zmysłów, przerażeni mrozącym krew w żyłach wyciem szakala.

W zasadzie nie było powodu, żeby bać się zwykłego skomlenia, a jednak brzmiało naprawdę złowieszczo, a w dodatku Dominika była pewna, że to coś jest tuż za drzwiami.

„Zaraz sobie pójdzie” - powiedziała do siebie i położyła się.

Wciąż jednak słyszała płaczliwy głos. Dźwięczała w nim żalność i Dominika wiedziała, że dopóki to zawodzenie nie ucichnie, nie będzie w stanie zasnąć,

„Na pewno odejdzie za chwilę - pocieszyła się. - Przecież byłabym idiotką, gdybym próbowała mu pomóc”.

Być może zwierzę cierpiało, ale nawet gdyby tak było, to nie pozwoliłoby się jej zbliżyć do siebie.

„Nie będę zwracała na to uwagi” - postanowiła i przewróciła się na bok. Mimo to w napięciu słuchała zawodzenia. Żalowała, że zostawiła otwarte drzwi.

A gdyby tak to coś weszło do pokoju? A nawet gorzej, gdyby się wślizgnął wąż?

Serce zaczęło jej walić ze strachu. Wtem usłyszała głuchy warkot i aż podskoczyła przerażona.

Nie ma co się oszukiwać! To dzikie zwierzę! I na pewno niebezpieczne.

Warczenie przerodziło się w ryk. W dodatku wydało jej się, że słyszy dwa zwierzaki. Dźwięk był ogłuszający.

Przez moment Dominika leżała jak sparaliżowana.

Potem ogarnęła ją panika i straciła zdolność logicznego myślenia. Odczuwała jedynie przerażenie przeszywające ją niczym zimna stal. Wskoczyła z łóżka i wybiegła z pokoju. Nie zdawała sobie sprawy, dokąd biegnie. Nie była zdolna myśleć. Czuła tylko strach, który kazał jej uciekać. Otworzyła jakieś drzwi i oszalała, przerażona, wbiegła tam, gdzie instynktownie spodziewała się znaleźć bezpieczeństwo.

Hałas obudził również lorda Hawkstona. Od razu domyślił się, że to dwa walczące lamparty. W myśli przeklął siostrzeńca, bo znów okazał się zbyt leniwy i niedbały, by wypełnić jeden z podstawowych obowiązków plantatora.

Swego czasu w dżungli było tak dużo lampartów, że zagrażały plantatorom. Od kiedy zredukowano ich liczbę, nie spotykało się ich już tak często, a poza tym w normalnych okolicznościach raczej nie napadały na ludzi. Polowały na jelenie i bydło, a małpy, które uważały za naturalnych wrogów, wprawiały w jakiś dziwny stan hipnotyczny.

Jeśli wdzierały się na plantację, zagrażając nie tyle może człowiekowi, co zwierzętom domowym, to plantator mógł winić za to wyłącznie siebie.

Lord Hawkston, usiadłszy na łóżku, zastanawiał się, czy zdąży znaleźć strzelbę, zanim lamparty odejdą. Wtem jakaś istota, mała i przestraszona, wpadła do jego pokoju i rzuciła się na niego. Objął Dominikę, która przyłgnęła do niego mocno. Poczul, że cała się trzęsie i domyślił się, jak bardzo musi być przerażona.

- Już wszystko w porządku - powiedział spokojnie. - Nie zrobią ci krzywdy.

Rękami kurczowo trzymała się jego nocnej koszuli i coraz mocniej się do niego przytulała, jakby chciała uciec od przejmującego ją strachu.

- To tylko brzmi tak strasznie - uspokajał ją swym głębokim głosem. - O tej porze roku zwierzęta odbywają gody i często walczą między sobą, a najwięcej hałasu robią przy tym dzikie słonie.

Zauważył jednak, że słowa nie uspokajają dziewczyny. Wciąż się trzęsła, z głową wtuloną w jego ramię.

- Te lamparty jeszcze tam są. Jeśli mnie puścisz, Dominiko, znajdę strzelbę, zastrzelę je i już nigdy więcej cię nie przestraszą.

- Nie, nie! Proszę mnie nie zostawiać! Mówiła cicho, lecz w jej głosie czuło się panikę.

- Nie zrobię niczego, co mogłoby cię bardziej zaniepokoić, ale spójrz na to rozsądnie.

Nie zdołał powiedzieć nic więcej.

- Nie jestem... rozsądna! Nigdy nie byłam... rozsądna! - mówiła szlochając. - Próbowałam być taką, jak pan chciał, ale nie umiem! Boję się... wszystkiego! Próbowałam to ukryć, ale... nie udało mi się!

- Nieprawda - powiedział lord Hawkston. - Myślę, że w wielu sytuacjach wykazałaś dużą odwagę.

- Nie... nie! Ja udawałam... ale pan tego nie zauważył. Zawsze się bałam, od dziecka. Bałam się aniołów... więc ojciec zamknął mnie na noc w kościele i teraz się boję ciemności... Boję się węży i lampartów. Boję się pana Warrena i tego, że muszę wyjść za niego!

Ostatnie słowa powiedziała szeptem, lecz wydobyła je z siebie, a Hawkston pomyślał, że właściwie mógł się ich spodziewać.

- Zacznie pan mną pogardzać, wiem, że tak - szlochała Dominika. - Nie chciałabym pana rozgniewać, ale musi pan znać prawdę i ja... wstydzę się, że pana oszukiwałam.

Płacz wstrząsał całym jej drobnym ciałem. Lord Hawkston czuł, jak bardzo cierpi. Miał wrażenie, że trzyma w ramionach bardzo nieszczęśliwe dziecko..

Z początku nie wiedział, co powiedzieć. Przytulał ją więc do siebie, a ona płakała tak rozpaczliwie, jakby zupełnie straciła panowanie nad sobą. Dusiła te uczucia dotąd, aż zaporą pękła i skrywane emocje zalały ją niczym rwąca fala, ujawniając dojmujący brak poczucia bezpieczeństwa.

- Nie płacz, Dominiko - delikatnie powiedział w końcu lord Hawkston. - Wszystko naprawię. Nie jest aż tak źle, jak myślisz.

- Jest... jest źle! - mówiła szlochając. - Ja... zawiodłam pana. Złamałam obietnicę, ale nie mogę nic na to poradzić... Jestem... tchórzem, podłym, nikczemnym tchórzem.

- Absolutnie nie! - zapewnił ją lord Hawkston. Jego koszula nocna była mokra od łez, ale wydało mu się, że Dominika już nie drży tak bardzo. Nagle uświadomił sobie, że na zewnątrz zapanowała cisza.

- Poszły sobie - powiedział. - Właściwie to szkoda, że nie mogłaś ich zobaczyć, bo cejlońskie lamparty są bardzo piękne. Mają czarne paski, trochę jak tygrysy, ale cieńsze. Plamki mają tylko na łapach, a niezwykle długi skok lamparta jest czymś wspaniałym i pełnym wdzięku. - Celowo próbował odciągnąć uwagę Dominiki od jej zmartwień i rzeczywiście zauważył, że go słucha. - Na wyspie żyją także czarne lamparty - ciągnął. - To bardzo piękne zwierzęta, ale odkąd tu mieszkam, widziałem zaledwie trzy.

Dominika westchnęła. Nie płakała już, lecz wciąż opierała się na ramieniu lorda Hawkstona, a on wiedział, że szukała u niego jedynie schronienia. Nie zdawała sobie sprawy, że ma

na sobie tylko cienką, muślinową koszulę nocną. Jej świadomość nie rejestrowała nawet faktu, że przecież tuli się do mężczyzny. Był dla niej po prostu ostoją bezpieczeństwa, twierdzą, w której mogła się schronić, tarczą, osłaniającą ją przed wszelkim cierpieniem. Stał się bardziej symbolem niż osobą, a jednak to właśnie jego potrzebowała w tej chwili.

- Już wszystko dobrze - powiedział miękko. Dominika podniosła głowę.

W ciemności nie mógł jej widzieć, lecz dotykał długich włosów, spadających nisko, aż za pas. Pachniała tak słodko. W pierwszej chwili nie potrafił zidentyfikować tego zapachu, lecz później uświadomił sobie, że to lawenda. Woń ta różniła się wyraźnie od egzotycznych zapachów Wschodu i przypominała mu matkę i wszystko to, co najbardziej lubił w Anglii.

- Już nie ma się czego bać, Dominiko - powiedział spokojnie.

- Już się nie boję - odparła, ale dochodzący z głębi gardła głos przypominał raczej patetyczne zapewnienia małego dziecka.

- Dopilnuję, żeby jutro lamparty nie zakłóciły twego snu - obiecał. - Każę przygotować sypialnię na piętrze. Właściwie powinienem był to zrobić zaraz po przyjeździe.

- Czułabym się tam bezpieczniejsza, ale... nie sama.

- Na górze jest też moja sypialnia, Pokój Palmowy. Urządziłem ją specjalnie dla siebie. Ale bez względu na to, w którym będę pokoju, zawsze cię ochronię.

- Dlatego tutaj przyszłam... - wyszeptała Dominika.

Nie opierała już głowy na jego ramieniu, lecz nie wysunęła się z jego objęć.

Lord Hawkston zauważył, że choć się starała mówić naturalnie, wciąż była spięta i nasłuchiwała, jakby w obawie, że znów rozlegną się lamparcie głosy.

- Powinnaś się wyspać - powiedział. - Za tobą dwa męczące dni i dużo niepokoju.

- Nie chcę wracać do tamtego pokoju...

- Nie musisz. Zamienimy się miejscami. Ty zostaniesz tutaj, a ja sprawdzę, czy nie ma już lampartów. Obiecuję ci, że tu nie wrócą.

- Proszę mnie nie zostawiać - błagała. - Jeszcze nie teraz.

Poczuł, jak zaciska mu rękę na ramieniu.

- Zostanę, jak długo zechcesz. Powinnaś jednak spróbować zasnąć. Proponuję więc, żebyś położyła się do łóżka, a ja posiedzę obok, dopóki nie zaśniesz albo do świtu.

- Pewnie pan uważa, że jestem bardzo głupia - powiedziała Dominika łkając.

- Myślę, że dobrze zrobiłaś przychodząc tu, skoro się bałaś.

Delikatnie odsunął ją od siebie. Gdy usiadła na łóżku, wstał i włożył leżący na krześle szlafrok. Dominika tymczasem położyła się i przykryła.

- Ale nie odejdzie pan jeszcze, prawda...?

Lord Hawkston usiadł na brzegu łóżka i ujął jej dłonie.

- Nie. Obiecuję.

Westchnęła z ulgą i zacisnęła palce na jego dłoniach.

- Czy bardzo jest pan na mnie zły?

- Nie jestem zły na ciebie. Nie pogardzam tobą ani nie uważam, że jesteś głupia. Dalej myślę, że jesteś wyjątkową i bardzo dzielną dziewczyną.

- Nie jestem... Wie pan, że nie - odparła. - Ale cieszę się, że tak pan myśli.

- Przysięgam, że mówię prawdę. - A po chwili dodał: - Zamknij oczy, Dominiko. Będzie ci łatwiej zasnąć, a niewiele nocy już zostało. Nawet nie muszę patrzeć na zegarek. Czuję, że za niecałe pół godziny zacznie świtać i wszędzie nowy, słoneczny dzień.

Poczuł, jak jej palce rozluźniają uchwyt. Nie ruszała się i po chwili usłyszał jej równy oddech. Wiedział, że dziewczyna jest wyczerpana strachem i płaczem i gdy tylko się uspokoi, zaśnie szybko głębokim snem. Wiele razy widział ludzi zmęczonych jakimś ogromnym wysiłkiem fizycznym lub emocjonalnym.

Wciąż jednak siedział nieruchomo, trzymając dłonie Dominiki. Wkrótce przez szparę w zasłonach rozchylonych lekkim powiewem przesaczyło się blade światło. On jednak nie poruszył się jeszcze. W pokoju rozwidniało się stopniowo i mógł dojrzeć już kontury mebli i twarz Dominiki na poduszce.

Włosy okrywały jej ramiona, a wciąż wilgotne ciemne rzęsy kontrastowały z bladymi policzkami jej drobnej twarzy. Wyglądała bardzo dziecinnie i bezbrinnie. Długo jej się przyglądał. W końcu delikatnie cofnął ręce, wstał i skierował się do uchylonych drzwi; cichutko zamknął je za sobą. Potem poszedł do sypialni Dominiki. Zobaczył odrzuconą pościel i otwarte drzwi na werandę. Wyszedł na zewnątrz.

Trawnik, na którym walczyły lamparty, był zryty ich pazurami, a kwiaty połamane lub powyrywane z korzeniami. Hawkston przyglądał się przez chwilę temu pobojuwisku, po czym przeniósł wzrok na krawędź werandy. Do balustrady przywiązany był kawałek sznurka. Najprawdopodobniej uwiązano na nim jakieś małe zwierzątko, może jelonka.

Hawkston popatrzył na zalesione wzgórza. Gdzieś tam ukrywał się Lakshman szukający zemsty za swą córkę. Lord uświadomił sobie, że gdyby Dominika spróbowała uwolnić skrepowane zwierzątko, lamparty rzuciłyby się na nią. Wiedział, że musi odnaleźć Lakshmana, i to szybko.

Kiedy Dominika obudziła się i zauważyła, że jest w obcym pokoju, przypomniały jej się wszystkie nocne wydarzenia. Spojrzała na stojący przy łóżku zegar. Strasznie

późno. Nic dziwnego, że długo spała, ale było jej wstyd z powodu własnej słabości; przecież pozbawiła lorda Hawkstona snu w jego własnym łóżku tylko dlatego, że się bała.

„Jak mogłam być tak głupia?” - pomyślała, a jednocześnie samo wspomnienie walczących w ciemności lampartów przyprawiło ją o dreszcze.

Cieszyła się, że mogła wyznać komuś, jaka jest bojaźliwa. Zawsze to ukrywała, by dawać dobry przykład młodszym siostrze, lecz nigdy nie zapomniła tego śmiertelnego strachu, na jaki naraził ją ojciec.

Miała wtedy zaledwie siedem lat, a matka była chora, dowiedziała się więc o wszystkim dopiero po fakcie. Bardzo się wówczas zdenerwowała.

Ojciec opowiadał Dominice o aniołach opiekujących się ludźmi i strzegących ich przed wpływem szatana. Najwyraźniej delektując się własną przemową, mówił niezwykle obrazowo. Dziewczynka niemal widziała piekło jak żywe i krzyknęła:

- Boję się diabłów, tatusiu. Boję się, że mnie złapią!

- Dopóki będziesz dobra, nic ci nie grozi - zapewnił. - Pan Bóg wysłał anioły, by cię strzegły. Są wszędzie wokół ciebie i chronią cię od grzechu.

- Aniołów też się boję - powiedziała. - Nie chcę żeby kręciły się wokół mnie! Chcę być sama!

Pastor uznał to za bluźnierstwo i skrzyczał córkę, bo choć miała dopiero siedem lat, głośno sprzeciwiła się jego naukom.

- Możesz mówić, co chcesz, ojczy, ale ja się boję aniołów! Boję się ich!

Za karę zamknął Dominikę na całą noc w kościele, by mogła rozmyślać o aniołach i przekonać się, że w rękach Boga jest bezpieczna. Wciąż żywo pamiętała tamtą noc. Wydawało jej się wtedy, że w ciemności tłoczą się do niej diabły. Była

tak przerażona, że skuliła się pod ławką gubernatora i zakryła dłońmi uszy, by w razie czego nie słyszeć mówiących do niej aniołów. W końcu, wyczerpana, zasnęła na szkarłatnym podnóżku i tak ją rano znaleziono.

Już nigdy potem pastor nie nałożył podobnej kary na żadną ze swych córek; zbyt bał się gniewu żony.

Tamta noc zaszczepiła Dominice poczucie braku bezpieczeństwa, którego nie zdołała się już pozbyć. Od tej pory bała się ciemności, więc cieszyła się, że dzieli pokój z Wiarą.

Wiedziała jednak, że jako najstarsza musi mieć autorytet. Zwłaszcza gdy po śmierci matki starała się przejąć jej rolę i wobec sióstr, i ojca. Z ojcem bywało trudno, choć czasem udawało jej się złagodzić nieco ostry rygor, jaki w ich domu panował, a nawet odwieść go od wprowadzenia w życie jakichś wyjątkowo surowych rygorów. Ale ponosiła beznadziejną klęskę, gdy przychodziło wydostać od niego pieniądze na żywność czy jakiegokolwiek inne niezbędne artykuły.

Pomyślała, że jednak jeszcze nigdy w życiu nie okazała się tak słaba i nie poniżyła się tak, jak ostatniej nocy. Owszem, mogła przyznać, sporo się na to złożyło: zaskoczenie propozycją lorda Hawkstona, pożegnanie z domem, zawód, jaki przyniosło spotkanie z Geraldem, a przede wszystkim to przerażenie, gdy ją pocałował, i paniczny strach przed przyszłością.

Zastanawiała się, co lord Hawkston teraz o niej myśli i czy żałuje, że ją tu przywiózł. Jeśli nawet kiedyś uważał, że zasługuje, by zostać panią tego domu, to musi być nią zupełnie rozczarowany. Okazała się bojaźliwa i niegodna zaufania, bo przecież nie potrafi się nawet wywiązać z umowy.

„Dał mi tak wiele i polegał na mnie, a ja go zawiodłam” - wyrzucała sobie, a myśl ta wycisnęła jej łzy z oczu. W ogóle czuła się zmęczona, a nogi miała jak z waty.

- Muszę wstać - postanowiła, lecz zamiast ruszyć się z łóżka, rozejrzała się dokoła.

Poprzez szpary między zasłonami wpadały promienie słoneczne, oświetlając pokój. Dużo było tu elementów przypominających czerwony lotos. Łóżko zostało wyrzeźbione tak samo jak w jej pokoju, z tym że płatki kwiatu pomalowano na kolor ciemnoczerwony. Na zasłonach powtarzał się motyw lotosu, lecz obraz na ścianie był zupełnie inny. Zamiast Buddy przedstawiał jezioro w Kandy, całe porośnięte czerwonymi kwiatami lotosu. W dali, po przeciwnej stronie jeziora, widać było Świątynię Zęba i ukwiecone drzewka, które tak bardzo podobały się jej, gdy tamtędy przejeżdżała.

Z perspektywy paru dni ten dzień wydał się Dominice owiany jakąś czarowną mgiełką. Nigdy wcześniej nie widziała takiego piękna i wciąż jeszcze pozostawała pod jego wrażeniem.

W pewnej chwili, leżąc tak, przyglądając się obrazowi i wspominając tamten dzień, uświadomiła sobie, dlaczego Kandy wydało jej się piękne, dlaczego jezioro błyszczało jakimś dziwnym, tajemniczym blaskiem i dlaczego kwiaty miały piękniejsze i żywsze barwy niż jakiegokolwiek inne widziane do tej pory.

Przyczyna była prosta - towarzyszył jej wtedy lord Hawkston. Przebywał stale tuż obok niej, a ona całą swą istotą czuła jego obecność i przepełniało ją szczęście. Była szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem.

Jasno zrozumiała powód tego wszystkiego.

Był tak prosty, a jednak dopiero teraz uświadomiła sobie, że to miłość.

Kochała lorda Hawkstona!

Kochała człowieka, który przywiózł ją tutaj, by poślubiła jego siostrzeńca!

ROZDZIAŁ 7

Dochodziło południe, gdy wstała z łóżka. Kiedy jednak się ubrała i wyszła z pokoju, stwierdziła, że nie ma w domu ani lorda Hawkstona, ani Geralda.

Wzięła parasolkę z zamiarem wyjścia do ogrodu.

Włosy miała splecione i ułożone w koronę na czubku głowy. Uznała, że bardzo jej do twarzy w tej fryzurze, więc by jej nie zniszczyć, nie włożyła kapelusza. A zresztą, i tak nikogo nie było w pobliżu.

Gdy jednak doszła do drzwi, usłyszała stukot końskich kopyt, a zaraz potem zobaczyła nadjeżdżającego ścieżką lorda Hawkstona. Przed domem zsiadł z konia, a Dominika zauważyła, że zwierzę wygląda, jakby odbyło długą drogę. U jeźdźca natomiast dojrzała wetknięty za pas pistolet.

Przypuszczała, że polował na lamparty. Trudno jej było zebrać myśli; wiedziała tylko, że serce skacze z radości i że jest bardzo onieśmielona.

Podobnie jak pierwszego ranka Hawkston miał na sobie białą, rozpiętą pod szyją koszulę, z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi opaloną skórę.

- Dokąd się wybierasz? - spytał z uśmiechem.

Dominika włożyła dziś wzorzystą, muślinową suknię z kokardkami pod szyją i odniosła wrażenie, że dostrzega w oczach lorda uznanie dla swego wyglądu.

- Chciałam pójść na spacer... do ogrodu... zanim będzie lunch - odparła nie rozumiejąc, dlaczego głos jej się łamie.

Służący odprowadził konia, a lord Hawkston powiedział:

- Mamy dużo czasu. Jeśli masz ochotę, pokażę ci wielki kwiat lotosu.

- Ależ z przyjemnością zobaczę! - zapewniła z zapartym tchem.

Przeszedł przez trawnik, idąc w jej kierunku, a ona pomyślała, że jest doskonale zbudowany i wygląda bardzo

młodo w sportowym ubraniu. Jednocześnie - ponieważ była w nim zakochana i wyczulona na jego nastroje - zrozumiała, że coś go niepokoi.

Miała nadzieję, że podzieli się z nią swymi zmartwieniami, on jednak opowiadał o ogrodzie i pokazywał rozmaite kwiaty i rzadkie krzewy, które sam sadił. O wielu z nich nigdy nawet nie słyszała.

- Za dwa miesiące zakwitną rododendrony - mówił. - Trochę później niż tam u ciebie, ale w górach tak jest. Będą za to tak kolorowe, że nie da się tego opisać.

Dominika chciała zapytać, czy będzie tu jeszcze za dwa miesiące, lecz choć słowa cisnęły się na jej drżące wargi, wiedziała, że nie może ich głośno wypowiedzieć. Przecież lord Hawkston zaufał jej i wierzył w nią. A ona sama powiedziała mu wtedy w Kandy, że jeśli naprawdę się kogoś kocha, to nie ma rzeczy, której nie poświęciłoby się dla tej osoby.

Cóż, kocha lorda Hawkstona i musi się poświęcić, musi zrobić to, czego on od niej oczekuje - poślubić Geralda.

Sama myśl o tym sprawiała, że chciała się wypłakać, tak jak ostatniej nocy. Ale nie mogła tego zrobić, bo lord Hawkston pogardzałby nią jeszcze bardziej. Był wobec niej wprawdzie uprzejmy i przemiły, ale pewnie chciał w ten sposób zatrzeć wspomnienia nocnych wydarzeń. Wydawało jej się wówczas oczywiste, że szuka u niego pomocy, lecz teraz rumieniła się na myśl o swym zachowaniu. Prawda, że przerażona widziała w nim wtedy nie tyle mężczyznę, co raczej symbol bezpieczeństwa, ochrony i pocieszenia. Ale przecież gdy obudziła się w jego łóżku i spojrzała na obraz, zdała sobie sprawę, że jednak widzi w nim przede wszystkim mężczyznę.

„Kocham go! Kocham go!” - powtarzała sobie.

Wiedziała jednak, że nigdy nie będzie mogła wyznać mu swych uczuć. Przeciwnie, musi się poświęcić, by spełnić jego życzenie.

Starła się słuchać, co lord Hawkston mówi, ale myślała tylko o tym, jak cudownie jest być tuż przy nim. Gdy pokazując jakiś kwiat czy krzew, dotknął przypadkiem jej ramienia, ciało Dominiki ogarniała fala rozkosznego ciepła. Przecież poprzedniej nocy obejmował ją. Zastanawiała się, dlaczego wtedy nie zdała sobie sprawy, że ponad wszystko na świecie pragnie pozostać w jego ramionach. A gdyby teraz poprosiła, by ją objął? By znów dał jej poczucie bezpieczeństwa, odsunął wszystkie niepokoje. „Czy jakkolwiek inny mężczyzna - myślała - mógłby być bardziej czuły i wyrozumiały?”

Dominika wiedziała, jak surowo osądziłyby jej zachowanie ojciec. I nie tylko on. Każdy byłby zszokowany, dowiadując się, że się przytuliła do lorda Hawkstona ubrana jedynie w cienką, muślinową koszulkę.

A czy on sądzi, że zachowała się lekkomyślnie i bezczelnie? Pewnie uważa ją za rozkapryszone dziecko, za głupią dziewczynkę, bojącą się ciemności i dwóch lampartów, które wcale jej nie zagrażały.

„Może widzi we mnie dziecko, ale kocham go jak dorosła kobieta - powiedziała sobie. - Kocham go całą swoją istotą. To szczere uczucie, najprawdziwsza miłość”.

W tym, co czuła do lorda Hawkstona, była także duchowa tęsknota, coś, czego Gerald nie mógł zrozumieć. Jak ma wytrzymać aż do śmierci z człowiekiem ordynarnym, z materialistą bez odrobiny wrażliwości. Jak zaakceptować jego. podejście do życia? I najgorsze: co zrobi, gdy będzie musiała nie tylko pozwolić mu na pocałunek, ale żyć z nim jak żona z mężem?

Instynktownie przysunęła się do lorda Hawkstona, a on wyczuł, że coś ją zaniepokoiło.

- Chyba powinniśmy już iść. Chodź, Dominiko, obiecałem, że pokażę ci wielki lotos, zanim wrócimy na lunch.

Zeszli w dół ścieżką wykarczowaną w dżungli. Po obu jej stronach rosły kwitnące drzewa. Ścieżka kiedyś była szersza, od razu to spostrzegła, ale ponieważ nikt o nią nie dbał, zarosła i miejscami stała się tak wąska, że musieli iść gęsiego. Rosnące tu magnolie, jaśminy i champee były tak piękne, że Dominika czuła się jak w raju.

Zupełnie nieoczekiwanie znaleźli się nad stawem. Otaczały go niewysokie drzewa. Przez ich gałęzie przesączało się złote światło słoneczne, nadając temu miejscu jakiś trudny do opisanie czar.

Sam staw swym pięknem zapierał dech w piersiach. Rosły w nim prześliczne lotosy. Niektóre jeszcze w pączkach, inne rozwinęły się już w olbrzymie kwiaty. Dominika oniemiała z zachwytu. Na przeciwległym brzegu stawu stał posąg Buddy. Podążając za jej wzrokiem, lord Hawkston powiedział:

- To jeden z moich skarbów. Bardzo chciałem ci go pokazać. Posąg pochodzi z Anuradhapury, ale ja znalazłem go w jakichś ruinach w dżungli. Leżał porzucony i zapomniany, więc przywiozłem go tutaj. Przynajmniej stoi w odpowiednim otoczeniu.

- To prawda - zgodziła się Dominika, Były to jej pierwsze słowa, odkąd doszli nad staw.

- Podejdźmy bliżej. Przeczytasz napis. Okrążyli staw. Nie przyszło im to jednak łatwo, a to z powodu bardzo gęstego poszycia. Nie poskramiane ręką ogrodnika trawy i paprocie wdarły się wszędzie. Gdy stanęli przy posąжку, Dominika zauważyła, że dokoła rosną kamee i drzewka, które spotyka się przy każdym posągu Buddy.

Dominika wiedziała, że w buddyzmie kwiaty mają specjalne znaczenie. Pomyślała, że lord Hawkston jest chyba jedynym Anglikiem szanującym symbole innych niż własna religii.

Stojącego na cokole Budde spowity rosnące tu wszędzie powoje. Zdenerwowało to Hawkstona. Wyciągnął rękę, by odsunąć listki z kamiennego lotosu, na którym siedział Budda.

- Wygląda na bardzo stary... - zaczęła Dominika, gdy nagle coś przyciągnęło jej uwagę.

Odwróciła się i krzyknęła.

Tuż za nimi stał mężczyzna. Podszedł bezszelestnie po grubym poszyciu. Twarz nieznanego wykrzywiła nienawiść, a w uniesionej ręce trzymał ostry, oprawny w drewno nóż używany zwykle przez Cejlończyków.

Chcąc osłonić kochanego człowieka, Dominika instynktownie rzuciła się do przodu i zakryła swym ciałem pochylającego się nad cokołem lorda. Hawkston zachwiał się i nóż przeleciał tuż obok jego szyi. Przeszył upięte wysoko włosy Dominiki i utkwiał w pniu drzewa, przygważdżając ją do niego.

Wszystko stało się tak szybko, że zanim przebrzmiał krzyk Dominiki, lord Hawkston odzyskał równowagę, wydobył pistolet i strzelił do szaleńca. Wiedział, że to Lakshman. Szukał go bezskutecznie cały ranek.

Lakshman, trafiony kulą, przewrócił się do tyłu i wpadł do stawu pomiędzy lotosy.

Dominika zemdląca; w pozycji stojącej utrzymywały ją uczesane w koronę włosy, przyszpilone nożem do drzewa. Lord Hawkston objął ją ramieniem, a drugą ręką wyciągnął nóż. Przeżył przy tym chwilę grozy, bo ostrze umazane było krwią. Natychmiast obejrzał głowę Dominiki i stwierdził z ulgą, że nie ma żadnej rany. Wziął dziewczynę na ręce, wciąż nieprzytomną, i poniósł brzegiem stawu.

Dopiero gdy wszedł na ścieżkę prowadzącą do domu, obejrzał się na staw. Po Lakshmanie nie został żaden ślad. Miejsce, w którym zatonął, pokrywały kwiaty lotosu. Tylko zakrwawiony sztylet, leżący u stóp posążka Buddy, świadczył o tym, że ktoś próbował popełnić morderstwo. Dwie osoby otarły się o śmierć, a uniknęły jej dzięki kobiecemu piskowi.

Lord Hawkston skierował się czym prędzej w kierunku domu.

W ogrodzie znalazł Geralda. Leżał na trawie zwrócony twarzą w dół. Biała koszula na plecach była zakrwawiona. Widocznie Lakshman rzucił się na niego od tyłu, gdy ten szedł do domu na lunch.

Dominika poruszyła się.

Jak przez mgłę przypomniała sobie, że budziła się już kilka razy, ale nie zdawała sobie wówczas sprawy z tego, co się działo. Ktoś podawał jej coś do picia i znów pogrążała się w głębokim śnie.

Teraz czuła się zupełnie inaczej, jakby wracała do życia. Opuściła ją senność i zaczęła jasno myśleć. Powoli otworzyła oczy, ale nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Nigdy nie widziała tego pokoju. Łóżko, w którym leżała, było ogromne, a w nogach stały dwie kolumnienki, sięgające aż pod sufit. Kotary zasłaniały okna tylko częściowo, więc pokój oświetlało światło słoneczne. Drzwi na werandę zostawiono otwarte.

Nagle Dominika zdała sobie sprawę, że to o tym pokoju opowiadał jej lord Hawkston. Musiał to być Pokój Palmowy, który urządził specjalnie dla siebie.

Na myśl o lordzie przeszył ją dreszcz. Wszystko sobie przypominała. Dobrze pamiętała zniekształconą twarz Lakshmana, gdy próbował zabić lorda Hawkstona. Bo domyśliła się, że to on był tym szaleńcem i szukał zemsty za śmierć swej córki. Pewnie chciał zamordować nie tylko

Geralda Warrena, bezpośrednio odpowiedzialnego za śmierć Szity, ale każdego białego człowieka, powiązanego w jakiś sposób z Geraldem.

Przypomniała sobie, że zanim zemdląca, widziała jeszcze, jak lord Hawkston zastrzelił Lakshmana, a ten wpadł do stawu. I wtedy ogarnęła ją ciemność i zapomnienie.

„Ciekawe, ile czasu minęło od tamtej chwili?” - zastanawiała się. Miała wrażenie, że sporo, ale nie potrafiła tego określić nawet w przybliżeniu.

Ku własnemu zdziwieniu stwierdziła, że już się nie boi. Może dlatego, że leżała w pokoju lorda Hawkstona. Wprawdzie go tu nie było, ale doszła do wniosku, że powietrze jest przesycone poczuciem bezpieczeństwa, jakie jej dawał.

Spojrzała na sufit i zastygła w podziw. Kolumny w nogach łóżka wyrzeźbiono na kształt drzew palmowych, a na sklepieniu łukowo suficie namalowano palmowe gałęzie. Rozejrzawszy się po pokoju zauważyła, że wzdłuż ścian w odstępach mniej więcej dwumetrowych wznoszą się od podłogi aż do sufitu kolumny imitujące pnie, a malowidła pomiędzy nimi przedstawiają dżunglę. Były tam drzewa, paprocie i powoje, winorośle i trzciny. Między nimi wiły się rośliny zwane na Cejlonie kudumirris. Splątane w koronach drzew liany tworzyły fantastyczne wzory albo spadały w dół jak girlandy. No i pełno było tu kwiatów. Rosły orchidee we wszystkich kolorach, kształtach i rozmiarach. Poza tym magnolie, kamelie, rododendrony i róże.

Widok był tak piękny i zaskakujący, że przez jakiś czas Dominika leżała i podziwiała go z zapartym tchem. Dostrzegła też ptaki, te dobrze sobie znane, jak orły grzywiaste, jastrzębie, jaskółki i jerzyki, i inne, na przykład zimorodki z małymi, czerwonymi dziobkami i szafirowymi piórkami. Był to najintensywniejszy odcień niebieskiego, jaki można sobie

wyobrazić. Wśród ptaków Dominika rozpoznała również zielone żolny, rajskie muchołówki o kasztanowym upierzeniu, złociste wilgi o czarnych łebkach i zielone gołębie.

„Jak w ogóle można było wymyślić tak wspaniały, bajecznie piękny pokój?” - dumiała z podziwem.

Przypomniała sobie, jak lord Hawkston mówił, że ten pokój jest unikatowy, a teraz miała pewność: drugiego takiego nie ma w całym świecie.

Uniosła się nieco na poduszkach, by lepiej widzieć. Zauważyła, że na drzewach siedzą małpki, a w rogu stoi walra, czyli dzik. Dominika wiedziała, że to wesołe, żarłoczne, lubiące ryć w ziemi zwierzę potrafi się stać agresywne, gdy znajdzie się w potrzasku. Przez splecione krzewy i gałęzie widać było niedźwiedzia, jelenia i lamparta.

Ale najbardziej chyba kolorowe były motyle, duże i małe, i jaszczurki; Dominika od dziecka próbowała je oswoić. Czuła się, jakby oglądała bajkę. A że była nią zafascynowana, dość długo leżała w łóżku. Zaczęła się zastanawiać, czy ktoś z angielskich znajomych lorda Hawkstona domyśliłby się, że potrafi on zaprojektować coś równie fantastycznego.

„On tak bardzo kocha ten kraj - myślała - że chce mieć go blisko nawet w czasie snu. Gerald natomiast równie mocno go nienawidzi”.

Na myśl o Geraldzie pociemniało jej przed oczami. Wtedy właśnie otworzyły się drzwi i weszła jakaś kobieta. Dominika nigdy wcześniej jej nie widziała, ale odnosiła wrażenie, że to ona czuwała przy niej, gdy leżała nieprzytomna.

Nieznajoma była sympatyczną, uśmiechniętą Angielką. Miała na sobie źle dopasowaną białą bluzkę i spódnicę, mysiego koloru włosy niesfornie wymykały się z upiętego na głowie koka.

- Już panienska nie śpi! - uśmiechnęła się. - Tego się spodziewałam.

- Jak długo spałam? - zaciekawiała się Dominika.

- Trzy dni! - odparła kobieta.

Na twarzy Dominiki odmalowało się niedowierzanie, więc nieznajoma dodała:

- Powinnam się przedstawić. Nazywam się Smithson i opiekowałam się panienką.

- Dziękuję. Czy jest pani pielęgniarzką?

Kobieta podeszła do okien i rozsunęła kotary. Wpadło jeszcze więcej słońca.

- Formalnie jestem medyczną misjonarką - odparła. - Choć pielęgniarka to lepsze określenie. Jeśli ktoś w tym okręgu zachoruje, to posyła po mnie, chyba że woli jechać do Kandy.

Spojrzała w kierunku Dominiki.

- Dobrze, że panienka nie śpi, panno Radford - powiedziała. - Właściwie przyszłam powiedzieć panience, że muszę już iść.

- Czy... czy powiedziała pani o tym lordowi Hawkstonowi? - spytała zdumiona.

- Lord Hawkston wróci z Kandy popołudniowym pociągiem - wyjaśniała pani Smithson. - Pojechał na pogrzeb.

- Pogrzeb?

- Tak. Swego siostrzeńca, pana Warrena. Dominika zeszytniała, a w jej oczach odmalowało się zdziwienie.

- Lakshman zabił go, zanim napadł na lorda Hawkstona. Jego lordowska mość powiedział, że panienka ocaliła mu życie.

- Lakshman zabił Geralda? - z niedowierzaniem powtórzyła Dominika.

- Umarł na miejscu. Cejloński sztylet to naprawdę śmiertcionośna broń. - Ponieważ Dominika nic nie odpowiedziała, pani Smithson kontynuowała: - Przykro mi. Przeżyła panienka silny szok po tym wszystkim. Ale sama

panienka wie, że nic się na to nie poradzi. Zdarzają się podobne tragedie, choć na szczęście rzadko.

- A... lord Hawkston... zastrzelił Lakshmana? - spytała z wahaniem.

- Ten Lakshman, biedak, oszalał zupełnie - odpowiedziała pani Smithson. - Widziałam go parę miesięcy temu, bo miał kłopoty z okiem. Zauważyłam, że był mocno wytrącony z równowagi. Nie mogłam się z nim dogadać, no i nie miał pracy. - Pochyliła się nieco nad łóżkiem i popatrzyła na Dominikę. - Nie myśl o tym, dziecinko. Posłuchaj mojej rady: wstań, ubierz się, zjedź na dół i poczekaj tam na lorda Hawkstona.

- Jak to się stało, że spałam tak długo?

- To pomysł jego lordowskiej mości, a ja go poparłam - odparła. - Dałam panience napar z kilku ziół. Zwykle serwuję ten środek cierpiącym kobietom; lekko je odurza. Gdy tylko panienka wypije filiżankę herbaty, zaraz poczuje się lepiej. - Zaśmiała się. - Filiżanka naszej mocnej herbaty dobra jest na wszystko. Zawsze to powtarzam. - Spojrzała na zegarek. - Polecę służącej, żeby przyniosła panience herbatę i przygotowała kąpiel. Przykro mi, że nie mogę zostać dłużej, ale pewnie jeszcze będziemy miały okazję poznać się bliżej.

- Dlaczego musi pani już iść?

- Właśnie to chciałam panience wyjaśnić. Proszę powiedzieć jego lordowskiej mości, że wezwano mnie do pani Davison. Jest żoną plantatora po drugiej stronie wzgórza i właśnie zaczęła rodzić swe pierwsze dziecko. Lord Hawkston na pewno to zrozumie.

- Ja też tak uważam - zgodziła się Dominika. - Dziękuję pani za opiekę.

- Nie ma za co. A tak między nami mówiąc, zrobiłabym wszystko dla Chiltona Hawka... och, przepraszam, chciałam powiedzieć: dla lorda Hawkstona. I proszę mu jeszcze

powtórzyć, że im dłużej tu zostanie, tym lepiej. Jest tu potrzebny.

- Wszystko mu przekażę - obiecała Dominika.

Pani Smithson wyciągnęła rękę, żeby się pożegnać.

- Do widzenia, panno Radford. Nie trzeba myśleć o tym, co się stało. Zawsze jest jutro. To moja maksyma.

- Postaram się - uśmiechnęła się Dominika. Pani Smithson gorąco uścisnęła jej rękę.

- Do widzenia - powtórzyła. - Niech panienka uważa na siebie. Wpadnę niedługo, żeby zobaczyć, jak się panienka czuje.

Gdy wyszła z pokoju, Dominika oparła się o poduszki.

A więc Gerald nie żyje!

Nie powinna tak myśleć - zdecydowanie było to okropne - ale wiadomość ta przyniosła jej niewypowiedzianą ulgę. Nie musi go poślubić! Teraz zwolniona jest z obietnicy, którą dała lordowi Hawkstonowi.

Nagle uświadomiła sobie inny problem.

Czy w związku z tym będzie musiała wrócić do domu? Nie będzie mogła zostać tu, w górach? Czy z tego świata, który poznała dzięki lordowi Hawkstonowi, musi powrócić do życia na plebanii?

W tym nowym świecie przeplatały się ze sobą tragedie, niebezpieczeństwa i szalone uczucia, lecz wydał jej się piękny, wspaniały, cudowny i wiedziała, że zmienił ją zupełnie. Wtem poczuła niepohamowaną chęć zobaczenia lorda Hawkstona. Ożywiło ją to jak świeża bryza. Zapragnęła być z nim, rozmawiać z nim i nie mogła teraz myśleć o niczym innym.

Dominika siedziała w salonie, gdy usłyszała zajeżdżający przed dom powóz, który wyjechał na spotkanie lorda Hawkstona na stację.

Frontowe drzwi do domu zawsze były otwarte, by zapewnić dopływ świeżego powietrza. Teraz wszedł nimi lord Hawkston i Dominika słyszała, jak wita się ze służbą. Na dźwięk jego głosu zeszywniała.

- Chciałbym się umyć i przebrać w coś wygodnego.

- Kąpiel jest gotowa, durai.

Po chwili słychać było kroki lorda Hawkstona wchodzącego na górę. Dominika wiedziała, że oddawszy jej swój pokój, sam przeniósł się do innego, ale na tym samym piętrze.

Zdażyła też zauważyć, że w ciągu tych trzech dni, które przespalała, wiele się w domu zmieniło. Pojawiło się więcej służących, a każdy kącik lśnił czystością. W ogrodzie pracowało pięciu czy sześciu robotników: karczowali wdzierającą się dżunglę, sadzili nowe kwiaty w miejsce tych zniszczonych przez lamparty i podlewali trawniki. Dostrzegła też, że przestawiono niektóre meble i domyśliła się, że w ten sposób wróciły na miejsca przeznaczone im przez lorda Hawkstona.

Zarówno w salonie, jak i w jej sypialni stało mnóstwo świeżych kwiatów w wazonach. W Pokoju Palmowym niemal stapały się w jedno z malowidłami na ścianach, a w salonie zdobiły każdą szafkę i stolik. Nawet w holu umieszczono wielkie bukiety lilii, nasycających cały dom swym słodkim zapachem.

Po kąpieli Dominika stroiła się znacznie dłużej niż zwykle. Chciała wyglądać najpiękniej jak to możliwe. Jakby zeszczuplała po trzydniowym śnie, a oczy zdawały się wypełniać małą twarzyczkę. Tym razem nie splotła włosów i nie upięła ich w koronę, bo sama myśl o tej fryzurze przypominała jej, jak wbił się w nie sztylet Lakshmana. Zwinęła je więc w koczek z tyłu głowy mając nadzieję, że w oczach lorda Hawkstona nie będzie wyglądać zbyt

staroświecko. Włożyła też swą najpiękniejszą suknię, a potem zaczęła się zastanawiać, czy jej nie zmienić. Czuła, że musi sprawić jak najlepsze wrażenie, bo cała jej przyszłość zależy od tego, co lord Hawkston postanowi. I drżała na samą myśl o tym.

Teraz, gdy siedziała już w salonie, starała się nie okazywać, że serce łomocze jej jak oszalałe, a w gardle zaschło ze strachu. Z jednej strony nie mogła się doczekać, żeby go zobaczyć, a z drugiej bała się usłyszeć że musi wracać do domu, może nawet jutro.

„Nie zniosę tego, nawet nie mogę o tym myśleć” - mówiła sobie.

Nie chciała się rozplakać, żeby się przed nim nie poniżyć.

Gdy wszedł do pokoju, serce podskoczyło jej do gardła i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Ledwie stała na nogach, a kolana się pod nią uginały.

- Dominiko! - krzyknął lord Hawkston uradowany. - Miałem nadzieję, że czujesz się już dobrze i możesz wstać. Ale co się stało z panią Smithson? Służąca powiedziała, że odjechała.

Wiele wysiłku kosztowało Dominikę, żeby wydobyć z siebie głos i odpowiedzieć.

- Prosiła, bym powtórzyła panu, milordzie, że musiała pojechać do pani Davison, która rodzi dziecko. Powiedziała, że pan to zrozumie...

Lord Hawkston podszedł bliżej.

- Owszem, rozumiem - odparł. - Choć nie ukrywam, że jest mi to nie na rękę.

Dominika poczuła duszę na ramieniu. Najwyraźniej nie chciał być z nią sam w domu. Przy pani Smithson nie mogliby prowadzić bardziej osobistych rozmów.

Służący weszli właśnie z kanapkami i zimnymi napojami. Lord Hawkston wziął szklaneczkę i podszedł do okna.

- W Kandy był straszny upał - zaczął. - Nie mogłem się doczekać powrotu do domu.

Służba już wyszła, lecz Dominika nie wiedziała, co ma powiedzieć. Przyglądała mu się tylko, podziwiając, jak wspaniale wygląda w białym garniturze, tak swobodnie a jednocześnie elegancko, i jak bardzo jest przystojny.

Hawkston popatrzył na nią.

- Jak się czujesz? - W jego głosie dało się słyszeć niepokój.

- Całkiem dobrze...

- To właśnie chciałem usłyszeć. Postawił szklaneczkę na stoliku.

- Źle się stało - kontynuował - że pani Smithson musiała wyjechać tak wcześnie. Miałem nadzieję, że zostanie, dopóki nie omówimy twojej przyszłości, a tu okazuje się, że nie masz przyzwoitki.

- A czy... koniecznie powinnam ją mieć? - wyjąkała.

- Taki jest zwyczaj. Chyba zresztą sama o tym wiesz - powiedział stając przy kominku.

- Czy pan... zamierza... mnie odesłać? - spytała łamiącym się głosem.

Popatrzył w okno i odparł:

- Zastanawiałem się nad tym, Dominiko. Właściwie to o niczym innym nie myślałem przez ostatnie kilka dni. Widzę dwie możliwości.

- Jakie?

- Pierwsza jest taka, że rzeczywiście mogłabyś wrócić do domu. A biorąc pod uwagę fakt, że miałaś poślubić mego siostrzeńca, uważam, że należy ci się ode mnie jakaś pensja.

- Nie, to zupełnie niepotrzebne! - zapewniła szybko Dominika.

- Wręcz przeciwnie. Moim zdaniem jest bardzo potrzebne. Mam jednak przeczucie, że nie zobaczyłabyś tych

pieniędzy, bo twój ojciec wydałby je pewnie na bardziej, jego zdaniem, potrzebujących.

To było tak oczywiste, że nie wymagało komentarza.

- Drugie wyjście jest takie, że mógłbym zabrać cię ze sobą do Anglii. - Mówił to patrząc jej w twarz i natychmiast dostrzegł błysk zadowolenia. - Tam bez trudu znajdę ci odpowiedniego męża - wyjaśnił.

Zadowolenie zniknęło z jej twarzy. Ich oczy się spotkały i żadne nie potrafiło ich odwrócić. Stali bez ruchu, prawie nie oddychając.

W końcu Dominika odezwała się ledwie słyszalnym głosem.

- Chciałabym zostać z panem...

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, Dominiko? Jestem dla ciebie za stary.

Przez chwilę zdawała się nie rozumieć jego słów. Potem podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję, tak jak tamtej nocy. Hawkston objął ją, a ona poczuła się niebiańsko szczęśliwa.

- Powiedziałem, że jestem za stary. - Głos miał jakiś dziwny. Nigdy wcześniej tak nie mówił.

- Kocham pana - powiedziała to bardzo cichutko, lecz wyraźnie.

- Jesteś tego pewna? Kochanie, jesteś pewna? Spojrzała na niego.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym przytulił ją i pocałował. Dominice wydało się, że cały świat rozświetla cudowne światło. Zawładnął jej ustami i dał jej całą słodycz, piękno, cudowność i wspaniałość tego świata. Odczuwała niezwykle bogactwo wrażeń. Była tam muzyka i powiew wiatru, zachwyt, jaki czuła oglądając kwiaty w Kandy, i oczarowanie, jakiego doświadczyła na widok dżungli.

- Kocham cię! Kocham cię!

Nie wiedziała, czy mówi to na głos, czy tylko daje mu to odczuć ustami. Kochała go tak bardzo, że czuła się jego częścią. Należeli do siebie. Nic nie mogło ich rozłączyć, bo tworzyli jedno.

W końcu lord Hawkston przestał ją całować.

- Moja kochana, mój skarbie! Tak nie powinno być. Musisz znaleźć sobie kogoś w twoim wieku.

- Tylko ty dla mnie istniejesz...

- Naprawdę tak czujesz?

- Myślę, że czułam to od pierwszej chwili... kiedy cię poznałam - wyszeptała. - Ale nie zdawałam sobie sprawy, że to miłość...

Znow ją pocałował, a jej ciało przebiegł dreszcz rozkoszy, jakiego dotychczas nie znała. Potem patrząc jej w oczy błyszczące radością, zapytał władczo:

- Kiedy zorientowałaś się, że mnie kochasz? Chcę to wiedzieć.

- Chyba pokochałam cię wtedy, gdy podarowałeś nowe sukienki i kapelusze moim siostram i poleciłeś, żeby każdy był inny... Pomyślałam, że jesteś najbardziej wyrozumiałym mężczyzną na świecie. - Westchnęła, szczęśliwa, i mówiła dalej: - I wtedy, gdy tak sprytnie wytłumaczyłeś Prudencji, że musi dużo jeść, żeby móc tańczyć na swym własnym balu... pomyślałam... - Głos jej się załamał, a twarz oblał rumieniec.

- Co pomyślałaś, skarbie?

- Pomyślałam, że... chciałabym, aby mój mąż tak właśnie postępował z naszymi dziećmi - wyszeptała i skryła twarz na jego ramieniu.

Obejmował ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

- A kiedy po raz pierwszy uświadomiłaś sobie, że mnie kochasz?

- W Kandy - odpowiedziała. - Tam było tak pięknie, że mogłam myśleć tylko o miłości. A potem, gdy zobaczyłam

obraz w Pokoju Czerwonego Lotosu, zrozumiałam, że cię kocham i to dlatego tak się czułam w Kandy. Kochałam cię całą swoją istotą, ale... bałam się, że ty... mną pogardzasz.

- Pokochałam cię od pierwszej chwili - powiedział lord Hawkston. - Wiedziałem, jakie masz ciężkie życie, i chciałem wyrwać cię z domu i chronić cię. - Przerwał na chwilę, po czym kontynuował: - Nigdy przedtem przez całe życie nie pragnąłem opiekować się kobietą nie dla własnej przyjemności, ale tylko ze względu na nią. Chciałem chronić cię przed krzywdą, nie dopuścić, żeby ktokolwiek czy cokolwiek cię zraniło.

- Właśnie dlatego przybiegłam do ciebie, gdy tak bardzo się bałam - powiedziała Dominika. - Wiedziałam, że przy tobie będę bezpieczna.

- Zawsze będziesz - zapewnił ją lord Hawkston. - Kiedy zobaczyłem cię w sukni ślubnej, byłem pewien, że jesteś ucieleśnieniem wszystkiego, czego mężczyzna może chcieć od kobiety. Wyglądałaś pięknie, cudownie, a jednocześnie wiedziałem, że masz silny charakter i bogatą osobowość. - Pocałował ją w czoło. - Czy włożysz tę suknię dla mnie, kochanie? Jutro pojedziemy do Kandy, żeby wziąć ślub.

Spojrzała na niego pełnymi szczęścia oczami. Po chwili jednak zeszywniała i spuściła głowę.

- O co chodzi? - spytał.

- Zapomniałam, że w Anglii zajmujesz wysoką pozycję... Dotychczas myślałam o tobie tylko jako o plantatorze. Może będziesz się mnie wstydził... wobec swoich wytwornych przyjaciół.

Lord Hawkston odwrócił jej głowę ku sobie.

- Nie mam takich przyjaciół, wobec których nie błyszczałabyś niczym słońce! - zapewnił. - Jesteś moja, Dominiko, tylko moja. Zawsze byłaś mi przeznaczona. Skoro powiedziałaś, że mnie kochasz, nigdy nie pozwolę ci odejść!

- Wszystko, czego pragnę, to być twoją na zawsze!

- Będiesz moja. Zawsze. A ponieważ myślę, że sprawię tym przyjemność i tobie, i sobie, chciałbym, żebyśmy sześć miesięcy każdego roku spędzali na Cejlonie. Do Anglii nie jedzie się długo. Będziemy mieszkać tam latem, odwiedzać krewnych i zajmować się domem, a na zimę wrócimy tutaj. Co ty na to?

- Cudownie! Chociaż dobrze wiesz, że byłabym szczęśliwa wszędzie, w każdym zakątku świata, pod warunkiem, że ty będziesz przy mnie.

W oczach lorda Hawkstona zajaśniały iskierki szczęścia. Zaczął ją całować tak zaborczo, że straciła zupełnie świadomość. Czuli, że jej serce i dusza należą do niego.

Księżyc nad rajskim ogrodem

Gwiazdy świeciły bardzo jasno, gdy Dominika i lord Hawkston wyszli na werandę z Palmowego Pokoju. Dominika miała na sobie ślubną suknię. Wprawdzie podróż z Kandy odbyła w zwykłej sukni, lecz w domu ponownie się przebrała, wiedząc, że Chilton chce ją w niej widzieć.

Ślub wzięli bardzo skromny. Za drużbę mieli Jamesa Taylora, lecz dla Dominiki i Chiltona była to wspaniała uroczystość.

Kiedy msza się skończyła, James Taylor powiedział:

- Bardzo się cieszę, Chiltonie. Potrzebowałeś żony.

- Żeby się mną opiekowała? - spytał z uśmiechem.

- Żeby ukoronować twoje sukcesy! - odparł James. - Gdy wrócicie z podróży poślubnej, odwiedźcie mnie. Pokażę ci, Chiltonie, nowe sposoby barwienia herbaty, a poza tym przedstawię ci pewnego młodego człowieka, który świetnie nadaje się na zarządcę. Mieszka tu od dwóch lat i można mu zaufać.

- Dziękuję, James.

Dominika poczuła się bardzo wzruszona, gdy wracając do domu uświadomiła sobie, że to jej dom i że będzie dzielić go z kochanym mężczyzną. Patrząc na wznoszący się nad doliną budynek, niczym klejnot otoczony ogrodem i srebrnym jeziorem, zacisnęła dłoń na ręce męża.

- Będziemy szczęśliwi! - powiedziała.

- Teraz wiem, że budowałem go dla ciebie, a w Palmowym Pokoju zawsze czegoś brakowało.

Dominika zarumieniała się, a on ucałował jej rękę,

- Już nigdy nie będziesz musiała bać się ciemności, moja śliczna.

Tak wiele mieli sobie do powiedzenia, że wspaniała kolacja bardzo się przeciągnęła. Teraz było już za późno, by oglądać zachód słońca.

Dominika spojrzała na niebo.

Wyływał właśnie rogalik księżycy. Lord Hawkston podążył za jej wzrokiem.

- Czy wiesz, jak Anglicy nazywają półksiężyc?

- Nie, a jak?

Nawet na dźwięk jego głosu czuła podniecenie, a ponieważ obejmował ją w talii, drżała i pragnęła poczuć jego usta na swoich.

- Nazywamy go księżycem zakochanych - wyjaśnił. - I teraz świeci dla nas, moja ty cudowna, śliczna żono.

- Księżyc zakochanych nad rajskim ogrodem! - powiedziała miękko. - Czy można chcieć czegoś więcej?

- Masz rację - przyznał. - A już na pewno żaden mężczyzna nie mógłby chcieć więcej mając ciebie za żonę.

Spojrzała na niego. W blasku księżycy jej twarz lśniła szczęściem.

- Jesteś taka piękna! - powiedział. - Wręcz doskonała. Chcę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Kiedy pierwszy raz przyjechałem na Cejlon, myślałem, jak pewnie większość młodych ludzi, że prędzej czy później spotkam kobietę, którą pokocham i poślubię. Ale los chciał inaczej.

Dominika przyglądała mu się uważnie, a on mówił dalej.

- Zakochałem się nie w kobiecie, słoneczko, lecz w tym kraju. Pokochałem Cejlon! Dla mnie ta wyspa miała wszystkie zalety, których mężczyzna szuka w kobiecie. Była delikatna i gorąca, słodka i przyjazna, a poza materialnymi korzyściami przekazywała również duchowe posłanie. Trzeba tylko było umieć je odczytać.

- Rozumiem - wyszeptała Dominika.

Lord Hawkston ucałował jej włosy. Pachniały jaśminem, który Dominika wplotła między kwiaty pomarańczy w swym wianku. To zapach Cejlonu - niezwykle kobiecy i nie można mu się oprzeć.

- Czasami - ciągnął - stojąc tak na werandzie, myślałem, że przyjdzie mi przeżyć życie samotnie. Myślałem, że żadna kobieta nie mogłaby znaczyć dla mnie tyle co Cejlon. Że żadna nie może być tak piękna i tak bardzo godna pożądania. - Objął ją mocniej. - A potem spotkałem ciebie - powiedział. - I wiedziałem, że jesteś wszystkim, czego pragnąłem, o czym śniłem, absolutną doskonałością, jaką można znaleźć w kobiecie.

- A jeśli... zawiedziesz się na mnie? - spytała Dominika cichutko.

- To niemożliwe! Na pewno spotkają nas różne trudności, nieporozumienia, może nawet burze, ale to normalne jak ulewa nad doliną. My należymy do siebie, jesteśmy jednością i nic tego nie zmieni.

- Jak Adam i Ewa!

Poczuła jego usta na swym ramieniu.

- Ty jesteś moją Ewą. Kocham cię całą moją duszą i całym moim sercem i przez całe życie będę ci to udowadniał.

Przytulił ją do siebie i zaczął całować, a ona objęła go i przyciągnęła jeszcze bliżej.

- Kocham cię! Kocham!

Poczuła, że wyjmuje szpilki z jej włosów i jedwabista fala opadła.

Całował jej włosy, potem szyję i ramiona. Zsunął suknię i przylgnął ustami do piersi.

- Jesteś jak kwiat lotosu - powiedział. - Uwielbiam cię.

Potem poprowadził ją do Pokoju Palmowego i zaciągnął kotary.

Na gwiazdzistym niebie wysoko wznosił się półksiężyc, rozświetlając dolinę swym tajemniczym srebrnym światłem.